

OPINION BY THE JOURNALISTS' ASSOCIATION

Cornell Woolrich

ToysHeaven.pl

Czarne
alibi

ToysHeaven.pl

CORNELL
WOOLRICH
Czarne alibi

Przekład:
KATARZYNA BOGIEL

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: BLACK ALIBI

Copyright © April 10, 1942 Cornell Woolrich; renewed April 8, 1970 Chase Manhattan Bank, N.A., as Executor of the Estate of Cornell Woolrich, R 482034.

Copyright © for the Polish edition by „C&T” Toruń 2010

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Bogiel

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA-SOBECKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń,

tel. (56) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-196-9

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2010.

Wydanie I.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

1. ALIBI

Siedziała przed lustrem, w porze, kiedy modnie było wyjść na miasto, i próbowała się zdecydować, czy przypiąć na ramieniu kiść kryształowych winogron, czy raczej żywą gardenię, gdy ktoś zapukał do drzwi apartamentu, tych jeszcze za przyległym salonikiem.

Bez względu na to, jaką podjęłyby decyzję, wiedziała, że jej reperkusje obejmą całe miasto. Czyli że przez następne kilka tygodni setki młodych kobiet będą nosiły albo kiście kryształowych winogron, albo żywe gardenie.

Trudno było uwierzyć, że zaledwie dwa krótkie lata temu pies z kulawą nogą nie dbał o to, co przypinała do ramienia. Ani w ogóle o nic, co jej dotyczyło, gwoli ścisłości. Zdzierала sobie pięty do żywego i wciąż była zwalniana z niekończącej się serii trzeciorzędnych knajp w Detroit. A teraz... Obróciła głowę i kolejny raz spojrzała na niego przez okno; nie mogła się oprzeć. Oto było świadectwo, symbol, jej znaczenia, nawet gdyby miało się ono okazać zupełnie przejściowe; ten napis na zewnątrz.

CASINO EXCELSIOR
wielka artystka
KIKI WALKER

Największy neon w mieście, wznoszący się na tle kobaltowego, późno popołudniowego nieba. A kiedy w przyszłym tygodniu zostanie podłączony do prądu, na premierę, jej nazwisko będzie można przeczytać po zmroku aż z samego przeciwległego końca Alamedy.

Już nazywano perfumy i lakiery do paznokci jej nazwiskiem, i oczywiście płacono za ten przywilej, a najnowszy drink w szykownym Barze Inglattera to Koktajl Kiki Walker (ognistoczerwony u góry i oszałamiający, jak tłumaczył

każdemu barman). Całą ostatnią „zimę” (od czerwca do września) królowała w trzecim co do wielkości mieście na południe od Kanału Panamskiego, z własnym autem i szoferem, osobistą pokojówką, apartamentem w hotelu. Niezłe jak na tuzinkową knajpianą szansonistkę z Detroit, osiadła tutaj na mieliźnie, gdy rozpadła się objazdowa trupa, w której akurat występowała. Zupełnie nieźle.

Nadal nie całkiem wiedziała, jak do tego doszło. Sukces zapewniła jej odrobina talentu do tańca, odrobina talentu do śpiewania i ogromne szczęście. Głównie chodziło o to, że znalazła się we właściwym miejscu o właściwym czasie, i o to, że praktycznie nie miała konkurencji. W Detroit słowa jej piosenek brzmiały tandetnie; tutaj ich nie rozumiano, brzmiały więc błyskotliwie. W Detroit jej rude włosy wyglądały pospolicie; tutaj były rzadkością. A poza tym Manning i jego szalone numery mogły – trochę mogły, gotowa była przyznać – odegrać pewną małą rolę w zwróceniu na nią uwagi ogółu.

Ich pierwsze spotkanie nie należało do momentów, o których lubiła sobie przypominać. Siedział przy stoliku w kawiarnianym ogródku, widać było, że przydałoby mu się golenie i czysty kołnierzyk, a ona zaszła tam, by dowiedzieć się, czy nie potrzebują przypadkiem kasjerki – albo choćby kelnerki. Postawił jej filiżankę kawy, bo stać go było jeszcze na filiżankę kawy akurat w tym lokalu, a ona wyglądała tak, jakby jej potrzebowała. Gdy pół godziny później wstawali od stolika, on był jej agentem prasowym. Dwa tygodnie później ona miała swą pierwszą pracę, a on – czysty kołnierzyk.

„To dzięki mnie odniósł sukces” – zwykle taką uwagę kończyła te niemiłe wspominki.

Że on mógł mieć jakiś udział w jej sukcesie, było nie do pomyślenia, nawet przez chwilę nie mogło być brane pod uwagę. Bez względu na to, kto zapewnił sukces komu, jedno było pewne: teraz miała miasto jak na talerzu.

Pukanie powtórzyło się.

– To pewnie señor Manning, Mario – zawołała do pokojówki. – Wpuść go.

Usłyszała odsuwanie rygla, ale zamiast zwykłego powitania gościa przez pokojówkę rozległ się krzyk śmiertelnego przerażenia, tupot biegnących stóp

i gwałtowne stuknięcie krzesłem, jakby ktoś opadł tuż za nim.

Kiki obróciła się szybko na ławce, którą zajmowała, wstała, zaintrygowana. Zanim mogła zrobić cokolwiek więcej, to już ją dopadło, już sama to zobaczyła. Był to jeden z tych niewiarygodnych obrazów, w które umysł wzbrania się uwierzyć nawet w momencie ich pojawienia się. Przedstawiał łeb, tam, na podłodze, sunący w jej stronę przez otwarte drzwi z pokoju obok. Łeb *czegoś*, to jedyne określenie, na jakie było ją stać w tym pierwszym, okropnym momencie; *czegoś* z rodziny kotów; lampart, pantera, to kolejne etykiety, jakie przełykały przed jej szczelnie zamkniętym od wstrząsu umysłem.

Był czarny, w kształcie łopaty, z uszami ze złości położonymi płasko, z pyłkiem przy dywanie, szedł szybko, tworząc wrażenie zygzakowatego falowania. Nie czekała, by zobaczyć więcej. Powietrze przeciął jej własny krzyk, dołączający do wrzasku pokojówki, a ona odwróciła się i wskoczyła lekko, z instynktowną zwinnością, zdradzającą jej taneczne umiejętności, na swą własną toaletkę. Dokoła niej na podłogę spadł deszcz perfum, pudrów i bibelotów, łącznie z małą zabawkową pozytywką, która natychmiast zaczęła wygrywać dźwięczną melodyjkę. Ona sama stała tam w górze, szamocząc się nerwowo, ściskając spódnicę niemal na wysokości ud i machając nią obronnie, by odstraszyć tę poczwarę.

I dopiero w tym momencie do jej świadomości przedostał się kaganiec obejmujący te szczęki, napięta smycz i znajoma środkowozachodnia twarz Jerry'ego Manninga spoglądająca na nią z zamazanego tła. Jej krzyki stały się jedynie bardziej werbalne, nie tracąc nic na dźwięczności. Między nimi stało pełne wdzięku, wijące się, niemal węzowate ciało tego *czegoś*, wyrwywające się na smyczy do przodu z opuszczonym nisko brzuchem; potężne mięśnie ramion falowały pod czarnym futrem, gładkim jak u foki, ogon drgał gorączkowo, gdy stworzenie próbowało dobrać się do dźwięczącej pozytywki.

– Zabierz to stąd! – zawyla Kiki na wysokim C. – Manning, co cię opętało, żeby przyprowadzać tutaj coś takiego?

– Nic ci nie robi – próbował przekonać ją Manning, odsuwając swą panamę wyżej na czole. – Nie ma się czego bać. Przed chwilą sam jechałem z nim całą drogę samochodem dostawczym. Jest zupełnie oswojony; od małego

wychowywał się u faceta, który mieszka za miastem.

– Ale po co go do mnie przyprowadziłeś? – Przynajmniej przestała wrzeszczeć.

– Uznałem, że to dobry pomysł, żebyś się z nim pokazała podczas codziennej przejażdżki Alamedą.

– *Z tym czymś?* Nigdy! Nie zejdę z nim nawet do frontowych drzwi, nie mówiąc już o jeździe Alamedą! Posłuchaj no, Manning, zaczynam mieć dość twoich genialnych pomysłów...

Zrobił sobie przerwę na zapalenie papierosa, przy użyciu jednej ręki. – Pomysł, jaką wywołasz sensację. Wyjdź z nim tylko z auta, usiądź w Globo na parę minut przy martini. Co w tym takiego trudnego? Zainstalowałem tam około pełno fotografów, żeby zrobili ci z nim zdjęcia. Dzięki niemu mogę ci zapewnić całą rozkładówkę najbliższego niedzielnego wydania *Gráfico*; mam układ ze starym Herrera. Całe dwie strony druku tylko dla ciebie. Patrz, tu masz nawet złoty biczyk, który załatwiłem ci na ten spacer.

– Jesteś dla mnie zbyt dobry – rzuciła z przekąsem.

– To dla ciebie, nie dla mnie – przekonywał przymilnie. – W przyszłym tygodniu masz premierę. Latynosi lubią egzotykę u swoich gwiazd. Chcesz chyba, żeby twoje przedstawienie było przebojem?

– Chcę też nadal w nim występować, a nie tkwić cała w bandażach w jakimś szpitalu – zakomunikowała mu. – Jestem ustawiona. Po co mi to teraz? Na początku było inaczej.

– W twojej branży nigdy nie jest się ustawionym. Daj spokój, Kick, bądź odważna. Spójrz na to, popatrz na mnie przez chwilę...

Zwierzę leżało wyciągnięte na boku, liżąc leniwie jedną łapę. Pochylił się nad nim, kilka razy delikatnie podrapał zakrzywionym palcem wskazującym miękkie futro na jego brzuchu. Ono z miejsca przetoczyło się na grzbiet z typową kocią kokieterią, zawiesiło w powietrzu zwinięte cztery łapy, nieśmiało próbując odepchnąć jego palec.

– Jest tak oswojony, że bardziej się nie da, widzisz? No chodź, potrzymaj to tylko. Spróbuj, przekonaj się, jakie to uczucie. – Sięgnął po jej niechętną dłoń, przesunął zapętlony koniec smyczy na jej palec.

Nadal stała na blacie. Jednak poddawała się, niedostrzegalnymi kroczkami.

Spódnica opadła jej do zwykłego poziomu. Teraz już sama trzymała smycz; on ją puścił.

– Przez całą drogę będę tuż za tobą w taksówce.

W tej jednak sprawie była nieugięta. – O nie, nic z tego. Będziesz siedział z przodu w moim aucie albo w ogóle stąd nie wyjdę.

Zachował na koniec swój najmocniejszy argument, który, jak wiedział z doświadczenia, przekona ją, jeśli w ogóle coś mogło ją przekonać; musiał być czymś w rodzaju bystrego psychologa. – Powinnaś zobaczyć, jak on pasuje do tego stroju, który masz na sobie. Powinnaś zobaczyć, jaki obrazek razem tworzycie. Zejdź na chwilę, Kick, spójrz na siebie w lustrze, jak stoisz obok niego. Zenobia, Kleopatra nie robiły takiego wrażenia! – Wyciągnął rękę, by pomóc jej zejść z toaletki.

Chyba zadziało. Nadal patrzyła na nie krzywym okiem, ale zaczęła ostrożnie opuszczać w dół koniuszek jednej stopy, mając za chwilę zejść na podłogę, obok tego stworzenia.

– O Jezu – jęknęła na samym końcu, zdradzając przez chwilę odrobinę ordynarności z czasów Detroit, co okazjonalnie jej się zdarzało – czego to ja nie robię dla sztuki!

Jej przybycie do Globo, jeśli zawsze miało charakter sensacji, tym razem było ni mniej, ni więcej jak elektrowstrząsem. Zwykły tłum przychodzący w porze aperitifów przepełniał lokal aż po krańce markiz na chodniku, a nawet poza nie. Każdy, kto był kimś, tam poszedł; zebrała się galeria warta ambicji każdej aktorki.

Manning, który siedział w packardzie z przodu, obok kierowcy, na jej nalegania aż do samego końca trzymał chyłkiem smycz, przełożoną przez fotel. Podał ją jej dopiero w momencie przyjazdu, tak by zdążyła zrobić wielkie wyjście. Kierowca w liberii wyskoczył z auta, przebiegł na drugą stronę i otworzył przed nią drzwi. Ona podniosła się i stanęła w samochodzie dokładnie na tak długo, by każdy ją zauważył, po czym przygotowała się do zejścia na chodnik. W tym momencie nastąpiła pewna, szybko zatuszowana, komplikacja. Zwierzę leżało między nią a drzwiami i przez chwilę nie chciało się ruszyć; musiałaby zrobić krok nad nim, by wysiąść.

– Pchnij go stopą – rzucił półgłosem Manning.

Ostrożnie szturchnęła je w bok czubkiem buta. Potem jeszcze raz. Podniosło się niechętnie, zawahało przez chwilę, po czym chlusnęło na chodnik niczym nagle wylana fala czarnej wody, powodując niezręczne szarpnięcie jej ramienia, które jedynie z trudem udało jej się zamaskować. Ruszyła jego śladem z uśmiechniętym wdziękiem Wenus.

Po raz pierwszy ukazało się w całej krasie kawiarnianemu tłumowi. Dotąd leżało niewidoczne na podłodze auta. Podniósł się jeden z tych głębokich, ospałych pomruków, które powstają, gdy tuziny gardeł w tym samym momencie szemrzą ze zdumienia. Po chwili powietrze przeszył grad podekscytowanych komentarzy. – *Mira! Mira!* Patrzcie, z czym przysła! – powtarzano ze wszystkich stron, od krzesła do krzesła i od stolika do stolika. Siedzący z tyłu wstawali z miejsc, by lepiej je zobaczyć. Kobiety wydawały krótkie okrzyki sztucznego przerażenia i twogi. – *Ay, que horror! Que barbaridad!* Barbarzyństwo! Czy ona ma zamiar tutaj z tym wejść? – I przygotowywały się do zerwania na nogi i usunięcia na bok.

Na chodniku zaczęli gromadzić się przechodnie, zachowujący pełen szacunku dystans.

– Zostań tu, nie pozwól kierowcy zabierać stąd samochodu – powiedziała z napięciem do Manninga spoza uśmiechniętej maski opanowania i odprężenia.

– Nie może tak stać tuż przed lokalem, nie wolno tu parkować. Będziemy tuż obok, na końcu ulicy. Nic nie może ci się stać, podejdź tylko do stolika i usiądź. – Potem, gdy odgłos zwalnianych hamulców na chwilę jakby zmroził ją w miejscu, szybko ostrzegł: – Nie stój tu tak, Kick. Jesteś na scenie. Nadajemy na żywo. Wszyscy na ciebie patrzą.

Auto zdradziecko odjechało zza jej pleców, a ona była teraz zdana na własne siły. Dotknęła lekko zwierzęcia zabawkowym biczykiem, w który Manning ją wyposażył, a ono dość potulnie ruszyło naprzód, być może wabione dolatującymi ze stolików zapachami jedzenia. Siedzący najbliższej przezornie odsuwali krzesła do tyłu, gdy kroczyło wąskim środkowym przejściem między stolikami, zaledwie muskając czasem sierścią ich nogi.

Na szczęście odległość, jaką miała do pokonania, nie była duża. Dotarła do zwykle zajmowanego przez siebie stolika, który na nią czekał, zatrzymała się

i udało jej się również zatrzymać zwierzę, lekko ściągnając smycz. Następnie usiadła, z miną wielkopańskiej obojętności, na wysmukłym krześle o drucianym oparciu, które odsunął dla niej kelner. Przyjął jej zamówienie, pozostając rozważnie tam, za nią, zamiast przejść na drugą stronę stołu.

– Martini *seco* – powiedziała. Założyła nogę na nogę i rozejrzała się dokoła z tą miną chłodnej obojętności, jaką mają w zwyczaju przyjmować modne damy w modnych lokalach. Tymczasem kolejne jedno czy dwa pociągnięcia za smycz spowodowały, że zwierzę opadło na ziemię u jej stóp, po chwili czy dwóch wahania. Bufor stolika pozostał jednak między nimi. Zwierzę leżało nieruchomo, jakby ogarnięte przemożnym znużeniem, jedynie uszy drgały mu wrażliwie przy każdym jęku klaksonu dobiegającym z ulicy.

Wśród siedzących w najbliższym sąsiedztwie nastąpiło jednomyślne, być może niezbyt taktowne, odsuwanie się. Przesuwali pobliskie stoliki, jeśli się dało, a jeśli nie, przesuwali krzesła na ich drugą stronę, by siedzieć przodem do zwierzęcia zamiast tyłem. Została sama pośrodku małego, pustego kręgu. Nawet kelner, przynosząc jej zamówienie, podszedł drogą okrężną od tyłu i postawił drink, przynosząc go nad jej ramieniem.

Ona jednak nie byłaby aktorką, gdyby nie bawiła jej ta wzmożona uwaga, jaką przyciągała. Ludzie nie mogli oderwać od niej wzroku – czy raczej od jej dodatku, co na jedno wychodziło. Wyjęła papierosa o złotym koniuszku, uniosła jego drugi koniec ustami w pustą przestrzeń w poszukiwaniu ognia. Zapalka pojawiła się usłużnie nad jej ramieniem skądś zza niej.

Zorganizowani przez Manninga przedstawiciele prasy zmaterializowali się teraz znikąd i zbiegli dokoła niej. – Może parę słów, señorita Walker?

– *Si, como no* – zgodziła się uprzejmie.

Jeden z nich opuścił jedno kolano, wycelował w nią reflektor. – *Fotógrafo*, señorita Walker?

– Tak, proszę bardzo.

Flesz zaniepokoił leżącą bestię. Skuliła się, wsunęła tchórzliwie pod stół.

– Jak pani go nazywa, señorita Walker?

– Big Boy. Chłopak. To tyle co *chamaco* po waszemu. – Improwizowała, no ale od czego była artystką...

– Od dawna go pani ma, señorita Walker?

– Nie, dostałam go dopiero dzisiaj. Przysłał mi go przyjaciel.

Kąćki oczu dziennikarza zmarszczyło chytre łypnięcie. – Czy możemy powiedzieć, że szczególnie przyjaciel, señorita Walker?

Kiki opuściła wzrok, z udaną nieśmiałością zakręciła w kieliszku wykałaczką wbitą w oliwkę. – Tak, może pan tak powiedzieć – zgodziła się w końcu.

– A czym pani go karmi, señorita Walker?

Straciła głowę tylko na chwilę. – Och, daję mu trochę tego, trochę tamtego – obycie sceniczne pomogło jej wyjść z opresji.

I właśnie w tej chwili to się wydarzyło. Później nie znaleziono dwóch takich samych opinii co do bezpośredniej przyczyny. Niektórzy twierdzili, że siedzący w przejeżdżającym ulicą samochodzie pekińczyk akurat rozszczękał się jak szalony, pobudzając zwierzę. Inni mówili, że gdy Kiki była zajęta udzielaniem wywiadu, ktoś siedzący przy innym stoliku rzucił mu kawałek mięsa, tak dla próżnej psoty, by sprawdzić, co ono robi. Jeszcze inni skłonni byli wierzyć, że powtarzające się błyski fleszy aparatów fotograficznych w końcu podrażniły jego system nerwowy tak, że nie mogło już tego wytrzymać.

Tak czy owak, nie było żadnego ostrzeżenia. Jego zwinięte łapy wystrzeliły nagle pod nim niczym stalowe sprężyny, pod markizą przeleciało bezcielesne warczenie, zdające się nie mieć źródła, lekki stolik przewrócił się, a razem z nim Kiki i krzesło, a krąg dziennikarzy rozsypał się jak sieczka.

Przy zatłoczonych stolikach rozgorzała panika niczym pożar ogarniający słomę. Nastąpił masowy pęd do tyłu, do środka lokalu, którego drzwiami można by się odгородzić od bestii, nawet jeśli zrobione były głównie ze szkła. Kobiety krzyczały, tym razem nie dla efektu, mężczyźni wołali ochryple, tace kelnerów padały z hukiem i metalicznym brzękiem na ziemię; stoły i krzesła wywracały się na wszystkie strony, kieliszki pękały, ci na tyłach od czasu do czasu potykali się i padali na dłonie i kolana w wysiłkach, by przedrzeć się przez stojących przed nimi; w końcu nawet jedna z szyb drzwi werandy zadrżała i rozpadła się na kawałki w tym zamieszaniu. Nikt nie miał już pewności, gdzie ono jest ani co robi, i nikt nie zatrzymał się, by to sprawdzić.

Kiki, krzyząc jak oszalała, przez chwilę nie mogła wybrnąć z pozycji, w jakiej się znalazła, padając. Leżała płasko na plecach, ale siedzenie krzesła, tkwiące pionowo, przytrzymało jej bezradne nogi w powietrzu. Ku swemu przerażeniu ujrzała zbliżający się do niej rozjuszony czarny łeb, z płasko położonymi uszami, szczękami otwartymi złowrogo, mimo nadal wiszącego na nich niewystarczającego kagańca, i odsłaniającymi zestaw ostrych jak szpilki kłów.

Nie było czasu, by cokolwiek zrobić. Z czyjegoś stolika przytoczył się do niej gruby, niebieski szklany syfon z wodą sodową, owinięty drucianą siatką, dzięki której się nie rozbił. Chwyciła go, przytuliła do piersi, zamknęła oczy, jakby miała wyzionąć ducha, i zaczęła jak szalona tryskać wodą dokoła siebie na wszystkie strony. Czy to ją uratowało, czy też oszalała ze strachu bestia i tak nie miała zamiaru jej atakować i chciała tylko uciec, jest jednym z tych punktów spornych, które nigdy potem nie zostają zadowalająco wyjaśnione.

Parę chwil później, z oczami nadal mocno zamkniętymi, by uniknąć widoku tego, przed czym nie mogła uciec, i z zawartością syfonu zaczynającą niebezpiecznie nikać, poczuła, że podnoszą ją z powrotem pomocne ręce, które przyszły z opóźnieniem, by ratować ją teraz, kiedy najgroźniejsze niebezpieczeństwo już minęło.

– Dokąd ono poszło? – zadrżała, otwierając oczy i rozglądając się pustym wzrokiem po otaczającej ją masakrze.

Pośrodku drogi piszczały gorączkowo hamulce. Ktoś coś wskazał. Zwierzęciu udało się, niemal cudem, stawić czoła wieczornemu wzmożonemu ruchowi i przejść cało na drugą stronę. Ledwie zdążyła dojrzeć jego czarny kształt, sunący susami daleko po drugiej stronie Alamedy, skręcający w cieniutką jak nitka alejkę, prawdziwą szparę między budynkami, otwierającą się po tamtej stronie, i znikający w mroku.

– Jak zamierza go pani odzyskać, señorita? – spytał ktoś głupio, wachlując ją swym kapeluszem, podczas gdy do ust podawano jej środek wzmacniający.

Kiki gwałtownie zamachała rękami, z twarzą niczym symboliczna maska płaczu. – *Nie chcę go odzyskiwać!* – krzyknęła histerycznie. – Wszystko mi jedno, jeśli nigdy więcej go nie zobaczę! Spójrzcie, jak ja wyglądam! – Przeciągnęła bezradnie dłonią po swych włosach opadających w nieładzie na ramię.

– Pomóżcie mi wrócić do auta – pociągnęła nosem po dłuższej chwili. – Chcę jechać do domu...

Dwóch z otaczających ją mężczyzn poprowadziło ją, chwiejącą się, do krawężnika, gdzie podjechał do niej packard. Manning, szczęściem dla siebie, już w nim nie siedział; wyskoczył, by ruszyć w pościg wraz z kilkoma śmiałkami z tłumu.

Kiki klapnęła bezwładnie na tylne siedzenie, nadal cicho łkając, albo przynajmniej złoszcząc się w sposób przypominający łkanie, w chusteczkę trzymaną tuż przy ustach. Raz przynajmniej nie udawała; jej system nerwowy przeżył właśnie wielki wstrząs i czuła dokładnie te emocje, które miała grać.

Dla dopełnienia tego katastrofalnego zajścia cały tłum, który napływał z powrotem pośród zaśmieconego rumowiska ogródka kawiarni, obrócił się zdecydowanie przeciwko niej, zdając się uważać ją za osobiście odpowiedzialną za zepsucie mu pory aperitif. Wyraźnie było słyhać gwizdy i pogardliwe okrzyki. A wygwizdanie przez latynoski tłum to tyle co obrzucenie zgniłymi jajkami na północy.

Ze sceny fiaska odwieziono skompromitowaną i zupełnie pozbawioną pewności siebie damę z włosami i ubraniem w nieładzie.

Kilkadziesiąt osób wyraźnie widziało, jak zwierzę wchodziło do tej alejki przy końcu Alamedy. Co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Przypominała bardziej rozpadlinę niż ulicę, wijącą się pomiędzy opuszczonymi budynkami. Była to stara dzielnica, fragmenty pozostałości, które rozsiane są po wszystkich wielkich miastach, mimo bliskości modnej i ultranowoczesnej Alamedy.

W takim razie wystarczyłoby tylko iść za nim na drugą stronę, dogonić je, osaczyć i nie wypuszczać – gdyby nie dało się go po prostu złapać – do przybycia policji. A jeśli nie, to przynajmniej mieć je w zasięgu wzroku.

Ale nie wystarczyło.

Zaczęła się szarówka, lecz widoczność nadal pozostawała dość dobra, nawet jeśli zabarwiona na ciemnoniebiesko. Odległość do pokonania nie była duża. A poza tym co więksi ryzykanci z tłumu otaczającego Kiki w Globo, na czele z Manningiem, ruszyli za zwierzęciem w pościg z opóźnieniem zaledwie paru chwil.

A jednak ono umknęło z pola widzenia, zostało pochłonięte, zniknęło zupełnie gdzieś wzdłuż tej krótkiej uliczki w jednej z najbardziej zabudowanych, odgradzonych części miasta! Jako że gdy awangarda, z Manningiem ciągle na czele, wpadła na Plaza de los Mártires, mały, ruchliwy plac z palmami na obrzeżach, na który wychodziła uliczka na swym drugim końcu, najwyraźniej miał miejsce przypadek masowej niezborności wzrokowej. Co więcej, nie wywołało jej przerażenie czy poruszenie, jak to się czasem zdarza. Plac pełen był krzątających się ludzi, a jednak nie odnaleziono ani jednej osoby, która widziała czy słyszała coś dziwnego, nie mówiąc o czymś tak rzucającym się w oczy jak kruczoczarny jaguar wpadający pośród nich na złamanie karku z końca alejki. Niecały jard od rogu uliczki klęczał nad uniesioną stopą klienta pucybut zajęty pilnie swym zadaniem.

Obaj znajdowali się tak blisko, że przewróciłby ich podmuch powietrza, kiedy zwierzę ich mijało. Jeśli ich mijało. Nic nie mijało, stwierdzili obaj, zaskoczeni. A potem niepewni, czy dobrze usłyszeli, powtórzyli pustym głosem: – Czarny co? – myśląc, że Manning i reszta postradali zmysły.

Dalej, choć niewiele dalej, grupka pełnych nadziei obiboków przeglądała, jak zwykle, wyniki loterii. Ludzie wsiadali i wysiadali z hałaśliwych trolejbusów, które zdawały się wypełniać ten plac o wszystkich porach dnia i nocy, emitując podczas manewrowania turkusowe błyski z wiszących nad nimi przewodów.

Było – tak jak zawsze.

Podczas gdy ariergarda pościgu wciąż napływała od strony Alamedy, zatykając uliczkę, Manning i awangarda starali się przedrzeć przez nią z powrotem, rozprowadzając jednocześnie, że zwierzę nie wyszło z drugiego końca alejki.

W tym momencie pojawili się trzej gestykulujący, używający gwizdków – i bardzo spóźnieni – żandarmi, by przejąć dowodzenie, i pościg – czy raczej problem, jako że pościg wymaga czegoś przed sobą – stał się teraz oficjalny. Ich wyjaśnienie, całkiem zresztą prawdopodobne, brzmiało, że początkowo nie dali wiary zgłoszeniu, gdy do nich dotarło. Napad z bronią w rękę, owszem. Zadżganie nożem. Ale żywy jaguar szalejący po ulicach? To było Ciudad Real. Lepiej idź gdzieś i się prześpij, inaczej trafisz za kratki.

Manning, szybko pozostawiając ich własnej przemyślności, przebił się z powrotem prosto do Alamedy, by odszukać człowieka, od którego tego dnia „pożyczył” zwierzę, nadzorcę z rancza o nazwisku Cardozo, i który miał na niego czekać przy pewnym nie rzucającym się w oczy rogu w jednym z samochodów dostawczych z rancza i odebrać od niego zwierzę, gdy tylko Kiki z nim skończy.

Dotarcie tam zajęło mu ledwie kilka minut, ale po przybyciu na miejsce zorientował się, że wieść go wyprzedziła.

– Zniknął – oznajmił zdyszany. – Wyrwał się jej, niemal ją przy tym zabił! Widzi pan ten tłum? To właśnie tam go szukają.

– Wiem, ktoś mi powiedział – odparł skwaszony Cardozo. – Ktoś musiał mu coś zrobić, żeby tak go spłoszyć. *Mówiłem* panu, żeby delikatnie się z nim obchodzić. Powiedział pan chyba, że będzie tuż przy nim, cały czas, kiedy ona będzie się z nim pokazywać. – Wydawał się naprawdę zdenerwowany utratą zwierzęcia, jakby był do niego przywiązany.

– Byłem nie dalej niż dwie długości samochodu od niej – odpowiedział z ożywieniem Manning – a mimo to nie udało mi się dobiec na czas, by go powstrzymać! Widziałem, co zrobił. Przeskoczył nad nią, jakby umiał latać; jedyne, co ją uratowało, to fakt, że miała w rękach syfon z wodą gazowaną i go nią spryskała. *Pan* zdaje się mówił, że jaguar jest taki oswojony i nieszkodliwy, że nie ma się o co martwić! Pięknie by było, gdyby ją rozszarpał, prawda?

– Był zupełnie potulny cały czas, kiedy trzymaliśmy go w *estancii*. Dzieciak kucharki często wchodził do jego zagrody i bawił się z nim godzinami.

– Kiedy, dwa miesiące temu? – rzucił gorzko Manning. – Może wtedy jeszcze dorastał. Dzisiaj bez wątpienia osiągnął pełnoletność! – Uciał dyskusję, będącą teraz już w zasadzie płaczem nad rozlanym mlekiem. – Och, nie ma sensu stać tutaj i kłócić się o to. Przyszedłem po pana, bo pomyślałem, że może pan pomóc w schwyтaniu go.

– Z tyłu w samochodzie mam riatę, taką linę z pętlą, którą chciałem go związać na podróż powrotną – zgodził się Cardozo. – Zabiorę ją ze sobą, może się przydać.

– Zniknął gdzieś tam – powiedział mu Manning, gdy pieszo wracali w stronę zgiełku. – Jak pan sądzi, dokąd poszedł?

– Żeby to wiedzieć, trzeba by być jaguarem – zabrzmiała oschła odpowiedź ranczera.

Gdy wrócili na miejsce, z chaosu szybko wylaniał się porządek i zorganizowanie. Porządek, ale ani jeden jaguar. Z trzech żandarmów zrobiło się już pięciu, a z pięciu w okamgnieniu zrobiło się siedmiu. Następnie przybył porucznik policji, by objąć kierownictwo nad tym safari na ulicach miasta. Po nim pojawił się nawet jeden z miejskich wozów strażackich; ale to wyłącznie w tym celu, by promień jego potężnego reflektora, najsilniejszego dostępnego w jakimkolwiek urządzeniu, można było wycelować w uliczkę, żeby szukający widzieli, co robią. Rozświetlił ją dziwnym bladym błękitem, przydając osobliwości tej i tak osobliwej sprawie. Nareszcie – ale na samym końcu i dopiero po wielu godzinach – posłano po dyrektora zoo, by ten udzielił technicznych rad i różnych sugestii, jako że rzekomo był ekspertem w takich sprawach.

Najpierw zrobiono to, co oczywiste. Niekontrolowany tłum wyprowadzono z uliczki, czemu towarzyszyło nasilone wywijanie pałkami policyjnymi i powtarzane ostrzeżenia w rodzaju: „Odsunąć się, natychmiast. Nikomu nie wolno tu przebywać, to niebezpieczne. Zwierzę może się nagle znowu pojawić w najmniej spodziewanym momencie i zaatakować”. Większość nie potrzebowała drugiego ponaglenia. Na parę chwil zapanował rozgardiasz przemieszczania się, po czym uliczka opustoszała. Wtedy u obu jej krańców rozciągnięto liny, by już pozostała pusta.

Następny krok polegał na hurtowym wypraszeniu na zewnątrz wszystkich mieszkańców uliczki, gdyż właśnie miało się zacząć przeszukiwanie jej domu. I znowu polecenia nie trzeba było powtarzać. Nastąpił paniczny masowy eksodus z zaniedbanych, zatłoczonych klitek wzdłuż uliczki, z klatkami dla ptaków, naczyniami kuchennymi, a nawet roślinami doniczkowymi.

Ludzi tych przesłuchiwał osobiście porucznik policji, gdy rzędem przechodzili dalej. W większości przypadków – bezowocnie. Nie natrafiono ani na jeden przypadek, żeby ktoś widział, dokąd zwierzę *poszło*. Przemknęło tak nagle, że wszyscy za późno dotarli do okien; do wyjrzenia skłoniła ich wrzawa ciągnącego śladem bestii tłumu, a nie żaden odgłos, jaki ona by wydała. Znaleziono dwie czy trzy osoby, które przyznały, że widziały ją, jak zbliża się z od dali – chociaż żadna z nich jej nie rozpoznała, biorąc ją w mroku za wielkiego,

wściekłego czarnego psa. Ale nawet one nie pomogły w poszukiwaniach, chociaż cały czas były pośrodku uliczki; wszystkie odpowiadały tak samo. „Tak, widziałem, jak się stamtąd do mnie zbliża, i po tych okrzykach z tyłu poznałem, że to coś niedobrego. Dokąd poszła? Myślicie, że czekałem, żeby się o tym przekonać? Wskoczyłem w najbliższe drzwi i zatrzęsnałem je za sobą. Zanim znowu wyjrzałem, już jej nie było”.

Nareszcie, blisko końca procesji uchodźców, odnaleziono dziewczynkę lat dziesięciu, po której, gdy nadeszła jej kolej, spodziewano się pomocy w poszukiwaniach. Przez chwilę sądzili, że coś mają. Była przy oknie *na czas*, by zobaczyć zwierzę, jak z dumą podkreślała, bo wychylała się z niego przez dłuższy moment przed zdarzeniem: – Widziałam, jak coś wielkiego i czarnego idzie naszą ulicą, o, stamtąd.

Na chwilę utworzyło się wokół niej czujne konklawe. – I dokąd poszło? Gdzie zniknęło?

– Nie wiem. Pobiegłam do pokoju po brata, żeby też to zobaczył, a kiedy wróciliśmy, już tego czegoś nie było.

Konklawe ponownie pękło, niczym przejrzały strąk.

Będzie trzeba go odnaleźć, przeszukując dom po domu – postanowił dowodzący porucznik. Jedyna możliwa do przyjęcia hipoteza, jaka pozostała, brzmiała, że jaguar znalazł jakieś drzwi, szczelinę, dziurę gdzieś wzdłuż tych niszczących ścian, wsunął się tam i nadal czai się gdzieś w jednym z cieniowych wnętrzy, może w piwnicy, może w nieużywanym przewodzie kominowym, może w dziurze pod schodami – wzdłuż uliczki nie było elektryczności, w środku ani na zewnątrz – czai się, dysząc utajoną śmiercią.

Przeszukiwanie rozpoczęło się od strony Alamedy – zbliżała się wtedy ósma – i była już prawie północ, zanim oddział wyłonił się z ostatniego domu, stojącego przy Plaza de los Mártires – z pustymi rękami. Poszukiwania okazały się tak samo kompletną porażką jak początkowy pościg. Były dokładne, nawet jeśli nie zakończyły się powodzeniem. Przeczესali od góry do dołu i od dołu do góry każdy budynek po drodze, błyskając latarkami w rogi, stukając w ściany, odsuwając skrzynie, pudła i śmieci, trzymając w pogotowiu rewolwery i tęgie pałki, by sobie z nim poradzić, gdyby się pojawił. Ale się nie pojawił.

Tłum za sznurami po obu końcach, zagląający w niewyraźną, niebieską ścieżkę reflektora strażaków, za każdym razem kolektywnie wstrzymywał oddech, gdy byli w środku, a mruganie latarek przez okna ukazywało ich postępy piętro po piętrze. Następnie znowu wychodzili, meldowali dowodzącemu oficerowi: „W tym go nie ma”; budowla otrzymywała świadectwo zadowolającego stanu, po czym wchodzili gromadą do następnej. W końcu efekt dramatyczny zaczął się zużywać po licznych powtórzeniach. To tu, to tam ktoś odwracał się na pięcie i zajmował swoimi sprawami; robiło się późno. Usłyszano, jak ktoś w rzednących szeregach gapiów na poły żartobliwie sugeruje, że może jaguar ukrył się na tyle jakiegoś wozu czy samochodu, który pozostawiono tutaj z otwartym bagażnikiem, został następnie zamknięty niebacznie przez kierowcę, który wrócił chwilę później, i zupełnie bez jego wiedzy wywieziony z tej okolicy. Jedyny problem z tą teorią polegał na tym, że w owym czasie w uliczce nie stał żaden taki przypadkowy środek transportu; można było mieć co do tego pewność z bardzo dobrego powodu, a to takiego, że nie była ona dość szeroka, by zmieściło się w niej cokolwiek poza pchanym ręcznie wózkiem. Ktoś zasugerował również, że może jaguar poszybował do góry w balonie, co wzbudziło salwę śmiechu. Wśród najbardziej wytrwałych widzów, okpionych z ekscytującego wydarzenia, na jakie liczyli, i w ten sposób to sobie wynagradzali, zaczął ujawniać się duch sceptycyzmu. – Może poszedł do kościoła, żeby się pomodlić! – zawołał ktoś w uliczce przez złożone dłonie.

Mały kościółek, o którym była mowa, stał na skraju małego zaułka, w stronę końca przy Plaza de los Mártires. Uliczka na swej krótkiej długości skręcała ostro kilka razy. Przy jednym z tych skrętów rozwidlała się na dwoje, z pozoru, choć nie w rzeczywistości. Jedno odgałęzienie było po prostu krótką ślepą uliczką, wychodzącą na cienką jak opłatek kaplicę, San Sulpicio, pochodzącą z czasów kolonialnych. Innymi słowy, była to po prostu wypustka, nisza, odchodząca od głównego kierunku uliczki, mierząca zaledwie kilka metrów.

Kapliczka ta była najmniej prawdopodobnym ze wszystkich miejsc, w których jaguar mógłby się tutaj schronić. Po pierwsze, nie była już używana, została opuszczona całe lata wcześniej, z powodu uszkodzeń, jakie odniosła podczas jakiegoś dawno zapomnianego trzęsienia ziemi. Jej krzepkie mahoniowe

drzwi pozostały jednak nadal nienaruszone; niemal pół godziny zajęło im wyważenie ich przy pomocy łomu i dłuta. Nie otwierano ich od tak dawnych czasów, do jakich mogła sięgnąć pamięć najstarszego mieszkańca uliczki. A w środku, kiedy usunęli przeszkodę, znaleźli tylko posępne śmieci w postaci przegniłych ławek i osypanego tynku w obramowaniu pozbawionej dachu skorupy, przez którą zagładały gwiazdy. Po pierwsze, nie mógł się tu dostać, ani, gdyby jednak mu się udało, nie mógłby się z powrotem wydostać z tej kwadratowej kamiennej celi, jaką była teraz kaplica.

Wyszli na dwór, otrzepując pobielone rękawy, kaszląc i kichając, a ktoś też opatrywał sobie ukąszenie skorpiona na grzbiecie dłoni.

Parę chwil później dotarli do Plaza de los Mártires; poszukiwania siłą rzeczy dobiegały końca.

Żądni sensacji gapie zaczęli się rozchodzić z rosnącą szybkością. Wybiła północ na wieży tutaj, na wieży tam. Podtrzymywany drewnem reflektor strażacki nagle zgasł, wóz odjechał. Zdjęto sznury. Mieszkańcom pozwolono wrócić. Tu i tam w wykadzonych budynkach, w miarę jak znowu się zasiedlały, zaczynały mrugać lampy oliwne, naftowe i świeczki. Ludzie stali przez chwilę w małych grupkach przed drzwiami, omawiając to wydarzenie. Następnie i one rozproszyły się, gdy ich członkowie szli, jeden po drugim, do swych mieszkań, by położyć się spać. Uliczka powróciła do normy.

Większość policji wycofano. Zostawiono na posterunku na resztę nocy po jednym człowieku przy obu krańcach uliczki, choć trudno było domniemywać, w jakim celu.

Noc ciągnęła się ku swemu wyznaczonemu z góry końcowi, dokładnie tak, jak robiła to każda poprzednia noc.

W każdym razie jedno było jak dotąd pewne z całego tego epizodu. Jaguara nie schwytano. Zatem jaguar nadal musiał być gdzieś na wolności.

Nadszedł poranek i w jego budzącym ufnosć świetle zaczęto przyjmować inny pogląd na całą sprawę. Jasne, słoneczne światło dnia zabiło lęki i wapory. Niewiarygodnym wydało się, że coś tak dziwaczного *mogło* się wydarzyć. Ciudad Real już i tak było miastem urodzonych sceptyków. Zanim wszędzie przelknęto poranne kawy i słodkie bułki, rozeszła się plotka, że cała ta afera była po prostu oszustwem, którego dla rozgłosu dopuściła się Walker i jej

agent prasowy. Jak ten częsty numer z zaginionymi klejnotami aktorki. Fakt, że teoria ta nie wyjaśniała, co właściwie stało się z chryzą czworonogiem, nie osłabił gotowości do dawania jej wiary; przekazywano ją z ust do ust. Nawet ci, którzy poprzedniej nocy jako pierwsi zamykali drzwi na klucz i trwożliwie zagląдали pod łóżka, jako pierwsi mówili: „Cały czas wiedziałem. Ty chyba w to nie uwierzyłeś, co?” Po czym ten drugi drwił: „Jasne, że nie, za kogo mnie masz?” Mimo faktu, że było kilkudziesięciu naocznych świadków, plotce niemal udało się obalić rzeczywistość. Po pewnym czasie sami świadkowie czuli się zakłopotani, kiedy próbowali się upierać, że widzieli jaguara. Ostatecznie zaczęli się w duchu zastanawiać, czy rzeczywiście go widzieli.

Gazety, te barometry opinii publicznej, pomogły rozpowszechnić ten punkt widzenia. Wszystkie publikowały artykuły na ten temat, ale podeszły do niego humorystycznie, z językiem w policzku. „Wielka panika przed jaguarem”, „Osoba posiadająca jaguara panny Walker proszona jest o zwrot” – brzmiały niektóre z nagłówków. W całym mieście ludzie witali się żartobliwie słowami: „I jak, widział pan już jaguara?”

Policja, zatrzymując swoje zdanie dla siebie, może nawet cieszyła się z takiego obrotu spraw. Oszczędził on jej przynajmniej kłopotu tuzinów historycznych fałszywych alarmów w ciągu dnia. W tej sytuacji nie zgłoszono ani jednego. Można było zauważyć, że nie porzucili zupełnie poszukiwań, co było pewnym znakiem, iż jednak jest czego szukać. Tyle że poszukiwania stały się bardziej rozproszone; trudniej było człowiekowi z ulicy powiedzieć, co robi policja, teraz, gdy nie było już jednej konkretnej lokalizacji, takiej jak tamta uliczka, na której mogliby się skupić.

Manning, przez tę sprawę, spędził bardzo nieprzyjemne dwadzieścia cztery godziny. Nie tylko został zatrzymany w areszcie na całą tę pierwszą noc, pod zarzutem naruszenia jakiegoś tego czy innego strasznie starego przepisu miejskiego, który zabraniał przewozu dzikich zwierząt ulicami bez pozwolenia, rano został postawiony przed sądem, wysłuchał surowej nagany za swoje wykroczenie i przed zwolnieniem dostał karę grzywny w symbolicznej kwocie; ale w dodatku stracił pracę u Kiki Walker.

Oznajmiła mu to w bardzo jasny sposób przez okienko nad zamkniętymi drzwiami jej hotelowego apartamentu, gdy próbował wejść, by się z nią zobaczyć

w wieczór po klęsce. Jej głos rozbrzmiewał dźwięcznie; właściwie tak dźwięcznie, że po paru chwilach tu i tam wzdłuż hotelowego korytarza zaczęły się otwierać z zaciekawieniem inne drzwi.

– Ależ ty masz tupet, żeby jeszcze przychodzić tutaj po tym, co się stało! Chcę, żebyś wiedział, że przez ciebie stałam się pośmiewiskiem całego miasta! Zmiataj stąd! Zabierz gdzie indziej swoje świetne pomysły!

– Kick, posłuchaj, wiesz przecież, że nie tak to planowałem – próbowałem ją przekonać.

– No i załatwiłeś mi zdjęcia w gazecie, nie ma co! – ciągnął dalej jej rozniewany głos. – Widziałeś to w *Gráfico*? Leżę na tyłku z nogami w powietrzu i puszczam między nimi strugę wody sodowej! Kiedy w przyszłym tygodniu w teatrze podniesie się kurtyna, wszyscy będą widzieli właśnie *to*, a nie występ, który będzie się toczył przed ich oczami! Zmiotą mnie śmiechem ze sceny!

– Wróć, jak ochłoniesz – powiedział sztywno. – Nie musisz urządzać takiej sceny. Wszyscy wyglądają ze swoich pokoi i śmieją się ze mnie.

– A co ze mną, pośrodku Alamedy, na widoku całego miasta?

– Dobra, do zobaczenia jutro – powiedział, starając się nie nadwerężyć stosunków między nimi, bez względu na to, jak kruche się stały. Przecież z nich żył.

– Do zobaczenia *nigdy*!

Nie zdawał sobie sprawy, a być może nawet ona sobie tego nie uświadamiała, że to nie wydarzenie z jaguarem było zasadniczą przyczyną jej gwałtownego oburzenia. Tak naprawdę było nią ich pierwsze spotkanie. Widział ją, kiedy była bez grosza, miała złą passę, nie mogła nawet kupić sobie kawy. Nigdy nie potrafiła mu tego wybaczyć.

– Masz tu swoją zaległą wypłatę. Teraz nie będziesz miał powodu, żeby tu więcej przychodzić. Jesteśmy kwita!

Przez otwarte okienko nad drzwiami wysypała się garść dużych krążków, srebrnych pesos z Ciudad Real, które potoczyły się po korytarzu we wszystkie strony. Jedna czy dwie z osób stojących w progach swoich pokoi usłużnie zatrzymały je dla niego stopami. Za monetami, nieco wolniej, zatrzepotał rozsypany plik banknotów.

Podniesienie ich wszystkich, do ostatniego peso, nie było poniżej jego godności. Ciężko pracował na te pieniądze, i to w sposób, który w zasadzie nie współgrał z jego temperamentem ani talentem. Potrzebował ich. I nie wiedział, skąd zdobędzie następne.

– Dobra, Kick – powiedział z urażoną godnością. – Życzę ci dużo szczęścia, skoro tak do tego podchodzisz.

Okienko nad drzwiami zamknęło się z krótkim, ostrym trzaśnięciem. Manning postawił kołnierz płaszcza na karku, wetknął dłonie głęboko do kieszeni i posępnie odmaszerował stamtąd.

Kiedy mężczyzna traci pracę, pierwsze, o czym zwykle myśli, to wyjść gdzieś na drinka i na chwilę zapomnieć o kłopotach. Manning też tak teraz zrobił. Tyle że zorientował się, iż nie dane mu będzie nawet zapomnieć o tej przeklętej sprawie w spokoju.

Poszedł do lokalu o parę przecznic od jej hotelu.

– I jak – spytał barman, uśmiechając się z tym, co w zamierzeniu miało być towarzyską żartobliwością – widział pan już jaguara?

Manning nagle odstawił drinka, jakby go od niego zemdliło. Odpłacił się barmanowi takim spojrzeniem, jakby ten też wywoływał w nim mdłości. Cisnął monetę na kontuar, odwrócił się i wyszedł bez słowa, po czym skierował się do innego lokalu.

Znowu zamówił. Znowu barman, dbając, by klient poczuł się jak w domu, zaczął wesoło: – Co nowego słyhać na temat jaguara?

Znowu Manning odstawił od razu drinka, nachmurzył się i odwrócił na pięcie.

W trzecim lokalu uprzedził cios barmana. – Chcę dwóch rzeczy – oznajmił gorzko. – Whisky z wodą i *nie* słyszeć o jaguarze. Zrobi to pan dla mnie, postara się o nim nie wspominać? Przyszedłem tu, żeby o nim zapomnieć. – Narysował w powietrzu wyimaginowaną linię wzdłuż swojej twarzy. – *Terminado*. Skończone. Już po wszystkim.

Ale nie było po wszystkim.

Nad Ciudad Real tkwiła enigmatycznie noc, zdając się wstrzymywać oddech. Trzy czwarte miliona ludzi, a gdzieś pośrodku wysmukły cień o aksamitnym kroku i z kłami dla tych, którzy przetną jego feralną drogę...

2.

TERESA DELGADO

Nawet niezawodny kij od miotły señory Delgado, ten środek perswazji ostatniej instancji, zdawał się odnosić dziś wieczorem bardzo mizerny skutek, jeśli chodzi o sprawienie, by najstarsza córka wykonała jej polecenie. Sięgnęła groźnie w jego stronę, i zwykle samo to było wystarczającym impulsem, by dziewczyna ruszyła w kierunku drzwi. Dzisiaj nie zadziało. Następnie wzięła miotłę i zaczęła nią wymachiwać. I to zawiodło. W końcu zmuszona była rzeczywiście przeciągnąć ją po łydkach krnąbrnej osoby, by ją pogonić. Nawet to okazało się częściowo porażką. Dziewczyna po prostu przesuwała się zwinnie z boku na bok, ale prawie nie ustępowała pola. Większość lekkich zamachów chybiała celu i lądowała na ścianie, jako że dziewczyna za każdym razem unikała znajdowania się na ich drodze.

Zawsze pojawiała się niechęć, opieszałość, walka, kiedy tylko wypływał temat wyjścia po sprawunki. Ale dzisiaj w grę wchodziło coś więcej. Nastal impas, forma biernego oporu. Z takim sprzeciwem nigdy wcześniej się tu nie spotkano. Dziewczynę zdawało się powstrzymywać coś silniejszego od strachu przed lekkimi uderzeniami miotły matki.

Skuliła się w milczącym proteście pod ścianą, z wielkimi, lśniącymi czarnymi oczami wbitymi błagalnie, choć tajemniczo w matkę cały czas, gdy nadal odkakiwała przed naprawczymi działaniami miotły. Była dość wysoka jak na swój wiek, a zwłaszcza jak na rasę swych przodków; już w pełni wyrosnięta pod względem wzrostu, jeśli jeszcze nie pod względem obwodu. Miała osiemnaście lub siedemnaście lat. Albo może szesnaście; w tym domu nie mierzono niczyjego wieku ze zbyt wielką dokładnością. Skórę miała koloru bladego złota pszenicy, który jednak z wiekiem miał prawdopodobnie nieco ściemnieć. Przywdziała *rebozo** – wszechobecne nakrycie głowy latynoamerykańskich

dziewcząt i kobiet z niższych klas – w ramach przygotowań do wyjścia, ale poza tym jednym krokiem zdawała się niechętna czy niezdolna opuścić dom.

* Szal, niemal zawsze w kolorze niebieskim, owinięty wokół głowy jak czepiec, z jednym końcem zarzuconym za przeciwległe ramię (przyp. aut.).

Matka zaczęła teraz dźgać miotłą w stronę córki, skoro frontalne machnięcia nie odniosły skutku. Jazgotała przy tym oskarżycielsko: – Już trzy razy cię prosiłam! Pójdiesz wreszcie? – Pchnęła miotłą. – Czy jakakolwiek inna kobieta w mieście ma z dziećmi takie kłopoty? Dlaczego tak mnie zasmucasz, Tere-so? Co takiego dziś w ciebie wstąpiło? Czy to taka wielka prośba, żebyś przyniosła trochę węgla drzewnego z *tiendy*, by twój biedny ojciec mógł dostać ciepłą stawę, kiedy po ciężkiej pracy wróci do domu? Przez ten czas zdążyłabyś już ze dwa razy obrócić tam i z powrotem!

– *Madrecita* – błagała żałośnie – może dla odmiany Pedro by poszedł? Ja pracuję cały dzień w pralni i jestem zmęczona.

– Pedro się do tego nie nadaje i sama o tym wiesz. Przez całą drogę podrzuca pieniądze w górę i na pewno je zgubi.

– A może byś do jutra używała patyków albo papieru? Czemu muszę iść teraz?

– Czy papier to węgiel? Na jak długo starcza? Staje w płomieniach i już go nie ma! – To jej przypomniało. Na chwilę zaniechała grzmocenia miotłą, by potoczyć się do wyłożonego rdzawymi płytkami *braseiro*, piecyka, od którego jakiś czas temu odeszła. Chwyliła wachlarz z liści palmowych, szarpnięciem odsunęła na bok gliniane naczynie i z niepokojem zaczęła wachlować odsłonięty w ten sposób otwór, aż znowu pod spodem pojawił się przytłumiony czerwony żar.

– Widzisz? – spytała oskarżycielsko. – Już przygasa! Jeśli zgaśnie zupełnie...

Skoczyła znowu po miotłę, tym razem zdecydowana wykonać ostateczny etap kary cielesnej, skoro zawiodło wszystko inne: prawdziwe okładanie po ramionach. W obliczu takiego ataku dziewczyna w końcu wycofała się aż do progu, ale potem nadal tam tkwiła, jakby wbrew okolicznościom miała nadzieję na jakieś cudowne ulaskawienie w ostatniej chwili.

Mały chłopiec lat dziewięciu lub dziesięciu, wyżej wspomniany Pedro, wyjął

twarz z miski, w której dotąd była schowana, i zauważył kpiąco: – Ja wiem, czego ona się boi. Boi się jaguara.

Dziewczyna posłała mu spojrzenie, które równało się przyznaniu.

I potem, jakby pierwsza wzmianka na ten temat, pochodząca od kogo innego, wystarczyła, by nareszcie uwolnić jej własną umiejętność wysławiania się, zaczęła molestować matkę na poły zapalonym, na poły osłabłym głosem: – Mówią, że gdzieś tu taki chodzi. Mówią, że jakaś bogata pani trzymała go na sznurku, a on uciekł i jeszcze go nie znaleźli. Słyszałam, jak dzisiaj rozmawiały o nim dziewczyny w pralni...

Miotła zatrzymała się tylko na chwilę. – Jaguar? A co to takiego, jedno z tych stworzeń, które mają w górach?

– Są wielkie i skaczą na ciebie – wtrącił psotny Pedro, posyłając siostrze spojrzenie z ukosa, zdradzające, co dało mu asumpt do takiej uwagi.

Señora Delgado nie zamierzała słuchać tych bzdur. Zbyt była zapracowana i stroskana, by brać pod uwagę cokolwiek spoza jej codziennej harówki i zwyczajów. – Czy zdarzyło ci się kiedy spotkać jedno z tych stworzeń, kiedy chodziłaś dla mnie do *tiendy*? – ryknęła.

Dziewczyna przełknęła ślinę i niemo pokręciła głową.

– W takim razie i tym razem go nie spotkasz! A teraz wychodź! Rób, co ci kazałam! – I wzięła taki rozstrzygający zamach miotłą, że dziewczyna otworzyła znajdujące się za nią drzwi i tyłem wymknęła się na dwór, a jej wielkie oczy mokre od łez, nadal błagające na próżno, zniknęły ostatnie.

Rozgniewana señora Delgado odłożyła miotłę i powróciła do przerwanych obowiązków, utyskując ponuro i potrząsając głową. Jednak chwilę później drzwi otworzyły się ukradkiem i dziewczyna podjęła próbę przemknięcia do domu nie zauważona za plecami matki.

Ta dostrzegła ją w ostatniej chwili, gwałtownie ruszyła ku niej, ale drzwi zamknęły się po raz drugi, nim udało jej się do nich dotrzeć, i dziewczyna znowu była na zewnątrz.

Señora Delgado zajęła się tą sprawą, zasuwając środkowy rygiel, nie bez wielkiego trudu. Zardzewiał z braku używania. Nie wsuwano go do gniazda pewnie całe lata. Ich drzwi nigdy nie były ryglowane; w mieszkaniu nie było

nic, co ktokolwiek chciałby ukraść. Z rygła odpadły płatki chropawej rdzy i w powietrze wzbijała się mała chmurka kurzu, gdy wreszcie wepchała go aż do końca, siłą, zmuszona użyć obu posągowych przedramion, by go ujarzmić.

Następnie pokręciła głową do niewidzącej drewnianej bariery. – Teraz zostaniesz na dworze, póki nie zrobisz, co ci kazałam! Nie wejdiesz do środka, póki nie przyniesiesz tego węgla!

Na zewnątrz dziewczyna skuliła się na chwilę pod osłoną zagłębionego w ścianie wejścia. Naciągnęła *rebozo* ciasno na usta. Miało chronić ją przed nocnym powietrzem, znanym z niezdrowego wpływu; powstrzymać je od przedostania się do jej nozdrzy i dróg oddechowych. Tylko obcy, Amerykanie i im podobni, nie zważali na nie. Zerknęła przezornie w jedną i drugą stronę brudnej, stromej uliczki slumsów, na którą wychodził jej dom. Nie prostej, lecz zakrzywiającej się stopniowo. Bez chodników, tylko ze środkiem drogi. Na jednym jej końcu pobłyskiwała żałośnie samotna mizerna latarnia, pozostawiając resztę w cieniu. Ale ona musiała pójść w przeciwną stronę, pozbawioną latarń. Nigdzie nie było widać żywej duszy. O tej porze wszyscy siedzieli już w domach. Zbyt ciężko się tu pracowało. Przebywanie nocą poza domem było dla bogatych. Co innego w noc fiesty. Albo kiedy głowa domu zachodziła na parę godzin do szynku, to też było co innego. Ale nawet wtedy nie stali na ulicy, tylko w czterech ścianach.

Cóż, do *tiendy* nie było daleko. Nie mogła wrócić do domu, póki nie przyniosła węgla, więc im szybciej to zrobi, tym lepiej. Ruszyła śmiało od progu, szła środkiem drogi, obejmując się mocno ramionami pod rąbkami *rebozo*, z oczami czujnie przesuwającymi się z boku na bok w owalnej szparze, jaką zostawiła sobie na twarzy.

Minęła jakby stępiony róg, tworzony przez uliczkę w miejscu, gdzie łączyła się z następną. Przez chwilę widziała rozcieńczone brunatne światło dochodzące z wnętrza *tiendy*, w dole przed nią. Ta nowa ulica ciągnęła się dalej w dół w tym samym kierunku, w którym biegła jej własna. Całą tę dzielnicę zbudowano na stoku prowadzącym do wyschniętego koryta tego, co kiedyś było rzeką.

Jednak gdy je dojrzała, jakby czekało na nią tylko tak długo, by mogła je zidentyfikować, światło zgasło. Stara pani Calderon zamknęła na noc. Nie miało

to nic wspólnego z żadnymi godzinami pracy; prawdę powiedziawszy, nie umiała odczytywać godzin ani nie miała zegarka, podobnie jak cała reszta jej sąsiadów. Zamykała, gdy po ostatnim kliencie następowała wystarczająco długa przerwa, sugerująca, że żaden kolejny już się tego wieczora nie pojawi. Tym sposobem jednego dnia mogła zamknąć o dziesiątej, następnego o jedenastej, a jeszcze następnego o dziewiątej.

Dziewczyna posłała stamtąd, gdzie stała, ostrzegawczy okrzyk, starając się zatrzymać ją przy drzwiach, póki do nich nie dotrze; zaczęła chyżo zbiegać w dół w ich stronę. Dotarła chwilę za późno; od wewnątrz wisiała kłódka. Jako że był to skład handlujący takimi kosztownościami jak cukier, świece, cieciorka i tak dalej, zamykano go na noc, w odróżnieniu od domostw dookoła.

Gdy przyłożyła twarz do szklanego okna wystawowego z boku drzwi, nadal widziała błądzący blask świecy bijący spoza jakiejś wiszącej na tyłach zasłonki. Elektryczność dla frontowej części sklepu, świece dla części mieszkalnej na zapleczu, to był naturalny porządek rzeczy, nic w tym dziwnego. Z nadzieją zastukała w okno otwartą dłonią.

Zasłonkę odciągnięto częściowo, po przekątnej, i pokazała się starsza pani Calderon, już częściowo w dezabilu, czyli boso i z warkoczem platynowych włosów odwijanym z głowy i przewieszonym swobodnie przez ramię.

– Potrzebuję tylko małej torebki węgla drzewnego na kolację dla ojca! – zawołała Teresa Delgado przez szybę między swymi dłońmi.

Właścicielka *tiendy* pokręciła głową, machnęła ręką, by dziewczyna odeszła, podczas gdy sama dalej odwijiała warkocz. – *Mañana*. Jutro.

– To zajmie tylko sekundę. Skoro i tak pani tu jest i rozmawia ze mną, mogłaby pani odważyć trochę... – Podniosła monetę, by jej pokazać.

– Ale wtedy musiałabym z powrotem zdjąć kłódkę, włączyć światło i grzebać w worku. Za dużo zachodu. Jak już zamykam, to zamykam. – Zasłonka znów opadła pionowo i kobieta zniknęła.

Zawiedziona dziewczyna odwróciła się. Teraz będzie musiała albo wrócić do domu bez węgla, albo przejść całą drogę aż do tamtego drugiego sklepu, wiele ulic stąd, po drugiej stronie wiaduktu. Nie było żadnego bliżej. Wiadukt to solidnie wymurowana bariera podtrzymująca bulwar, który przecinał dawne

koryto rzeki na wysokości równej jego brzegom. By przedostać się na drugą stronę, trzeba było przejść łukowatym tunelem biegnącym przez jego podstawę. Zawsze, nawet przedtem (czyli przed tą *plotką*), dostawała gęsiej skórki, kiedy musiała przejść tamtędy tak późno, kiedy już prawie nikogo nie było w pobliżu. W środku panowała taka ciemność...

Albo jeśli wróci do domu bez węgla, matka jej nie wpuści. Albo, jeśli wpuści, pewnie nie uwierzy, że sklep był zamknięty, i znowu potraktuje ją miotłą.

Bardziej rzeczywisty strach zawsze wygrywa z lękiem bardziej bezkształtnym, nawet gdy jest mniejszy z nich obu. Niechętnie podjęła na powrót schodzenie w dół w stronę wiaduktu, zamiast zawrócić do domu.

Gdy doszła do niego i miała już wejść, wzięła głęboki wdech, zaopatrzyła się w tyle powietrza, by wystarczyło jej aż do drugiej strony. Panowała nieprzenikniona czerń. Nachylenie gruntu na zewnątrz nie pozwalało jakimkolwiek refleksom światła lamp w oddali przedostać się do tunelu, poza malutkie wgłębienie u samego wejścia. Można by pomyśleć, że powinni przynajmniej powiesić lampę w tunelu albo tuż nad wejściem. Cóż, próbowali wiele razy, ale dzieciaki, które bawiły się tutaj za dnia, zawsze w końcu rozbijały ją przed upływem tygodnia, tak że w końcu zaprzestali starań.

Jej kroki zaczęły odbijać się dudniącym echem, gdy tylko zamknęło się nad nią niewidoczne, zaokrąglone sklepienie, a kamienna konstrukcja dookoła sprawiała, że powietrze stało się trochę wilgotniejsze i bardziej zatęchłe. Raz, mniej więcej przed rokiem, znaleziono tu kogoś martwego. Z nożem w brzuchu i kieszeniami... Ale nie chciała teraz o tym myśleć. To nie był odpowiedni moment.

Nieświadomie przyspieszyła kroku od chwili wejścia. Jej oczy, zawsze lśniące i wielkie, w mroku musiały być olbrzymie, choć nie było ich widać. *Gracias a Dios*, tunel nie był długi, tylko przez szerokość biegnącego górą bulwaru. Dotarła już do połowy drogi. Jej kroki dźwięczały, pam, pam, pam, pam, jak stukanie tykwami, gdy kamienie na górze oddawały dźwięk kamieniom na dole.

Proszę – widziała już przed sobą otwór; wychodziła. Z powrotem zaczęła oddychać i dopiero robiąc to, zdała sobie sprawę, że dotąd nie oddychała.

Przed nią na dworze nie było o wiele jaśniej niż w środku; z gładką fakturą czerni mieszało się kilka pyłków granatu czy szarości, nadając jej wygląd przetartej, to wszystko. Ale głęboki rezonans jej kroków zaczął nieco tracić na sile, a powietrze stawało się trochę mniej wilgotne i duszne. To raczej te sygnały świadczyły o zbliżającym się wynurzeniu niż sam widok.

I wtedy, gdy spieszyła się na otwartą przestrzeń, traf chciał, że zerknęła w bok. Bez przyczyny lub takiej przyczyny, która przyciąga bezmyślne spojrzenie tam, gdzie zdaje się nie być ku temu powodu, choć tak naprawdę jest. Gardło jej nagle spuchło od zagęszczonego oddechu. Co to było? Tam ściana musi być mokra, na pewno przez spoiny między kamieniami cieknie woda. Zauważyła bowiem coś w rodzaju odbitego przeblysku, opalizujące mruganie, jak gdyby światło przed wejściem do tunelu...

Ale na zewnątrz przejścia nie było żadnego światła, niczego, co mogłoby sięgnąć tak daleko do środka, utworzyć odbłask tak wysoko na kamiennej obmurówce tunelu. Nie był rozległy, nie zajmował dużej płaszczyzny; nie był też ciągły, w pionowej linii, jaką mogłaby utworzyć woda. Jeśli to była woda, przybrała formę dwóch kropli, jedna obok drugiej. Dwóch wydłużonych, niemal rozszczepionych kropli; przypominających pręciki; jak bakterie widziane pod mikroskopem. Lekko drżące, jakby od wewnętrznego żaru unoszącego się w górę za nimi, w dymiącej, siarkowej, żółtawej zieleni. A jednocześnie niewyraźne, nie odznaczające się zdecydowanie od czerni, nic z tych rzeczy. Raczej rozmyte, płytkie lśnienie, które, gdyby nie sama czerń, przez którą oko, jej oko, nie mogło zawiesić się na niczym innym, zupełnie umknęłoby jej uwadze.

To nie były chyba oczy... inne oczy? Tak niezmiennie zachowywały swą dwoistość, równą odległość między sobą, swą napiętą, wyprężoną sugestią złośliwego przyglądania się... Nie, oczywiście, że nie. Jakżeby mogły? Co tutaj robiłyby oczy i... tak w ogóle, to czyje one miałyby być i... Tylko żeby nie były; nie myśl, że to są oczy; jeśli będziesz myślała, że nie są, to nie będą. To tylko lekkie lśnienie dwóch małych, zamkniętych wybrzuszeń, dwóch nierówności kamienia położonych obok siebie, to wszystko.

Przesunęło się teraz do tyłu, jako że jej stopy nie przestały wykonywać swego obowiązku, niczym żołnierze nie przestający wykonywać otrzymanych

uprzednio rozkazów długo po tym, gdy oficer dowodzący utracił zdolność wydawania czy nawet wymyślania nowych. Nie śmiała spojrzeć za siebie, gdy już ciągłość jej linii wzroku została przerwana; bała się, że zbudowana przez nią pieczołowicie z zapalek konstrukcja wytłumaczenia nie wytrzyma drugiego, sprawdzającego spojrzenia, że może rozpaść się przy tym na kawałki.

Jeszcze kilka krótkich kroków i na powrót otworzyło się dokoła niej nocne niebo. Spójrz, gwiazda. I jeszcze jedna. Och, piękny przestwór nocy. Prze-strzeń, w którą można wbiec. Nawet ciemność mniej ciemna, z barwami pod powierzchnią: przybrudzoną sadzą bielą oraz podtopioną zielenią i błękitem. Dudnienie jej miarowych kroków przeszło w turkot rozpedzonych stóp, z jed-ny-m skrajem *rebozo* trzepoczącym za nią.

Zatrzymała się dopiero, kiedy zobaczyła przed sobą, za zakrętem pokręco-nej bocznej uliczki, bladą srebrzystość sklepu, padającą wachlarzem w poprzek ziemi. Jaki piękny się zdawał, z przewieszoną przez front poszarpaną frędzlą z papieru, zwiotczałą od wielu deszczów i z kolorami, na które kiedyś była po-farbowana, zamienionymi w smugi na pokrytej tynkiem ścianie. Jak przyjaciel-sko zabrzmiał dysonansowy brzęk dzwonka nad drzwiami, gdy pchnęła je, wchodząc. Jak uroczo było w środku, z zapachem konopi, lin i nafty.

Stary Bask prowadzący sklep wyszedł z tylnej części domu, cmokając jesz-cze wargami po posiłku, z beretem pozostającym na głowie nawet podczas jedzenia. Znał ją z widzenia. – A, Teresita. – Pokręcił głową, odważając wę-giel. – Nie powinni cię wysyłać samej o tej porze, *hijita*.

Była dzielna, teraz gdy znowu była bezpieczna. Nie zamierzała się przy-znawać, jak bardzo sama przed chwilą się bała. Przebiegła palcami po skraju lady. – A co mi się może stać? To przecież Ciudad Real.

– Stać się może wiele rzeczy – odparł enigmatycznie.

Wymienili spojrzenia pełne wzajemnego zrozumienia. Ale nie powiedzieli, co mają na myśli. Nie było to konieczne. A więc on też o nim słyszał. Wiedzia-ła, o co mu chodziło. I on wiedział, że ona wie.

Starła się na wszelkie sposoby przedłużyć trywialną, drobną transakcję. Bo póki trwała, oznaczała bezpieczeństwo, światło, towarzystwo drugiej osoby. Potem znowu nadejdzie ciemność, strach i osamotnienie.

- Czy to się nie wysypie?
- Nie, tylko trzymaj prosto; złap dwa rogi razem, w ten sposób...
- O, jaki śliczny kot!
- Już go widziałaś. Nie pamiętasz? Zawsze go miałem.
- A tak, rzeczywiście. Chyba go widziałam. – Rzuciła krótkie spojrzenie na drzwi za sobą, kładąc pieniądze na ladzie.
- Za mało ci dali. Węgiel podrożał.
- Oddam następnym razem. Zaufa mi pan? Mieszkam w Pasaje del Diablo, po drugiej stronie wiaduktu...
- Spokojnie. Następnym razem, jak tu zajdziesz. Biedni nie oszukują siebie nawzajem, wszyscy są razem w swojej biedzie.
- No to... dobranoc, señor. – Zdawało się, że musi to sobie wycisnąć z gardła, tak niechętnie z niego wychodziło.

– Dobrej nocy, Teresita. Lepiej szybko wracaj, nie marudź po drodze.

Dzwonek zabrzączał raz jeszcze i znowu była na zewnątrz, w ciemności. Ale jak pośępnie i rozpaczliwie brzmiał tym razem; jakby na pożegnanie.

Wachlarz światła na ziemi za nią powoli się złożył, obrócił w drugą stronę, gdy boczna droga zakręciła. Dziewczyna szła nią normalnym krokiem, póki zakręt się nie skończył, a ona znów znalazła się w zasięgu wzroku tej czarnej, łukowatej paszczy wiaduktu. Wtedy zaczęła przyspieszać, iść coraz szybciej – *ku niej*, to prawda, ale po to, by przedostać się przez nią na drugą stronę tak szybko, jak się da. Próbowała tłumaczyć się wymówką, że ojciec do tej pory mógł już wrócić do domu, a ona oberwie miotłą za to, że tak długo nie przynosiła węgla. Ale wiedziała, że to wcale nie jest prawdziwy powód.

Mogła pójść inną drogą, górą i po bulwarze. Było miejsce, gdzie z boku podpierającej go konstrukcji wbudowano schody. Ale wtedy musiałyby nadłóżyć drogi o kilka przecznic, by dojść do nich, a potem wrócić w odpowiednie miejsce po przeciwnej stronie. A co tam, przecież przechodziła tędy kilkadziesiąt razy. Raz więcej nie zaszkodzi. Skoro przeszła tunelem przed chwilą i nic się jej nie stało, w takim razie z pewnością będzie mogła przejść jeszcze raz w drodze powrotnej i też nic się jej nie stanie.

Gdy była zajęta takimi właśnie próbami racjonalizacji strachu, oddzielająca

przestrzeń się skończyła i w nocne niebo zaczął wzbijać się przed nią jak góra wiadukt, niczym pionowa ściana urwiska, zasłaniając gwiazdy w miarę wznoszenia. Wysoko na jego szczycie widniała niewyraźna, krucha błękitna mgielka od łukowych lamp stojących rzędem wzdłuż drogi, a samochody, jak wiedziała, prawdopodobnie miały to miejsce ze świstem, zupełnie nieświadome małej dramatycznej przygody mającej miejsce poniżej, w zacienionych głębinach jaru. To było miasto; wirujące spiralnie płaszczyzny egzystencji nie wiedzące o sobie nawzajem.

Oto i dotarła do tego miejsca. Kamienny owal – czy raczej polował – śmiął jej nad głową niczym czarna kosa. Jej kroki znów zaczęły dźwięczeć w tym dudniącym rytmie. Nie zamierzała patrzeć, zamierzała dopilnować, że niczego *nie* zobaczy, gdy dotrze w pobliże miejsca, gdzie za pierwszym razem wyobraziła sobie, że widzi te bliźniacze fosforescencje; tak postanowiła wczasy. „Jeśli nie spojrzę – przekonywała łagodnie samą siebie – to tego nie zobaczę, więc nie będzie mogło mnie znowu przestraszyć. Prawdopodobnie i tak nic tam nie ma; tylko to sobie wyobraziłam”. Ale prawdziwym powodem był jej strach, że to nadal tam *będzie*, jeśli spojrzy.

Skoro to coś znajdowało się, rzekomo, przed nią i w takim razie trudno byłoby utrzymać to poza polem widzenia, szła naprzód, trzymając głowę odwróconą sztywno, zwróconą w przeciwną stronę. Nie potrafiła dokładnie zidentyfikować miejsca, gdzie było, w tej zamazującej wszystko ciemności. Nie dałoby się w niej zobaczyć własnej ręki trzymanej przed twarzą. Musiała sugerować się w przybliżeniu odległością, w jakiej za pierwszym razem znajdowało się od wejścia, tego, przez które właśnie weszła. Było bardzo blisko niego; nie więcej niż piętnaście czy dwadzieścia kroków w głąb. Teraz dotarła mniej więcej piętnaście czy dwadzieścia kroków w głąb.

Kark miała wygięty w sztywnym łuku, w jakim go utrzymywała. Trudno szło się z głową skierowaną w jedną stronę, a ciałem w drugą. Głowa sama próbowała się odwrócić. Zaczęła powtarzać sobie tabliczkę mnożenia, by zająć czymś myśli.

Nie została w szkole długo; pracowała w pralni, odkąd skończyła dwanaście czy trzynaście lat. Ale umiała trochę pisać, trochę czytać – kiedy słowa nie były zbyt długie – i знаła kilka pierwszych części tabliczki, przez dwa i trzy,

mniej więcej do dwudziestu. Oddech zaczął jej cicho poświstywać przy jej powtarzaniu. – Trzy razy jeden równa się trzy. Trzy razy dwa równa się sześć. Trzy razy trzy równa się...

No, teraz już na pewno to minęła. Widzisz, jak łatwo? Widzisz, jaki to był rozsądny pomysł? Pozwoliła głowie powrócić powoli do naturalnej pozycji. Nic przed nią, nic z boku; nic prócz równej, niezmaconej czerni, bez żadnych zielonkawych poblasków, żadnych migotań. A za nią? Cóż... lepiej było nie sprawdzać, nie ruszać tej sprawy. Powróciła nawet odrobina odwagi. Jeszcze kilka kroków i już w ogóle stąd wyjdzie. Ależ z niej tchórz, że tak bardzo się tym przejęła. Już za chwilę zobaczy przed sobą pierwszą gwiazdę po drugiej stronie tunelu, a potem wystarczy tylko pójść w górę niżej położoną uliczką, skręcić w Pasaje i znajdzie się pod własnymi drzwiami. Najgorsze, że...

Nagle jej serce coś zrobiło, zanim była w stanie choćby zrozumieć, dlaczego to zrobiło, jakby słyszało lepiej niż jej własne uszy. Ominęło jedno uderzenie albo wykonało o jedno więcej, czy coś w tym rodzaju. Oddech znowu uwiązał jej w gardle, tak jak poprzednim razem. Tylko stopy nadal się poruszały, wykonując obowiązek za całą resztę jej.

To ciche, przytłumione *plaśnięcie* za nią nie było dźwiękiem pochodzącym od niej. Żadnym echem czy przeniesieniem żadnego jej odgłosu. Było czymś zasadniczo odmiennym, odrębnym, osobnym, co do tego miała pewność. Nasze zmysły zawsze potrafią zidentyfikować naszą własną aurę dźwięków. To nie był odgłos uderzenia obutej stopy; raczej w rodzaju czegoś wyścielanego lub bosego naciskającego nierozważnie na podłogę. Skrzyżowanie między szelstem, jaki mógłby spowodować liść, i najlżejszym z lekkich klapsów. Maleńki dźwięk, wręcz duch dźwięku, a jednak powodujący potworne, rosnące przeżalenie, pęczniejące w jej sercu i umyśle niczym balon.

Niemal upuściła mały worek węgla i ledwie chwyciła go na powrót, gdy zaczął się jej wyslizgiwać z uścisku. Chciała jednocześnie zrobić dwie rzeczy, zupełnie przeciwstawne. Jej członki chciały znieruchomieć, zastygnąć w miejscu, dać jej okazję do nasłuchiwania, potwierdzenia, odróżnienia go od dźwięków, które sama powodowała. Przeżalenie nie chciało na to pozwolić. Zatrzymanie się oznaczało śmierć. Chciała odrzucić zawadzającą torbę z węglem, natychmiast puścić się biegiem na łeb, na szyję, całą resztę drogi stąd do drzwi

jej domu. I znów przerażenie nie chciało jej pozwolić, powstrzymywało, by nadal szła tym samym krokiem co do tej pory. W ten sposób działał odwieczny instynkt unikania niebezpieczeństwa przez udawanie, że ignoruje się jego moc nad nami. Idź tak jak dotąd, a atak się opóźni, jeśli nawet tylko o chwilę czy dwie. Rzuć się do ucieczki – lub spróbuj to zrobić – a ściągniesz go na siebie o wiele wcześniej.

Nadal szła naprzód jak sztywny automat, już nieświadoma, co robią jej nogi, pozostawiając je ich własnej przemyślności. Wytężała słuch, by złapać najłżejszy... Znowu się rozległo, tym razem bliżej niej, a jednak, jakby na przekór, o wiele ciszej. Zupełne nic, szept brukowych kamieni. Naprawdę tak cichy, że gdyby nie usłyszała go za pierwszym razem, tym razem zupełnie nie wiedziałaby, że go słyszy.

Teraz zaatakowało ją coś innego, znowu spoza niej, ale tym razem na innej płaszczyźnie zmysłowej niż słuch. Rozeszło się po niej powoli, jak ściągnięcie się porów, najpierw po karku, a potem w górę i w dół wzdłuż całej długości kręgosłupa, kłujące odczucie, że jest cały czas od tyłu obserwowana, że coś idzie za nią ukradkiem, acz nieprzerwanie. Nie mogła się z niego otrząsnąć ani go zdławić. Wiedziała, że wbijają się w nią oczy, że coś stąpa krok w krok za nią w jakimś przemyślanym celu.

I w tym momencie, teraz bez znaczenia, jako że przerażenie nie miało już granic, nie było już uwięzione, lecz się poruszało, czarny łuk sklepienia tunelu cofnął się po raz drugi, a ona znowu wyszła na otwartą przestrzeń. Ale ciągnęła za sobą w tę przestrzeń przerażenie.

Jej zdrętwiałe stopy, zaczynające się chwiać przy nieprawidłowej koordynacji mięśniowej, zanosły ją kilka jardów dalej w górę uliczki. Wiedziała, że dłużej nie potrafi nad nimi zapanować; zwalniały, zatrzymywały się, już się zatrzymały. Dziewczyna znieruchomiała, cała drżąca. Od czegoś w rodzaju dochodzącego ze środka pulsowania, niczym w ataku febry.

Musiała sprawdzić, musiała wiedzieć, jej napięta od lęku dusza nie mogła tego dłużej znieść. Mięśnie karku zaczęły szarpać, ciągnąć jej głowę, by obejmowała się za siebie na naznaczone fatum wejście, które przed chwilą opuściła. I kiedy jeszcze to robiły, nim ruch się dopełnił, torba z węglem zaczęła się powoli wysuwać spomiędzy jej bezsilnych rąk, by przewrócić się na ziemię u jej

stóp w katastroficznym przeczuciu.

Tkwiła tam w pułapce tak pewnie jak atakowany przez węża ptak i nie była w stanie poruszyć się o krok, póki jej głowa nie dokończyła tego skazanego na zagładę, autodestrukcyjnego obrotu w tył, by zobaczyć, co takiego paszcza tunelu miała tuż za nią z siebie wypluć, rozwścieszona.

Powoli narastająca złość matki Teresy przybierała na sile odwrotnie proporcjonalnie do słabnącego żaru w jej *brasero*. Gdy wachlowanie przestało już wywoływać w popiele z węgla drzewnego choćby najbledszy rumieniec, jej gniew rozgorzał najgoręcej.

Pochyliła się nisko nad zawartością piecyka, sprytnie popracowała nad nią swym oddechem, starając się jednocześnie zdmuchnąć z wierzchu warstwę spalonego białego popiołu i odgrzebać iskrę żaru, który przetrwał pod spodem. To też zawiodło. Jej ogień, jądro codziennej egzystencji, wyzionął ducha.

Wyprostowała się, wyrzuciła ramiona w górę, po czym znowu pozwoliła im opaść. – Zgasł – orzekła katastroficznie. Dopuszczenie do takiej utraty ognia było niewybaczalnym grzechem. Każda kobieta, która miała go na sumieniu... cóż, wiedziała, co powiedzieliby i pomyśleliby o niej sąsiedzi.

– Może położyłabyś na nim trochę słomy, póki Teresa nie wróci? – zaproponował mały chłopiec siedzący w kącie.

– Słomy! Czy słoma to węgiel? Jak długo się pali? Staje w płomieniach i już jej nie ma, tylko w izbie zostaje pełno dymu. A poza tym i tak nie mam słomy. – Podniosła miotłę, pomachała nią groźnie w kierunku drzwi. – To jej wina. Gdyby poszła od razu, kiedy jej kazałam... A nawet teraz, czy wróciła? Widzisz, jak się guzdra! Jak mitręży po drodze! Ślimak byłby tu prędzej niż ona!

Przesunęła odrobinę gliniany garnek stojący na *brasero*. – A on wróci do domu i co zastanie? Żonę, która nie potrafi nawet dać mu ciepłej strawy. Wstyd i hańba!

Chłopiec obserwował ją w kompletnym milczeniu, trzymając dłonie na policzkach, z zachwyconym uśmiechem na twarzy.

Machnęła znowu miotłą. – Och, już ja jej pokażę! Połamię ten *palo* na dwoje na jej grzbiecie. Jutro cały dzień będzie obolała...

Nagle coś uderzyło o drzwi. Brzmiało to tak, jakby po krokach kogoś biegnącego, słyszalnych dopiero na samym końcu, nastąpiło niespodziewane rzućenie się na drzwi. Powietrze przeciął krzyk niczym nóż przedzierający się przez wszystkie szpary naraz, górą, dołem i po bokach. A potem słowa, w stłumionym paroksyzmie, jakby wymawiające je usta przyłożono do drewnianych drzwi: – *Mamacita*, wpuść mnie! Och, jeśli mnie kochasz, wpuść mnie! – Wyrzucono je wszystkie naraz w czymś w rodzaju spazmu głosu.

Señora Delgado czekała na tę chwilę, choć nie wiedziała, że przyjmie ona akurat taką formę. Skrzyżowała ręce, obejmując się nimi i kiwając głową w gorzkim, późnym odwiecie. – Ona *teraz* sobie przychodzi, co? Przybiega w końcu, co, teraz, kiedy już za późno, kiedy ogień już mi zgasł i szkoda się stała! – Zaczęła naśladować dochodzące z zewnątrz zduszone dźwięki. – *Mamacita*, wpuść mnie. Och, jeśli mnie kochasz, wpuść mnie!” Boi się ciemności, tak? Boi się własnego cienia, tak? No to zostanie sobie na dworze. Zobaczymy, jak się jej to spodoba. Nauczy się następnym razem bardziej się spieszyć...

Rozległ się odgłos paznokci drapiących bezradnie o drewno; głos był oszalały, nieopanowany, sam niezrozumiały bełkot, którego znaczenia trzeba było się domyślać. – *Ay, madrecita*, ono tu idzie, jest coraz bliżej. Widzę, jak idzie pod ścianą... Jest coraz bliżej...!

Señora Delgado krzyknęła stanowczo, powstrzymując chłopca, który zaczął skradać się bokiem w stronę drzwi. – Pedro! Nie podchodź mi do nich! – I znowu ją sparodiowała. – Ach, jest coraz bliżej, tak? Kłamstwa! *Mentiras!* Myśli, że kłamstwa ją uratują. Myślisz, że uwierzyłam, że coś tam jest na dworze? Powinno być, szkoda tylko, że nie ma! To by cię nauczyło następnym razem słuchać się matki...

Rozległ się krzyk pełnej bólu nieodwołalności, prawdziwe katharsis płuc, sprawiające, że wszystkie poprzednie zdawały się teraz niczym. Pomieszało się z nim i zamazało go, a na końcu zdławiło, uderzenie takiej gwałtowności, że zdawało się, iż cała konstrukcja drzwi się od niego zatrzęsała od góry do dołu, wygięła do wewnątrz na środku, po czym, chwilę później, na powrót zeszywniała. Wydawało się niewiarygodne, by jakakolwiek kobieta mogła zrobić coś takiego swoim ciałem, nie łamiąc przy tym wszystkich kości. Przy skraju drzwi wzbila się w powietrze chmurka pyłu z tynku.

Na drwiącej twarzy urwisa zaszła zmiana. – *Carajo, Mamai* – wydyszał ochryple. – Ona się nie wygłupia...

Ale kobieta, zmieniając swe nastawienie tak natychmiastowo jak on, zdążyła już rzucić się do przodu, choć była krępa i masywna. – Poczekaj, Tereso – wysapała. – Już idę, już jestem, już otwieram... – Desperacko szarpała za rygiel. – Tylko chwilkę, moja ukochana, *mi querida*, jeszcze tylko chwilkę. Mama tu jest, mama cię wpuszcza...

Nie chciał się ruszyć. Zaciął się. Zbyt długo był nie używany. Jego powierzchnię za bardzo przejadła rdza, a może wykrzywiło go to ostatnie uderzenie. Utkwił w gnieździe na dobre. Kobieta nie przestawała szarpać za niego rozpaczliwie. Odwróciła się lekko w bezradnej prośbie o pomoc, po czym znowu stanęła prosto. Z frustracji uderzyła jedną otwartą dłonią w drewno tuż nad rygłem, podczas gdy drugą próbowała go odsunąć.

– Pedro, Pedro, ty masz mniejsze palce...

Będące w załączku poczucie męskości chłopca ożywiło się, by zapanować nad sytuacją. Po to właśnie byli mężczyźni, duzi i mali: na takie nagłe kryzysy, wymagające użycia siły. Reszta była dla kobiet.

– Kamień... coś, czym można by to uderzyć... Dobra, już mam! Odsuń się...

Na podłodze, po drugiej stronie pokoju, leżała cegła, przyniesiona w jakimś zapomnianym celu. Chwycił ją i wrócił biegiem. Jedno uderzenie, dwa, trzy; nieposłuszny pręt odskoczył.

Przez poprzednią minutę panowała cisza, od tego ostatniego, kulminacyjnego krzyku i maniakalnego pchnięcia, ale dopiero teraz mieli czas, by zdać sobie z tego sprawę. Po drugiej stronie nic nie było słychać.

Po trwającej ułamek sekundy przerwie zobaczyła, że oczy chłopca kierują się ku podłodze. Jego nagą stopę lizał język czerwieni, wystający spod drzwi. Dokładnie rozmiaru i kształtu koniuszka ludzkiego języka. Tyle że był płynny i poruszał się strumieniem. Na ich oczach poszerzał się, wydłużał, lśnił własną zmiennością.

Chłopak chwycił za drzwi i pociągnął je do środka, zanim wzbierający powoli krzyk matki zdążył wydobyć się z jej gardła. Odskoczył zwinnie, jakby coś go ugryzło.

Było tak, jakby ktoś obrzucił drzwi od zewnątrz grudkami czerwonego błota, aż te, przylepione, utworzyły na nich coś w rodzaju kopczyka bryzgów. Wśród nich tkwiły gałganki, kępki włosów, a nawet malutkie okruchy koralu, zerwanych ze sznurka.

Masa osunęła się i rozsypała po całym progu.

Manning zobaczył ją w kostnicy, w *Caja de los Cadáveres*, pudle na trupy, jak nazywali ją bezceremonialnie ci, którzy mieli z nią do czynienia, następnego dnia, zanim przyszła po nią rodzina. Poszedł tam z jednym z ludzi z policji, inspektorem o nazwisku Robles, który czuł się zobowiązany wyświadczyć mu przysługę, gdyż Manning niegdyś załatwił mu dwa bilety na jeden z występów Kiki Walker.

– Skoro się upierasz, żeby ją zobaczyć, przyjacielu... – ostrzegał go ten Robles. – Radzę ci, żebyś tego nie robił, chyba że masz wyjątkowo mocne nerwy. Ten widok będzie ci się śnił tygodniami. Władze naprawdę powinny kazać ją skremować, jeśli jej rodziny na to nie stać. Otwórzcie tę – powiedział do osoby z obsługi. Staął z boku, by nie zasłaniać widoku tamtemu. – Makabryczne, prawda?

Amerikanin patrzył bez drgnienia. Twarz mu nieco pobladła, to wszystko. Skinął głową, porażony.

– Wystarczy – rzucił Robles do pracownika. Odwrócił się do Manninga, najwyraźniej z zamiarem uraczenia go małym kazaniem.

– Widzisz więc, do czego doprowadził twój głupi numer. Kosztował ludzkie życie. I możliwe, że to nie ostatnie, zanim sprawa się skończy. *Tego czegoś jeszcze nie złapano.*

Manning nie odpowiedział. Wpatrywał się w cementową podłogę. Ale w sposób sugerujący raczej coś w rodzaju zdziwienia niż skrucę.

– Prawnie, oczywiście, nie ponosisz odpowiedzialności – ciągnął Robles. – To znaczy, nie przewidziałeś tego, nie chciałeś, by to się stało, nie możesz być osobiście za to ukarany. Ale moralnie to twoja wina. Ta dziewczyna straciła życie wyłącznie przez ciebie. To dlatego tak łatwo przystałem na twą prośbę i zabrałem cię tutaj ze sobą, żebyś zobaczył ją na własne oczy. Może to cię czegoś nauczy.

– To nie wyrzuty sumienia kazały mi tutaj przyjść – powiedział spokojnie

Manning. – Ani niezdrowa ciekawość. Źle mnie zrozumiałeś. To tylko... cóż, odczuwam jakiś taki niepokój, z którego najwyraźniej nie potrafię się otrząsnąć, od kiedy o tym usłyszałem.

– I powinieneś – skomentował surowo Robles.

– Nie, nadal mnie nie rozumiesz. – Przeciągnął bezradnie palcami przez włosy. – Jesteś pewien, że to robota *tego czegoś*, jak je nazywasz?

Robles posłał mu spojrzenie zdumienia, przechodzącego następnie niemal w pogardę. – Co ty chcesz zasugerować, że to nie ono? Cóż, przed chwilą widziałeś na własne oczy. Co poza szponami takiego potwora mogło dokonać takich zniszczeń? Podarło ją na strzępy. O nie, co do tego nie mamy żadnych wątpliwości, bo i skąd? Mógłbym cię zabrać do naszego laboratorium, żebyś pogadał z ludźmi, którzy tam pracują. Na jej ciele znaleziono małe kłaczki, włosy z jego futra. Są dowodami w sprawie. Czego więcej chcesz?

– Niczego – przyznał Manning, patrząc w dół. – Niczego więcej. Ale w takim razie dlaczego mam to niezaspokojone uczucie...? – Nie dokończył zdania. – Czy ona... czy ono próbowało ją...? – tym razem się zająknął.

Robles dokończył za niego bez wahania, z rzeczowością profesjonalnego śledczego: – Czy została zjedzona, o to ci chodzi? Nie. Nie mam pojęcia, czy one to robią, czy nie, za mało o nich wiem. Muszę spytać dyrektora zoo. W każdym razie istnieje dostateczny powód, dla którego tym razem zachowało się tak, a nie inaczej. To się wydarzyło tuż pod jej drzwiami i matka i brat ofiary wszystko słyszeli. Wypadli na dwór i potwór bez wątpienia się spłoszył, zanim zdążył... w pełni osiągnąć swój cel. O ile, jak powiedziałem, one to robią.

– A czy w takim razie go *widziano*? – dopytywał się nieusatsfakcjonowany Manning. – To właśnie chciałbym wiedzieć. Skoro mówisz, że to się stało tuż pod jej drzwiami, a są tam też inne domy, czy ktokolwiek rzeczywiście go *widział*? Ktoś powinien, jeśli krzyczała.

– Ach, więc jeśli nikt go nie widział, on nie istnieje, to chcesz powiedzieć? Pracując w policji, dość ryzykownie byłoby przyjmować taką teorię, nie sądzisz? Domy w tamtej okolicy należą do biedoty, wiesz, o czym mówię. Jedno- czy dwuizbowe rudery, przeważnie bez okien, tylko z jednym wejściem od frontu. Zanim zaczęły wyglądać nieśmiało na uliczkę, już było po wszystkim. Niektórzy twierdzą, że akurat zdążyli zauważyć jakiś czarny kształt przemykający

chyłkiem na końcu uliczki. Może i tak, a może nie. Co za różnica?

– Ja wcale nie chcę powiedzieć, że to nie jaguar ją zaatakował – odezwał się niepewnie Manning. – Nie mam w tej sprawie żadnych teorii. W ogóle nie jestem detektywem, tylko bezrobotnym agentem prasowym. Tyle że... mam po prostu to osobliwe uczucie, o którym mówiłem, że jest w tym coś więcej, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka.

– Coś więcej? A co tu może być więcej? – odparował Robles. – Co więcej tu być powinno?

Manning skubał w rozterce skórę na karku. – Sam nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale, tak szczerze, czy nie wydaje ci się dziwne, niemal niewiarygodne, że dzikie stworzenie, zwierzę z dżungli wielkości i okazałości tego jaguara pozostaje na wolności, niewykryte i zupełnie niewidziane przez nikogo, w tak wielkim mieście i przez tak długi czas? To nie jest wioska w górach, otoczona dżunglą. To trzecie co do wielkości miasto Ameryki Południowej. Ewidentnie zwierzę nie opuściło go, by potem wrócić z powrotem. Było tu cały czas. Gdzie? Jak?

Robles ściągnął usta w warunkowej zgodzie, skinał głową. – To niesłychane, to niewiarygodne, ale... to się niezaprzeczalnie stało, prawda? Zwierzę nie zostało schwytane żywcem ani nie odnaleziono go zdechłego; jest zatem nadal na wolności. To dość logiczne, prawda, Manning, przyjacielu?

– Ale gdzie ono przebywa, gdzie się chowa za dnia, gdzie znalazło schronienie? Pamiętaj, że tu wszystko jest zbudowane z kamienia. Asfalt, bruk, cementowe chodniki, kamienne domy. Nie ma żadnych drzew, poza Bosque i kilkoma małymi skwerami i parkami. Dokąd ono może pójść? Dookoła kręci się przez cały dzień mrowie ludzi. Jednego wieczoru o szóstej widziano, jak wchodzi w Callejón de las Sombras – z tłumem depczącym mu niemal po piętach. Pstryk! I znika. Od tamtej pory nikt nie widział nawet jego ogona. Nie pojawiło się na drugim końcu uliczki. Policja i straż pożarna przeszukały każdy stojący przy niej dom od piwnic po strychy. Ani śladu zwierzęcia. Teraz znaleziono tę młodą dziewczynę rozszarpaną na kawałki aż w robotniczej dzielnicy Barranca, pół miasta dalej. Jak ono się tam przedostało niewidziane?

Robles potrafił odpowiedzieć mu tylko: – Masz rację, że to zdumiewające. Któż może powiedzieć, co się stało? Może wcisnęło się do ścieku i przeszło

jednym z wielkich kanałów odpływowych, które biegną pod miastem. Woda w większości z nich nie byłaby dość głęboka, by się utopiło. Poza tym jest jeszcze ta śmieszna sugestia, która padła z ust jednego z gapiów tamtej nocy, kiedy zniknęło; która właściwie może okazać się wcale nie taka śmieszna. Że zwierzę schowało się w budzie jakiejś półciężarówki czy samochodu dostawczego, stojącego przy Callejón, zostało przewiezione przez nic nie podejrzewającego kierowcę i znów, niezauważone, wyskoczyło z kryjówki przy najbliższej okazji, kiedy pojazd się zatrzymał.

– E tam! – Manning machnął na niego ręką ze zniecierpliwieniem. – Teraz coś ci powiem. Jest jeszcze jedno: czym się ono żywiło podczas tych ostatnich dni i nocy? Gdzie zdobywało pożywienie... i, przede wszystkim, wodę?

– A jak zdobywają pożywienie i wodę mniej groźne zwierzęta, bezpańskie psy i koty? Ze stert śmieci, z kałuż, z brzegu rzeki.

– Tak, ale te zwierzęta są widziane.

– A skąd wiemy, że jego nie widziano, więcej niż raz, z oddali albo w ciemności, i nie wzięto za jakiegoś wielkiego czarnego psa? Poza tym są inne sposoby, dzięki którym może się ono utrzymać przy życiu, nad którymi nie musimy się rozwodzić. Te same bezpańskie psy i koty, jaszczurki wspinające się po popękanych ścianach, szczury z kanałów...

Manning na chwilę mimo woli odwrócił głowę. Potem na powrót spojrzął na Roblesa i ciągnął dalej:

– Jakim cudem za drugim razem nie wytropiono go z łatwością, nie przyparto do muru niemal natychmiast? Jakim cudem znowu go zgubiliście, tak jak za pierwszym razem? Po takim ataku musiał mieć szpony, łapy, futro na brzuchu przesiąknięte...

– To prawda, w pobliżu znaleziono liczne krwawe ślady łap, a nawet ślady ściekającej krwi. Ale ani jedne, ani drugie nie prowadziły daleko. Brud i kurz z chodnika musiały szybko wyschnąć i pokryć łapy bestii. A potem kręciło się tam tak wielu ludzi, że zatarli wszystko, nim zdążyliśmy dotrzeć na miejsce.

– Masz gotową odpowiedź na każde moje zastrzeżenie. Ale i tak nie udało ci się rozwiązać tego mojego niezaspokojonego odczucia. Tego, co w moim języku nazywamy przecuciem. Coś tu *nie gra*. W całej tej sprawie jest jakaś

fundamentalna niewiarygodność, z którą nie potrafię się pogodzić tak łatwo jak wy.

Inspektor uśmiechnął się ponuro, poklepał go porozumiewawczo po ramieniu. – Przyznaj się, Manning. Czy to nie twoje własne nieczyste sumienie, mówiące, że jesteś pośrednią przyczyną rozbojów tego czworonożnego demona, sprawia, że wciąż próbujesz podnosić mętne zastrzeżenia, wzbudzać niewyraźne wątpliwości wobec tego, co wręcz oślepiająco rzuca się w oczy? Oczywiście, że tak! Chciałbyś wierzyć, że nie zrobił tego jaguar, ze względu na własny spokój ducha. Obawiam się, że nie mogę cię zadowolić. Użyliśmy naszych próbek, potężnych mikroskopów, odczynników i analiz; przekazały nam one swoje świadectwo, które uznaliśmy za bezsprzeczne. Na jego podstawie sporządziliśmy nasz raport, który można poprzeć naukowymi badaniami, na jakich jest oparty. Nie bawimy się w domysły, kiedy mówimy taki to a taki i tak to a tak. Wszystko, co przyszło ci do głowy, przyszło też do głowy nam, zostało, nie obawiaj się, rozważone, i – odrzucone. Nasze ustalenia są następujące: że Teresę Delgado zaatakował i rozszarpał na śmierć jaguar przed drzwiami jej domu w uliczce znanej jako Pasaje del Diablo, o godzinie jedenastej piętnaście wieczorem w czwartek, czternastego maja. I nic więcej nie pozostaje do dodania.

– Prócz jaguara – zauważył ponuro Manning.

3.

CONCHITA CONTRERAS

Señora Viuda de Contreras czujnie podniosła głowę z poduszki. Odgłos kroków, który przyciągnął jej uwagę, z wyłożonego płytkami korytarza za otwartymi drzwiami jej pokoju, miał w sobie coś z wahania, jakby niezdecydowanie, czy wejść całym ciężarem, czy na paluszkach.

– Czy to ty, moja córko? – zawołała.

Señora Viuda leżała wyciągnięta na szezlongu, w stanie niedomagania, który ostatnio przytrafiał jej się coraz częściej. Była przystojną, majestatyczną kobietą, o niewyregulowanych brwiach gęstych i czarnych jak plamy od węgla do rysowania, nadających jej twarzy ten wyraz notorycznej pogody ducha, jaki zawsze nadają proste, poziome linie. Jej gęste, czarne włosy, jak na razie posiwiały tylko w jednym paśmie wyrastającym ze skroni, były lśniące jak pióra z ogona koguta i, tak jak one, skręcały się w kędzierzawe kępkę. Jedynym ustępstwem na rzecz choroby była chusteczka nasączona wodą kolońską i ułożona wąskim paskiem na jej czole. Nie była jedną z tych jęczących hipochondryczek. Ból był dla niej sprawą między człowiekiem a jego Bogiem.

Na jej pytanie kroki zdecydowały się wejść całym ciężarem. Czy raczej zrobił to następny krok, skoro tamten został już wykonany. Za nim nastąpiło jeszcze parę, dość niechętnych, po czym w progu pojawiła się młoda dziewczyna. Trudno nie być pięknym w wieku osiemnastu lat, a dla niej byłoby to fizyczną niemożliwością. Nawet przyćmiewająca nabożna żaloba, spowijająca ją od stóp do głów, obejmująca nawet przydymioną woalkę, nie była w stanie przysłonić tego faktu. Stała, zaglądając potulnie do zyczliwej despotki na szezlongu, która była świadoma jej najlżejszego kroku, niemal jej najskrytszych myśli, jak czasem się zdawało.

– Obudziłaś się z drzemki, *inamarita*? Czy teraz czujesz się lepiej?

Señora Viuda sięgnęła do nocnego stolika obok, rozłożyła mały, nabijany dżetami wachlarz, zaczęła się wachlować. Nie miało to nic wspólnego z temperaturą w pokoju, lecz było zewnętrznym symptomem zbliżających się dociekań. Zwodnicza linia brwi pozostała prosta jak linijka. – Siądź na chwilę, Conchita *mia*. Tutaj, obok mnie.

Dziewczyna podeszła, przesunęła krzesło, opadła skromnie na sam jego brzeżek.

– Tak, właśnie tak. – Wachlarz nadal się poruszał, całkiem niespiesznie.

Dziewczyna wsunęła obie stopy głęboko do tyłu pod krzesło.

– Powiedz mi, córko... – Nastąpiła przerwa, podczas gdy wachlowanie nie ustawało. – Wybierałaś się właśnie na Cmentarz Wszystkich Świętych, by odwiedzić miejsce spoczynku twego ojca? – Przesłuchanie było w toku.

Dziewczyna oderwała wzrok od palca, którym się bawiła. – Są jego imiennicy. Nie powinnyśmy pozwolić, by minęły niezauważone. A skoro ty źle się czułaś, pomyślałam, że może ja...

Señora Viuda z życzliwą aprobatą skinęła głową. – Dobra córka nie zapomina o swym zmarłym ojcu. Dbą, by na jego grobie leżały świeże kwiaty, pamięta, by go odwiedzać. I tak powinno być. – Wachlarz delikatnie furkotał dalej. – Kiedy ostatnio tam byłaś?

– Chyba w zeszłym tygodniu... nie wiem dokładnie. Dlaczego pytasz, *mamacita*?

– Tylko się zastanawiałam, to wszystko. Skąd ten nagły żarliwy zapał, ta nabożna gorliwość, niemal obłąd. – Wachlarz się złożył, wskazał w górę, znów opadł, otworzył się na powrót, trzepotał dalej. – To mi się nie podoba. Nie jest odpowiednie dla twójego wieku. To nienaturalne. Twój papa nie oszczędził przecież od nas wczoraj. Mięło już pięć lat, niech spoczywa w pokoju. Miałaś wtedy trzynaście lat. Kochałaś go, byłaś niepokieszona. *Bueno*. Potem to minęło, tak jak powinno mijać młodym. Byłaś jak inne dziewczęta w twoim wieku, lubiałaś w niedzielne popołudnie pójść do *cine*, zjeść od czasu do czasu lody w cukierni, tego rodzaju rozrywki. A teraz raptem opadło cię to szaleństwo tragicznej boleści, nie pozwalając na wszelkie inne zainteresowania. To wygląda

niemal na gorączkę, widziałam, jak godzinami jesteś pogrążona w zadumie. Żaden pobyt na Cmentarzu Wszystkich Świętych nie jest dla ciebie dość długi i nigdy wizyty tam nie są dla ciebie dość częste. Nie jesteś w stanie jeść ani spać, myśleć o czymkolwiek prócz zmarłego. To chorobliwe, to melancholia.

Wachlarz nie zatrzymał się ani na chwilę. Monolog ciągnął się z czymś w rodzaju aksamitnej niewzruszoności, która nie podnosiła głosu, nie groziła, nie rozkazywała. Tylko po prostu stwierdzała fakty.

– To się musi teraz skończyć. Dość tych wizyt na cmentarzu. Są nienormalne. Nie rozumiem ich. W twoim wieku nie powinno się tak ustawicznie myśleć o tamtym świecie.

Dziewczyna posłała jej spojrzenie błagania niemal przez łzy. – Jeszcze tylko jeden raz, *madrecita*. Tylko dzisiaj, a potem już więcej nie pójde... skoro każesz.

– Dobrze, jeszcze raz. Tyle że jutro. Jutro poczuję się lepiej, sama cię tam zabiorę, jeśli upierasz się, by tam jechać.

Dziewczyna wyglądała na zaniepokojoną, niemal przerażoną tą możliwością. – Ale dzisiaj są jego imieniny! Tylko tym razem. Spójrz, jestem gotowa do wyjścia. Już po wpół do piątej. Pojadę tam i wrócę, zanim się zorientujesz. Jeszcze tylko ten jeden raz...

Señora Viuda ponuro pokręciła głową. – Zawsze może być o jeden raz za dużo, córko z mojej krwi. Kto wie, może to właśnie ten raz? Nie jedź; posłuchaj matki. Przed chwilą podczas drzemki przyśnił mi się sen, który mi się nie podobał.

Dziewczyna na chwilę okazała zainteresowanie. – O mnie? Co ci się śniło?

– Tylko tyle, że słyszałam twój głos wołający do mnie z jakiegoś ciemnego miejsca i nie mogłam do ciebie dotrzeć.

Dziewczyna zachichotała pobłaźliwie. – I to wszystko? W szkole siostry zwykły powtarzać, że nie wolno nam wierzyć w takie rzeczy.

Señora Viuda, o której można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest niereligijna, mruknęła coś, co podejrzenie brzmiało jak: „Czy siostry są matkami?”

Wachlowała się jeszcze przez chwilę, nadal wstrzymując zgodę. – Zostań –

nalegała. – Tutaj, w czterech ścianach twego domu, gdzie twoje miejsce. Po-
czytaj, zajmij się robótką, posiedź przy prętach okna, wyglądając na zewnątrz,
snując marzenia, jak to robią młode dziewczyny. Albo pójdz na patio z tyłu
domu, powygrzewaj się w późnym słońcu, patrząc na swoje odbicie w wodzie,
czesząc się w jakiś niemądry nowy sposób. Co najgorszego może cię tu spo-
tkać? Tylko tyle, że czas będzie ci się nieco dłużył. Lepiej, by czas mijał zbyt
wolno niż zbyt szybko. Jutro wyjdziemy, kupimy ci coś w którymś sklepie,
usiądziemy się napić, poprzyglądamy się tłumowi przy stolikach dokoła...

Westchnęła. Widziała, że na nic się to zda, nim jeszcze padła odpowiedź. –
Idź więc, jeśli musisz – poddała się z niechęcią. – Ale dzisiaj to ostatni raz.

Potem, gdy dziewczyna zaczęła się podnosić z krzesła ze spuszczoną ze
smyczy skwapliwością, zatrzymał ją w pół ruchu gest wachlarza.

– I chcę, by jedno było jasne. Nie pojedziesz tam więcej w towarzystwie
Rosity.

Dziewczyna wyglądała na porażoną. – Ale nie mogę jechać sama! Kto inny
może...?

– Nie ufam jej. Ma pstro w głowie i jest od ciebie starsza zaledwie o kilka
miesiący, to żadna towarzyszka dla ciebie! Dawno już powinnam była położyć
temu kres. Nie mam pojęcia, czemu dotąd tego nie zrobiłam. Pojedzie z tobą
stara Marta, jeśli w ogóle masz tam jechać.

Na te słowa po twarzy dziewczyny przemknął wyraz czystej zgrozy. Nim
zdążyła odpowiedzieć, w jakimś odległym pokoju rozległ się dzwonek telefo-
nu.

– Rosita! – zawołała pani domu.

Nastąpiła przerwa, która w jakiś sposób sugerowała raczej oczekiwanie sce-
niczne niż prawdziwe nadchodzenie z oddali, a potem w progu zmaterializowa-
ła się, bez żadnych słyszalnych uprzednio kroków w korytarzu, urodziwa mło-
da dziewczyna do wszystkiego, z szalem owiniętym już dokoła głowy.

– *Śi señora?*

– Czy przed chwilą dzwonił telefon?

– Telefonistka musiała się pomylić. Nikt nie odpowiedział, kiedy podnio-
słam słuchawkę, nikt się w ogóle nie odezwał.

Pozioma linia brwi señory Viudy wygięła się lekko, po czym wygładziła się na powrót. – Wydaje się, że od czas do czasu tak się zdarza w tym domu. Możesz zdjąć szal, Rosito – dodała obojętnym tonem – dzisiaj nie wychodzisz.

Dziewczyna przyłożyła do niego dłonie, ale zostawiła go na miejscu, jakby w nadziei, że polecenie może jeszcze zostać odwołane. – Ale señorita Conchita chciała, żebym towarzyszyła jej na... – powiedziała z dziwnym brakiem tchu.

– Zawołaj Doñę Martę, ona z nią pojedzie zamiast ciebie.

Ziejące czernią oczy dziewczyny tkwiły wbite w twarz jej pani w czymś w rodzaju trwożliwej stałości, która w jakiś sposób sugerowała, że chcą spojrzeć na kogoś innego w tym pokoju, lecz są powstrzymywane. Dygnęła lekko: – *Sí, señora*. – Zniknęła z progu.

Señora Viuda zwróciła się znowu do córki. Ta siedziała teraz już niemal w postawie penitenta, jej druga kostka cofnęła się daleko pod krzesłem, by dołączyć do pierwszej, a ona była bardzo zajęta marszczeniem obiema rękami i wygładzaniem na powrót małego odcinka sukienki nad jednym kolaniem. Poczula na sobie wzrok matki, spojrzała w górę przez długie rzęsy, by utwierdzić się w tym wrażeniu, co uczyniwszy, znowu spuściła oczy.

Señora Contreras przemówiła, z dziwnym rodzajem dobroduszości sączącym się spoza jej autorytatywnej postawy: – Chodź tu na chwilkę, moje dziecko.

Conchita wstała, podeszła do szezlonga, przysiadła, by zrównać się z twarzą matki.

Wachlarz w końcu się zatrzymał na resztę rozmowy; został odłożony. Señora sięgnęła odwróconą dłonią do brody córki, przytrzymała ją tam w czymś w rodzaju statycznej pieśczoży. Spojrzała jej badawczo w oczy.

Oczy dziewczyny nie drgnęły ani na chwilę, były samą krystaliczną niewinnością.

– Wiesz, nie przyszłam na ten świat jako kobieta w średnim wieku, owdowiła matka, jaką widzisz mnie teraz. Sama kiedyś byłam młodą dziewczyną, i to nie tak wiele lat temu. Pamiętaj zawsze, że wszystkie myśli, jakie przychodzą ci do głowy, pierwaj przyszły do głowy twej matce. Cokolwiek robisz, pierwaj robiła to twoja matka. A przed nią jej matka. W kobietach nie ma nic nowego. *Ja* wiem, *ja* to wiem.

– Co wiesz, *madrecita*? – szepnęła dziewczyna tak cicho, że z trudem dało się ją usłyszeć.

Señora Viuda ucałowała ją z klasyczną życzliwością w czoło, a potem z większą czułością w usta. – Jesteś słodką istotką. Jesteś porannym słońcem na moim pośepnym, popołudniowym niebie. Nie chodzi o to, że mogłabyś zrobić coś tak niewybaczalnego. Tylko o to, że pewien sposób postępowania jest właściwy, a inny – niewłaściwy. Ty jesteś młoda, a świat jest stary. Gdy będziesz starsza o parę lat, nie chcę, byś musiała wspominać coś, czemu brakło godności, co by stawiało cię w niekorzystnym świetle. Każdy, kto mógłby się tobą zainteresować, powinien przyjść tutaj, do naszego domu, jak każe nasz przyjęty zwyczaj; powinien być ci przedstawiony przeze mnie albo wuja Felipe, albo przez jakiegoś innego starszego krewnego.

– *Mamacita*, nie wiem, o co ci chodzi...

Señora wykonała wyrozumiały gest. – Ja nic nie powiedziałam. To tylko moje serce mówiło do twojego serca. Teraz idź tam, jeśli się upierasz, z Martą, i szybko wracaj. Słońce niedługo zajdzie, nie zasiedź się więc za bardzo...

Nie zrywając się właściwie na nogi, dziewczyna nagle była po drugiej stronie pokoju przy otwartych drzwiach, jak coś, od czego właśnie odczepiono smycz.

Przy progu odwróciła się na chwilę. – Tak, *madre mia*?

– Nic. Biegnij już.

To, co señora Viuda powiedziała przed chwilą, na poły do siebie samej, z westchnieniem rezygnacji, brzmiało: „To nic nie da. Tak było od początku i tak będzie zawsze, do końca czasów. Nie da się zmienić świata”.

W korytarzu za drzwiami drogi Conchity i Rosity się skrzyżowały. Dziewczęta otarły się o siebie jak dwoje ludzi nieświadomych obecności drugiego, albo przynajmniej próbujących stworzyć takie wrażenie.

Dziedziczka szepnęła: – Posyła ze mną Martę, co ja mam robić?

Służąca wyciągnęła rękę na odlew i chwyciła przelotnie jej dłoń, jakby chcąc dodać dziewczynie otuchy.

Conchita spuściła na coś wzrok. – Co to jest?

– Niech panienka się nie boi, to tylko sprawi, że ona będzie senna.

– Ja? Nie mogę!

Tamta pomachała do niej obiema rękami w gwałtownym potwierdzeniu.

– To jej nie zaszkodzi, prawda? – szepnęła z niepokojem Conchita.

– To nic takiego, tylko jakieś zioła z gór. Dostałam je na rynku od pewnej Indianki. Wypróbowałam na sobie. One tylko... Ciii! Idzie tutaj. – Powróciły na porzucone przez siebie trasy.

Korytarzem szła starsza kobieta lat sześćdziesięciu, okryta szalem do wyjścia na ulicę. – Gotowa jesteś, mój kwiatuśku? Pożegnałaś się z matką? – A do Rosity, z poirytowaną wyższością: – Idź tam i zostań z señorą, bezużyteczna dziewczyno! Pani może cię potrzebować.

Conchita musnęła ją, przechodząc. – Zaczekaj na mnie przy drzwiach. Wróć na sekundę do swojego pokoju.

Tam zatrzymała się przed lustrem, przyjrzała się sobie z niepokojem, jakby chciała się upewnić, czy wygląda najlepiej, jak potrafi, dla zmarłych na cmentarzu. Odsunęła szufladę, wyjęła z jakiejś tajemnej skrytki z tyłu szminkę, pośpiesznie przyłożyła ją do ust. Następnie opuściła na twarz przyćmiewającą woalkę, zacierającą dokonaną właśnie poprawkę, i pośpieszyła skromnym krokiem z powrotem korytarzem, by dołączyć do towarzyszki.

Przyzwoitka wezwała już pod drzwi dorożkę i czekała, siedząc w niej. Jechać na cmentarz pojazdem napędzanym benzyną byłoby trochę niewłaściwe, zdawała się sądzić. – Na kwiatowy rynek – poleciła woźnicy, gdy szczupła postać w woalce zajęła miejsce obok niej.

Dziesięć minut później, po przejechaniu pewnej liczby wąskich, wijących się uliczek, dotarły do małego placyku przed zabarwionym na różowo kościołem, będącym przykładem masywnej hiszpańskiej architektury kolonialnej. Odznaczał się on prowadzącymi do niego obszernymi, podniszczonymi kamiennymi schodami, rozciągającymi się na całą szerokość fundamentów. Były one niewidoczne jako takie, poza wąskim przejściem pozostawionym na środku, biegnącym prosto do wejścia. Cała reszta zniknęła pod czymś, co zdawało się być jednym wielkim, wielokolorowym klombem, z łatanami osłoniętych miejsc tu i ówdzie. Dopiero przy bliższym przyjrzeniu się rozpadła się on na

oddzielne małe strefy handlu wymiennego, każda pod przewodnictwem swego konkretnego sprzedawcy. Niektórzy sklecieli przenośne kramiki, rozwiesili na tyczkach płócienne dachy albo słomiane maty, by chronić swoje nietrwale dobra przed słońcem. Inni, których nie było na to stać, po prostu siedzieli po turecku w pustych kwadratach na stopniach, z towarem ułożonym dokoła w luźne wiązki czy pęki, wetknięte do glinianych dzbanów z wodą. Powietrze przesycała nie dająca się opisać woń paproci, zgniecionych liści, pomiętych i rozdeptanych płatków i lodyg, i nade wszystko szczególnie zapach soli, wydzielany przez wiekowe kamienie brukowe, nasycane przez cały dzień wodą i nie mające nigdy czasu, by wyschnąć. Była to woń złożona w równych częściach z zieleniącego się, kwitnącego życia i martwego, spleśniałego rozkładu. To był kwiatowy rynek, działający w tym miejscu od dwustu lat każdego dnia od wschodu słońca do zmroku.

Przyzwoitka Conchity wysiadła z dorożki u stóp schodów, odwróciła się, by spytać: – Jakie mam kupić?

Dziewczyna wysiadła tuż za nią. – Ja też idę. Chcę sama wybrać.

Marta zaczęła protestować, że to nie jest konieczne, że zrobi to za nią, ale Conchita już ją minęła, szła powoli głównym przejściem wystawowym, rozglądając się dokoła, zasypywana z obu stron napierającym ogniem zaporowym natarczywych, bałamutnych, poetycznych i osobiście pochlebnych okrzyków, które dotrzymywały jej kroku, by znów zamrzeć rozpaczliwie za nią, gdy przechodziła z ich zasięgu pod jurysdykcję następnego sprzedawcy. Wyciągały się ku niej ręce, ciągały ją nachalnie za ubranie. Marta spędzała je z niej klapsami.

– Tutaj, *niña*, róże aż płaczą do ciebie!

– Patrz, *chiquita*, goździki błagają, żebyś je kupiła. Dziesięć *centavitos*. Pięć. Sama podaj cenę. Tylko je weź, tylko weź! – Było późno i rynek miał się wkrótce zamknąć.

Marta zatrzymała się. – Tu są jakieś. Mogą być, *niña*?

Conchita zerknęła za siebie, ale nie przestała wchodzić wyżej. – Nie, tam na górze. Zawsze kupuję je od tej kwiaciarki na końcu.

Stanowisko, które wskazała, prawdę powiedziawszy oferowało mniejszy asortyment niż wiele tych, które przed chwilą minęły. Sprzedawczynią była

stara kobieta o twarzy tak pomarszczonej, że wyglądała, jakby zaciągnięto na nią moskitierę.

– Pęk tych. – Conchita wzięła jedną białą różę i uniosła ją do twarzy za woalkę, sprawiając, że od wciąganego oddechu pojawiło się małe wgłębienie.

– *Si*, aniołeczku, *si!* – trajkotała sprzedawczyni, krzając się przy zbieraniu kwiatów. – Białe róże, tak piękne, tak młode jak ty sama, panienko.

– I gardenie – poleciała Conchita.

Marta wyciągnęła ramiona po stos niezwiązanych kwiatów. – Ja je poniosę, mogą podrzeć ubranie panienki. – Wręczyła starszycie monetę, odwróciła się, by ruszyć w dół po śliskich schodach.

Kwaciarka jednak nadal nie była usatysfakcjonowana. – Spójrz, pasuje do nich mały bukietek białych fiołków. Został już tylko jeden. – Na chwilę przyłożyła jeden palec przebiegle do nosa, zerknęła na odchodzącą przyzwoitkę. – Cały dzień je dla panienki trzymałam. Za darmo! Dorzucę go za darmo! – Pociągnęła dwa razy za spódnicę dziewczyny, niemal jakby była ona sznurem od dzwonka.

Conchita wzięła bukietek, ruszyła w dół schodów za swą towarzyszką, przytrzymując go blisko przy twarzy. Kwiaty były splecione razem na jakimś pojedynczym, wielkim liściu. Wydobyła cienko złożony liścik owinięty wokół ich łodyżek, jeszcze zanim wsiadła z powrotem do dorożki. Otworzyła go jedną ręką, przeczytała, przytrzymując w dole poza zasięgiem wzroku Marty, przy swym drugim boku, gdy trzęsąc się, jechały z powrotem wąskimi, kapryśnie skręcającymi uliczkami w drodze na cmentarz.

Tylko kilka słów. Najstarsza wiadomość świata, nie mówiąca nic, mówiąca wszystko. „Ślodyczy mego życia. Czy dzisiaj znowu tam pójdziesz? Będę czekał. Przez cały tydzień, od zeszłego razu, odliczam godziny. Ślodyczy mego życia, ulituj się nade mną”.

Jakimś cudem wsunęła go pod podszewkę rękawiczki, złożony z powrotem wyłącznie przy użyciu kciuka. Następnie jeszcze raz schowała twarz we fiołki. Jak powiedziała señora Viuda, nie da się zmienić świata.

Opuścili starszą część miasta z jej dręczącymi brukowanymi ulicami, gdzie mieszkały szacowne, konserwatywne rodziny takie jak jej, i wjechali w nowe, na połę podmiejskie dzielnice, preferowane przez cudzoziemców i co bardziej

pretensjonalnych zamożnych, którzy kopiowali ich zwyczaje – posuwając się nawet do pozwalania, by ich córki biegały samopas, bez dozoru starszej kobiety. Prostą, szeroką wyasfaltowaną drogą przejechały tę część miasta, za którą na chwilę wychynęły na szczere pole. Następnie w oddali przed nimi zaczęła wyzierać znad leżącego dalej wzniesienia terenu symetryczna linia ciemnozielonych topoli, a kiedy znalazły się na górze, zdawało się, że wyskoczyła nagle, by połączyć się z drogą, za kamiennym murem ciągnącym się daleko, jak okiem sięgnąć.

Mur skręcał i przez jakiś czas prowadził z boku drogi. Cmentarz Wszystkich Świętych znany był jako największy w mieście, a może nawet na całym świecie. Powiadano o nim, że jest dość duży, by pomieścić wszystkich zmarłych świata naraz.

Po przeciwnej stronie drogi znowu pojawiły się budynki, powołane do istnienia dla wygody żywych, którzy w niedziele i pewne religijne święta przybywali tutaj tłumnie w celu oddania szacunku zmarłym. Warsztat kamieniarski, zasypany ozdobnymi urnami, cherubinami, aniołami w żałobie i krzyżami, pawilon restauracyjny, i temu podobne. Rozsiane były tu i ówdzie, z wielkimi przerwami pomiędzy sobą, i z jakiegoś powodu w całym miejscu panowała atmosfera raczej zrezygnowanego smutku niż ożywionej aktywności.

Dorożka podjechała przed główne wejście, zaznaczone parą masywnych spiżowych drzwi osadzonych w kamiennym łuku, i kobiety wysiadły.

– Wróćcie, panie, po nas za pół godziny, nie później – poleciała Marta fiakrowi.

Powóz powoli odjechał w nieokreślonym kierunku, najlepiej znanym swe mu woźnicy – być może w stronę najbliższej kantyny znajdującej się przy następnym rozstaju dróg. Gdy zostały same, Conchita na chwilę zatrzymała się w pozornym niezdecydowaniu.

– Marto, zanim wejdziemy, czy nie mogłybyśmy przejść się do tego lokalu po drugiej stronie i usiąść tam na minutkę? Taka jestem spragniona...

Marta sprzeciwiła się gderliwie, przyglądając wiązkę kwiatów, by móc dobrze widzieć dziewczynę nad ich główkami. – Nie, *niña*. Nie możemy przecież. Twoja matka kazała mi zaraz przywieźć cię z powrotem. Patrz, słońce zeszło już nisko. Noc nas zaskoczy, zanim zdążymy wrócić do domu.

- A ileż nam to zajmie? – namawiała przymilnie dziewczyna.
- Ale czy przyjechałyśmy tutaj na grób twego ojca, czy może po to, by się czegoś napić? – spytała ze zrzędliwym uporem stara kobieta.
- Tylko filiżanka herbatki miętowej. Sama wiesz, jak uwielbiasz herbatę miętową. W domu zawsze ją pijesz o tej porze.

Przyzwoitka zawahała się, najwyraźniej skuszona. Spojrzała na drugą stronę drogi, jakby oceniając, na jak długo zatrzyma je zajście tam. – Ale czy nie lepiej najpierw odwiedzić grób, a potem napić się herbaty, jak już wyjdziemy? Cmentarz mogą zamknąć.

- Słabo mi, Martita. Dlaczego mi odmawiasz?

Towarzyszka od razu zamieniła się cała w jęklivą troskę. – Och, światło moich oczu, czemu wcześniej mi nie powiedziałaś? Co mi przyszło do głowy, żeby tu stać i się kłócić? Chodź, moje serce, weź mnie za ramię, już tam idziemy.

Zaczęły wolno przechodzić przez ulicę, w tempie boleśnie zredukowanym bardziej przez powolność członków tęgiej postaci niż przez słabość szczupłej, żeby oddać prawdzie sprawiedliwość. Pełna poświęcenia Marta musiała nawet powstrzymać swą podopieczną: – Nie tak szybko, śliczna. Może ci się zakręcić w głowie.

W lokalu o tej porze były pustki. Do drzwi podszedł gorliwy kelner, z tacą wetkniętą pod pachę, i przed poczynieniem dalszych kroków poczekał, by zobaczyć, gdzie postanowią usiąść. Od frontu znajdował się wąski taras wyłożony mozaiką z terakoty, na którym stał rząd cienkich jak trzcina, nędznie wyglądających stolików żelaznych wielkości opłatka, każdy otoczony wianuszkiem krzeseł na drucianych nogach powciskanych w ilości większej, niż mogło się tam zmieścić.

- Wejźmy do środka, żeby nie siedzieć na widoku – zaproponowała pruderjnie Conchita.

Przeszły do wnętrza o jaskiniowym półmroku, po zewnętrznej jasności, w którym dało się zauważyć morze innych, równie cienkich, równie niezajętych stolików żelaznych. Zawieszona niedbale tekturowa reklama nakazująca PO-PROŚ O PIWO EL SOL otarła się o głowę Marty, gdy ta pod nią przechodziła. Kobieta odepchnęła ją z oburzeniem na bok.

Usadowiły się naprzeciwko siebie w małym odgradzonym boksie pod ścianą, opiekunka ze stertą kwiatów po jednej stronie stolika, młoda załobniczka po drugiej.

Podszedł kelner. – *Buenos días*.

– *Buenos días* – burknęła Marta z szorstkością, z jaką jeden pracownik często odnosi się do innego.

Conchita odczekała, aż mężczyzna znowu odejdzie, po czym z miną anielskiej skromności zdjęła woalkę z twarzy.

Widoczność poprawiła się nieco, gdy ich oczy przyzwyczyły się do miejsca, choć i tak cały czas pozostawała ograniczona do niebiesko-zielonej przejrzystości podmorskiej głębi. Poza tym na zewnątrz światło dnia szybko przygaślało, tracąc swą kontrastującą żywość.

Siedziały tak przez chwilę czy dwie.

– Zamkną nam bramę – lamentowała Marta. – Okaże się, że przyjechałyśmy zupełnie na darmo. – Przesunęła głowę i ramiona bliżej brzegu siedzenia, by zbadać pozornie zamarłą tylną część lokalu. Zburzyła ciszę wybuchowym podwójnym klaśnięciem ułożonych w miseczki dłoni. – Kelner, śpieszy się nam! – zawołała rozkazująco.

Powrócił mozolnym truchtem, niosąc na tacy jako usprawiedliwienie braku większego pośpiechu napelnioną po brzegi filiżankę mocno aromatycznej herbaty i szklankę lemoniady.

Marta opuściła brodę do filiżanki, ekspresywnie zacmokała, gdy znowu ją podniosła. Conchita, która siedziała przodem do drogi na zewnątrz, wciąż się jej przyglądała, raczej jakby czatowała na coś, co pojawi się i wpadnie jej w oko, niż jakby coś takiego już się pojawiło.

Nagle zalkała od tłumionego śmiechu, wygięła palec w stronę widoku za oknem.

– Szkoda, że tego nie widziałaś! Właśnie przeszedł tamtędy prześmieszny człowiek. Ciekawe, kim jest z zawodu.

Marta, siedząca tyłem do ulicy, z trudem obróciła się i próbowała wyrzeć poza skraj znajdującego się za nią przepierzenia.

Po chwili odwróciła się z powrotem, wzruszyła ramionami. – Nikogo nie widzę.

Powierzchnia jej herbaty falowała lekko.

- Przegapiłaś go. Już nas minął...
- Ty rzeczywiście blado wyglądasz, *niña* – zauważyła Marta.

Conchita rzeczywiście wyglądała blado. Nie nawykła do otwarcie zdrazieckich postępów wymierzonych przeciwko członkom jej własnego domowego ogniska. Wymierzonych przeciwko komukolwiek, ściślej rzecz ujmując.

Minęła kolejna minuta lub dwie. Marta odstawiła opróżnioną filiżankę.

- Chodź, maleńka, musimy już iść.
- Posiedźmy jeszcze chwilkę. Tak tu miło. Nie zdążyłam dopić mojej lemoniady.
- Słońce już prawie zaszło. Nim się zorientujemy, zrobi się ciemno. Nie możemy tam wejść po ciemku...

– Ty wyglądasz mi na zmęczoną, Marto.

Jakby zdając sobie z tego sprawę dopiero teraz, kiedy jej to zasugerowano, Marta przyznała: – I jestem zmęczona. O szóstej rano byłam na mszy. – Westchnęła ciężko. – Jak się jest w moim wieku...

- Oprzyj na chwilę głowę o skórzane obicie – zaproponowała dziewczyna.
- To nie będzie wyglądało właściwie, tak w publicznym miejscu...
- Nikt cię nie zobaczy, nie ma tu nikogo prócz nas.

Głowa starej kobiety odchyliła się do tyłu niemal samorzutnie, kobieta z wdzięcznością zamknęła oczy i głęboko westchnęła, rozluźniona. Jej głowa trzymała się przez chwilę prosto, osadzona sztywno na ramionach, po czym przechyliła się, aż napotkała kąt między dwiema ścianami boksu, pozostała o niego oparta, podtrzymywana przez jedną z nich. Jej oddech zaczął się stawać bardziej chrapliwy.

Usta rozchyliły się lekko, tylko na samym środku.

Dziewczyna siedziała spokojnie naprzeciwko niej jeszcze przez chwilę. Następnie przesunęła się po siedzeniu w stronę przejścia, do samego końca stanowiącego przeszkodę stołu, i wstała, ani na chwilę nie odrywając wzroku od twarzy zastępczyni swej opiekunki. Ciężkie policzki trzęsły się teraz trochę przy każdym oddechu.

Ostrożnie sięgnęła w dół po leżącą obok Marty masę kwiatów, zgarnęła je zakrzywionym ramieniem, pilnując, by nie szeleściły zbyt bezwstydnie. Wzięła wszystkie prócz jednego, białej róży na długiej łodydze, która jej umknęła.

Pozwoliła jej zostać tam, gdzie leżała. Próba jej odzyskania mogła ją kosztować wszystkie pozostałe.

Przedzierała się przez lawicę przypominających szpulki stolików, poruszając się niczym upiór w czerni na tle zamierającej na zewnątrz jasności dnia. Gdy dotarła do bocznego przejścia, które prowadziło do drzwi, nim ruszyła dalej, skinęła na kelnera, przykładając jednocześnie ostrzegawczo palce do ust.

– *Sí, señorita?*

– Moja piastunka jest bardzo zmęczona, biedaczka. Zostawię ją tu na kilka minut. Nie budźcie jej, proszę, póki nie wrócę. Będę po drugiej stronie ulicy. Wrócę po nią za kwadrans.

– Wedle życzenia panienki – szepnął z szacunkiem.

Dystygowana młoda dziewczyna w żałobie od stóp do głów, z naręczem kwiatów najwyraźniej niesionych na jakiś grób – któż mógłby w tym widzieć coś niewłaściwego?

Kroczyła dość dostojnie, póki nie dotarła do tarasu na zewnątrz i ulicy za nim. Wtedy, jako że wejście na cmentarz znajdowało się spory odcinek dalej w dół drogi, a nie bezpośrednio naprzeciwko, i jako że słońce już dokonywało żywota w kałuży krwi zachodniego nieba, a cenny zasób skradzionych minut przeciekał jej przez palce jak piasek, zaczęła się spieszyć. Początkowo niezauważalnie. Chwilę później przedstawiała dość kuriozalny, by nie powiedzieć skandaliczny widok odzianej na czarno żałobniczki, z kwiatami podskakującymi w ramionach, z rąbkami welonu i spódnicą powiewającymi za nią, pędzącą na oślep w kierunku bramy cmentarza, jakby zmarli nie mogli czekać, jakby ona nie mogła dotrzeć tam dość szybko, by oddać im hołd. Jedna czy dwie głowy odwróciły się za nią z niedowierzaniem, gdy śmignęła obok nich.

Brakło jej tchu, gdy przechodziła pod ozdobnym łukiem wejścia, na otulonych czarnym jedwabiem nogach młócących pod nią tak szybko, że stały się niemal zamazane. „Nie chcę, byś musiała później wspominać coś niegodnego”. Powiedźcie to miłości!

Poczucie przyzwoitości powróciło do niej ledwie na czas; zmusiła się, by zwolnić do bardziej opanowanego, choć nadal dość szybkiego kroku, gdy przechodziła między ciężkimi skrzydłami bramy z brązu, wyciągniętymi niczym para skrzydeł w oczekiwaniu, by ją wpuścić i zamknąć się za nią. Dar jakiegoś

zamożnego prywatnego ofiarodawcy, całe były pokryte kosztownymi płasko-rzeźbami. Na jednym widniała inskrypcja: *Coś, co jest tak powszechne jak śmierć, musi być błogosławieństwem.* A na przeciwległym: *I nikt nie jest w stanie uniknąć jego dobrodziejstw.*

Przeszła między nimi, nawet na nie nie zerkając. Żywi nie mają czasu, by patrzeć na śmierć; nie potrafią jej zauważyć, nawet jeśli się starają.

Niedaleko od bramy znajdował się mały domek, niewiele większy od kamiennej budki wartowniczej; korzystał z niego dozorca w godzinach otwarcia cmentarza. Stał właśnie w wąskich drzwiach, wyglądając na zewnątrz, gdy dziewczyna go mijała. Był on dobrodusznym, pospolicie wyglądającym starszkiem, najwyraźniej krótkowidzem, co wносиła ze sposobu, w jaki mrużył oczy, patrząc na nią z niepewnością.

Stanęła w miejscu, zrobiła krok czy dwa w jego stronę. – Nie zauważyliście, czy w ciągu ostatnich trzydziestu minut przechodził tędy młody człowiek? Ciemnowłosa i szczupły, i... i zupełnie sam?

– Taki dość urodziwy młody człowiek? – zasugerował.

– Och, przystojny! – zgodziła się żarliwie, posyłając w niebo rozanielone spojrzenie.

Staruszek uśmiechnął się nieznacznie z pobłażliwym zrozumieniem. – Tak, *niña*, tak, widziałem kogoś takiego. W ciągu ostatnich dziesięciu minut podchodził tu do wejścia ze trzy razy, szukając kogoś, coraz bardziej zaniepokojony, i pytając, czy widziałem... kogoś bardzo pięknego, ubranego na czarno, z włosami czarnymi jak heban, i ze służącą.

Spuściła wzrok, po czym szybko znowu go podniosła.

– Ale czy nadal tu jest? Nie odszedł? – spytała z ożywieniem.

– Jeszcze tu jest, o ile wiem. Nie pamiętam, żebym widział, jak wychodzi. Chyba że wyszedł, kiedy robiłem swój ostatni obchód.

– O nie – zapewniła go z czymś w rodzaju uroczonego wewnętrznego przeświadczenia – nie odszedł, nadal tu jest. Dziękuję.

Odwróciła się i powróciła na długą, szeroką główną alejkę, która prowadziła dalej w głąb cmentarza, nim zaczęła dzielić się na niezliczone, kręte ścieżki wysypane białym żwirem, przy czym wszystkie wyglądały mniej więcej tak samo i wszystkie przybierały już niebieskawy odcień, gdy wypełniały się mulem cienia nocy.

– Niech pani nie zostaje długo, señorita – zawołał za nią dozorca, ostrzegając dobrotliwie. – Gdy usłyszysz pani mój gwizdek, to znaczy, że zamykamy. Będzie pani miała tylko minutę czy dwie.

Słyszała go jednym uchem. Porwał ją niewidzialny prąd, którego on nie mógł zobaczyć, ciągnął ją nieodparcie naprzód. Gwizdki, bramy ani limity minut nie mogły go osłabić, zatrzymać czy zakłócić. Teraz był czas na miłość, wytęskniony, wymarzony, wyczekiwany bezustannie od poprzedniego razu.

Kroczyła szybko cienistą aleją, otoczona niesamowitymi widokami szybko zamazującymi się w półmroku. Niesamowitymi, bo nie były ani naturalne, ani ludzkie; należały do innego świata. Miały w sobie pewną klasyczną surowość, zimną melancholię, której brak przyrodzie. Te cyprysy, topole, wierzby płaczące, przemyślnie rozmieszczone tu i ówdzie, pojedynczo i w zagajnikach, zapuszczały korzenie tam, gdzie leżeli martwi ludzie. Dotykały śmierci, osłaniały ją, a nawet się nią żywiły. A wszędzie pod nimi, w każdej luce między ich nisko zwieszonymi konarami, w każdej przestrzeni między ich pniami, gdzie by nie spojrzeć i gdzie by się nie obrócić, leżała porozrzucana, milcząca, bezduszna populacja, połyskująca na białym w kołyszącym się cieniu. Populacja, zdająca się czekać na jakiś nekromancki sygnał z głębi nadchodzącej nocy, by ożyć całym zjadliwym mrowiem. Populacja aniołów, feniksów, gryfów. Zdawało się nawet, że marmurowe ławki stojące tu i tam wzdłuż ścieżek ustawiono nie dla żywych, by mogli odpocząć podczas swych wizyt, lecz dla nieodgadnionych, okrytych kirem kształtów przemykających w milczeniu tymi przejściami i alejami późno w nocy.

A nad tym wszystkim wisiał fioletowy całun gasnącego światła, *crepusculo* – zmierzchu, którego nazwa już sama w sobie była małą śmiercią. Śmiercią dnia.

Przez tę krainę zmarłych brnęła miłość, dziewiętnastoletnia, gorącokrwista, świetlistooka, z szybkim oddechem i bijącym sercem. Już nie biegła. Weszła do środka, a to najważniejsze. Teraz była to kwestia jeszcze tylko minuty czy dwóch, poza tym w takim miejscu nie wypadało biec. Ale szła dalej żywym krokiem, co trzy czy cztery stąpienia dodając sobie impetu mocniejszym odbiciem, które niezupełnie było truchtem, ale groziło, że w niego przejdzie.

Dotarła do osi małego okręgu, który stanowił dla niej punkt orientacyjny. W jego środku na smukłym, pełnym wdzięku frontonie stała alabastrowa urna, którą dziewczyna zwykle się kierowała. Stąd odchodziły cztery ścieżki. Ta, którą tu przyszła, ciągnęła się dalej, w nieznanne jej rejony cmentarza. Była też boczna ścieżka, która w tym punkcie przecinała tamtą, tworząc dwie kolejne. Z doświadczenia wiedziała, że tutaj skręcało się w lewo, by dotrzeć do miejsca należącego do jej rodziny. A wracając, robiło się oczywiście odwrotnie, skręcało się w prawo, by dotrzeć do głównej alei prowadzącej do wejściowej bramy.

Jeszcze tylko kawałek. Ruszyła tą pomniejszą, krętą, wysypaną żwirem ścieżką, z na poły zapomnianymi szczegółami topograficznymi. Najpierw prowadziła ona przez otwartą, bezdrzewną nieckę, coś w rodzaju łąki zmarłych. Jej głębie były już zalane atramentowym granatem. Następnie wspinała się i wiała przez gęsty zagajnik, niemal jak w tunelu, a tuż za nim znajdował się cel jej wyprawy. Podczas poprzednich wizyt nie bardzo miała okazję zauważyć to wszystko. W drodze w jedną stronę Rosita zawsze coś paplała. A w drugą, kiedy szła z większym ociąganiem, jej kibić obejmowało ramię, a do ucha szeptał cichy głos. Teraz po raz pierwszy szła tędy sama.

W końcu przybyła na miejsce. Dotarła do niewysokiego, ale sięgającego głowy żywopłotu z bukszpanu, który ciągnął się wzdłuż ścieżki przez kilka stóp, odznaczając ziemię należącą do jej rodziny. Skręciła w otwór w żywopłocie, skierowała się do najnowszego ze stojących w środku kilku pomników i nagrobków, żółtobiałego pylonu z wieńcem z brązu okalającym prostą inskrypcję.

DON RAFAEL CONTRERAS Y GALBO POMÓDL SIĘ ZA JEGO DUSZĘ

Znajdował się na przeciwległym końcu ogrodzenia. W pozostałych leżały tylko cioteczne babki i ludzie, których nigdy nie poznała. *On*, oczywiście, nie czekałby na nią tutaj. To byłoby w złym guście. Mieli takie miejsce, gdzie... Ale najpierw hołd należny zmarłym. Opadła na jedno kolano obok grobu, zdecydowanie wyparła z głowy na tę chwilę wszelkie myśli o tym kimś, opuściła głowę, szepcząc krótką modlitwę, która była prośbą o wybaczenie. – Ojcze, wybacz mi, że tak oszukuję matkę. Nie chcieliśmy, żeby tak to wyszło, ale

oboje wiemy, że to już za długo... W tym tygodniu każę mu przyjść do nas i przedstawić się matce, obiecuję.

W końcu podniosła się, spędziła jeszcze kilka minut na układaniu kwiatów, które ze sobą przyniosła, dokoła podstawy pylonu, przechodząc z boku na bok i przesuwając je, póki efekt jej nie zadowolił. Następnie przyklekła na chwilę, przeżegnała się i wyszła na ścieżkę, rzucając za siebie ostatnie spojrzenie. Zmarli otrzymali, co się im należy, teraz pora na żywych.

Miejsce nie było daleko, tylko trochę dalej przy tej samej ścieżce, po lewej stronie. Stała tam mała marmurowa pergola, okrągły dach wsparty na smukłych kolumnach, zupełnie bez ścian. Nie należała do nikogo; to znaczy, była „publiczną” budowlą wzniesioną przez cmentarz, podobnie jak ławki i stanowiąca punkt orientacyjny urna, którą minęła. To właśnie tutaj zawsze się spotykali. On pewnie już tam na nią czeka. Ona, idąc pospiesznie, zapewne zobaczy, jak żar jego niecierpliwego papierosa porusza się niespokojnie w pergoli niczym czerwony światek. Szkoda; przez jej późne przybycie prawie w ogóle nie będą mieli czasu dla siebie.

Pergola już wyglądała niewyraźnie w zmroku, gdy ją dojrzała, rozmyty, niebieski kształt wyzierający spoza mgły, zamiast wyraźnie białego. Ale cóż za znaczenie miał dla niej wygląd konstrukcji, liczyło się to, kto był w środku. Zapiała cicho z figlarną lubością, gdy skręciła i przebiegła między dwiema ze złobionych kolumn. – Raul – powitała go. – Pewnie myślałeś, że już się nie...

W środku było pusto.

Nie ma go! Opuścił ją, odszedł, nie czekając... Nie, to niemożliwe, dozorca mówił, że niedawno go widział. A gdyby potem próbował odejść, dozorca powiedziałby mu, że ona przyszła w międzyczasie, więc wróciłby jej poszukać.

Stała przez chwilę, niepewna, w wolnej przestrzeni otoczonej trzema półokrągłymi ławkami bez oparcia. Za chwilę on wróci. Na pewno poszedł aż do wyjścia, by poszukać jej ostatni raz, i dozorca z pewnością mu powie. Musieli się jakoś minąć; może kiedy była za żywopłotem przy rodzinnych grobach, on przeszedł obok, nie słyszany. Nie zauważając jej w środku, czarnej na tle cieni. Albo poszedł do bramy jakimś skrótem, który w ogóle tamtędy nie prowadził. Lepiej będzie, jak poczeka tutaj, gdzie on może ją znaleźć, bo inaczej mogą się minąć drugi raz i w ogóle się nie spotkać.

I musiało się tak zdarzyć akurat dzisiaj, kiedy i tak mieli mało czasu! Usiadła zboląła na jednej z trzech ławek. Po chwili, nawet w mrocznym świetle, które tam panowało, zauważyła coś na podłodze. U jej stóp leżał do połowy wypalony papieros. I jeszcze jeden. Pół tuzina, porozrzucanych dookoła. Ujęła najbliższy ostrożnie w dwa palce, podniosła w ciemności blisko do oczu. Część nazwy pozostała nie spalona. „Exquisito”. To była jego marka, znała ją. Uśmiechnęła się ze współczuciem. Biedny chłopiec, wyobraziła go sobie, jak chodzi w tę i z powrotem, zaniepokojony długim spóźnieniem.

Trzymała niedopałek jeszcze przez chwilę, przyglądając się mu. Był częścią jego. Tylko tyle mogła z niego mieć jeszcze przez chwilę czy dwie, zanim sam tu nie wróci.

Szeptła do niego: – Papierosku, czy on mnie kocha? Czy tęsknił za mną, kiedy mnie nie było? Powiedz, jak się zachowywał? Czy szeptał moje imię, kiedy trzymał cię w ustach? Powinieneś wiedzieć, byłeś bardzo blisko niego. – Przesunęła po nim pieszczotliwie czubkiem palca. Była jeszcze bardzo młoda.

Dużo czasu zajmował mu powrót od bramy. Ale na pewno wróci; dozorca z pewnością powie mu, że ją widział. Głupio byłoby nie czekać, skoro już tu dotarła. Tylko w tym miejscu mogli niewidziani spędzić razem chwilę czy dwie. Inaczej było, kiedy zabierała ze sobą Rositę. Rosita była w tym samym wieku, rozumiała, a nawet była jej współniczką w przestępstwie. Przy Rosicie mogli się ze sobą długo żegnać, nawet na pełnym widoku przy głównej bramie. Dziewczyna czekała wtedy taktownie poza zasięgiem słuchu albo kroczyła przed nimi w drodze do dorożki, zostawiając ich w tyle, połączonych ramionami, z głowami nachylnymi ku sobie. Ale z Martą! Niech lepiej zostanie tam, gdzie jest. On lada chwila się pokaże.

Jakie to dziwne. Poznałaś kogoś i nagle cały świat stał się inny. Pamiętała, jak się poznali. Było to nie tak dawno temu, ledwie kilka niedziel, ale już nie potrafiła sobie przypomnieć, jak wyglądało życie przedtem, zanim pojawił się jakiś „on”. Zdarzyło się to w niedzielne popołudnie, w *cine*. Matka miała jeden ze swych ataków, a Marta była zbyt rygorystyczna, by w niedzielę iść do kina, więc poszła z nią Rosita. Miało się w *cine* zarezerwowane miejsca na niedzielne popołudnia, wynajmowało się je na cały sezon i zajmowało za każdym razem te same, więc już od dawna musiał znać ją z widzenia, obserwować za

każdym razem, gdy w antrakcie zapalały się światła. Cóż, ona też go zauważyła, ale oczywiście nie można się było gapić. Można było tylko pozwolić oczom spotkać się na przelotną chwilę.

I wtedy, tamtego popołudnia, gdy wyszły z kina, odkryły, że ulice toną w straszliwej ulewie. Skuliły się bezradnie razem z innymi na chodniku pod jakąś markizą, nie mogąc się poruszyć, a pracujący w kinie portier gwizdał na ulicy – właśnie wtedy ten gderliwy odgłos, wtrącający się do jej myśli skądś z oddali, przypomniał jej o tym dniu, wymalował go przed nią żywiej niż kiedykolwiek – wzywając dorozki, taksówki i wszystko, co miało koła, na ratunek. Ale dostawali je wszyscy inni, a one dwie, ona i Rosita, tkwiłyby tam unieruchomione nie wiadomo jak długo, gdyby on nagle nie pojawił się u ich boku i nie utorował dla nich przejścia, i nie zarekwirował arbitralnie ostatniej stojącej przy krawężniku na wyłączność dla...

Nagle zerwała się na nogi, z pulsującym w niej wstrząsem opóźnionej synchronizacji. To gwizdek dozorca wmieszał się tak gładko w strumień jej myśli chwilę wcześniej!

Wybiegła na zewnątrz między kolumnami, stała przez chwilę na dwóch najniższych schodkach tworzących podłogę budowli, nasłuchując z pełnym napięciem przerażeniem. Rozległ się znowu; zabrzmiał piskliwie całe mile i kolejne beznadziejne mile stamtąd, daleko w ciemności. Dalej niż mogłaby mieć nadzieję dotrzeć na czas. Drugie i ostatnie ostrzeżenie, a potem – zamykali bramę, dłużej nie czekając. Musiał ją jakoś przegapić, ten dozorca, tak samo jak ona i Raul przegapili się nawzajem. Bo oczywiście musieli robić coś więcej, niż gwizdać przy bramie, w miejscu tej wielkości. Może podczas ostatniego ostrzegawczego obchodu cmentarza zapomniał podejść w pobliże tej pergoli, nie zdając sobie w ogóle sprawy, że ktoś schronił się w środku. A ona, w swych marzeniach na jawie, przegapiła migotanie jego lampy – jeśli miał lampę – w oddali albo nie dotarło do niej jego znaczenie. Albo może wziął za nią kogoś innego, kto minął go, wychodząc, postać odzianą na czarno jak ona, i w ogóle nie zwracał sobie głowy szukaniem jej. Był przecież krótkowidzem.

To wszystko w jednym, przerażonym zatrzymaniu się na schodach, tak krótkim, że powiewające dokoła niej ubranie nie zdążyło nawet znieruchomieć. I ku swemu jeszcze większemu przerażeniu dopiero teraz zorientowała się, że

zrobiło się zupełnie ciemno, gdy czekała w środku. Teraz znikła już nawet poświata słońca. Jedyne nieznacznie zielonkawa czerń, niczym oksydowany metal, nad drzewami na zachodzie wskazywała, gdzie ta poświata była. Reszta pozostawała ciemna, ciemna, ciemna; panowała noc i miała ją w swej pułapce.

Teraz biegła wijącą się, wysypaną żwirem ścieżką. Chyba nigdy w życiu nie biegła wcześniej tak szybko. Maleńkie dzioby jej nurkujących stóp wzbijały w górę rozpryski żwiru niczym morską pianę. Przez tunel z drzew. W dół po pochyłości łąki umarłych. Z powrotem w górę po drugiej stronie. Obok bukszpanowego żywopłotu, za którym leżał jej ojciec i cioteczne babki. Gdy mijala go pędem, wleciało ku niemu łkanie bezradnego wezwania: – *Papacito!* Tatusiu! – Kwilenie przerażonego stworzenia, rzucone przez ramię, gdy biegła na złamanie karku obok grobu. Do kogoś, kto kiedyś potrafiłby ją obronić – ale teraz już nie mógł.

Drzewa były niewidoczne na tle czarnego nieba. Ale pod nimi, i aż nazbyt widoczna, biel pomników i nagrobków tworzyła tu i tam zamazane szare, upiorne kształty. Uniesiony na jednym palcu u nogi anioł groził, że wyskoczy na nią z zasadzki, chwyci za gardło obiema ciasno splecionymi ramionami, powali na ziemię. Krzyknęła spłoszona, uskoczyła w bok i niemal upadła, po czym, potykając się, ruszyła dalej.

Z ziemi dokoła, zawilgłej i zatechłej wonią dawno pogrzebanych rzeczy, zdawał się unosić z westchnieniem wiatr. I nie był bierny, zdawał się ją ścigać, przenikając między drzewami, wijąc się ścieżką za nią, jęcząc, próbując ją zawłaszczyć. Dróżka pod nią była tylko szarą wstążką, niewyraźną taśmą rozciągniętą w ciemności. Zdawała się nigdy nie kończyć, nigdy nie miała się skończyć...

To była panika, wiedziała o tym, i wiedziała, że musi ją pokonać, albo nigdy nie dotrze do bramy żywa. Nawet gdy na chwiejnych nogach szła dalej, z piersią eksplodującą i zapadającą się przy każdym wdechu i wydechu, walczyła, by odzyskać panowanie nad sobą. Wszystko w porządku, Conchito, nic się nie stanie; wszystko w porządku, nie bądź niemądra. Już za chwilę dotrzesz do tej orientacyjnej urny, a potem skręcasz w lewo – pamiętasz? – a jeszcze potem już tylko jedna, szeroka główna aleja doprowadza cię do bramy, to pestka. Zawołaj teraz, stąd – usłyszą cię, poczekają, nie będą jej zamykać. Zawołaj, żeby

wiedzieli; już dawno powinnaś była to zrobić, w chwili kiedy usłyszałaś gwizdek.

Nie sądziła, że zostało jej dość tchu, ale jakimś cudem jej się udało. Piskliwie, niepewnie, drżąc od wibracji nieprzerwanego biegu. – Dozorco! Dozorco, poczekajcie! Ja jeszcze tu jestem! Nie zamykajcie jeszcze! Poczekajcie na mnie...

A potem już nie mogła, jej płucom nie starczyło sił. Chwiała się z boku na bok, nie będąc dłużej w stanie biec w linii prostej. I ten zdradliwy żwir, po którym tak łatwo się stapało, kiedy było się spokojnym, zdawał się toczyć i usuwać spod jej stóp, pozbawiając ją równowagi.

Urna! Och, święci pańscy, nareszcie urna! Wznosząca się przed nią, wyższa od niej, zdawała się płynąć na tle ciemności bez podparcia, póki mniejsza bladeść jej frontonu nie zyskała ostrości.

Teraz na lewo, pouczyła samą siebie, zmordowana; na lewo, uważaj... Przez chwilę nawet nie wiedziała, która to strona. Serce. Serce jest zawsze po lewej. Przyłożyła do niego rękę, a jego bicie niemal fizycznie bolało, niczym uderzenia młotem we wgłębienie dłoni. Dała się mu poprowadzić, skręciła w tamtą stronę i urna śmignęła jej sprzed oczu jak coś poruszane na niewidocznych sznurkach.

Szeroka, wyłożona płytami aleja prowadząca prosto do bramy leżała teraz przed nią, najgorsze miała więc za sobą. Po jej twardej powierzchni łatwiej było biec niż po ruchomym żwirze, ale ona nie bardzo była w stanie to wykorzystać, była już zbyt wyczerpana. Chwiejnie szła dalej; nie śmiała teraz się zawahać. Próbowwała zawołać jeszcze raz i odkryła, że nie może. Była w stanie wydać z siebie jedynie stłumiony, przyduszony dźwięk, który ledwie ją prześcignął. Zdawał się rozdzierać jej zdławione gardło. – Zostawcie bramę otwartą, poczekajcie na mnie...!

Prosta i szeroka aleja rozciągała się przed nią, z bocznymi liniami granicznymi prowadzącymi do zacienionego połączenia gdzieś z przodu w ciemności, które wciąż jej umykało, wciąż nie zbliżało się do niej. Zdawało się, że z tyłu ten sam złośliwy wiatr, cuchnący oślizłością grobów i fetorem przegniłych trumien, skręcił przy urnie tak samo jak ona, że nadal prowadził swój nienasycony, furkoczący po-ścig, nawet na tej prostej. Przypominało to bieg po bieżni

perpetuum mobile, której ruch w kierunku przeciwnym pochłaniał wszystko to, co przebiegłaś, trzymał cię tak naprawdę nieruchomo w jednym punkcie, mimo że zdzierałaś sobie kończyny, serce i płuca.

Powoli minęła ją po jednej stronie ławka. Następnie, po chwili, jeszcze jedna minęła ją po drugiej. Jakże chciała opaść na którąś z nich i po prostu poleżeć na poły bez zmysłów – ale nie śmiała. Gwizdki zabrzmiały już tak dawno temu; czy naprawdę usłyszeli jej wołania? Czy nadal czekają i trzymają bramę otwartą? W takim razie dlaczego nie wyszli jej naprzeciw, choćby odrobinę; dlaczego nie widziała błysku ich latarni tam, na końcu tej nieskończonej perspektywy...

Coś było nie tak. Odległość do bramy zdawała się większa, niż pamiętała. *Była* większa, nie miała co do tego wątpliwości. To nie zniekształcenie spowodowane paniką, ciemnością; to kwestia długości czasu, kiedy biegła, i odległości, jaką pokonała. Do tej pory powinna już była dotrzeć do bramy ze dwa czy trzy razy. Nawet spacerem nigdy dotąd nie wydawało się to tak daleko, nigdy nie *było* tak daleko.

Myśl o tym, co to jest, co zaszło, była jak lód sunący powoli jej żyłami, paraliżujący w miarę swych postępów. A dalej za nim znów szło gorąco, gotowe po nim dopomnieć się o nią; ale nie było to już ciepło rozsądku, normalności. Tylko gorączka płonącego szaleństwa, temperatura koszmaru.

Teraz prawie nie posuwała się naprzód. Już dłużej nie mogła. Chwiała się na nogach, które nadal starały się nieść ją dalej, a udawało im się jedynie wykonywać drobne obrotowe ruchy na ziemi. Ata nadal ciągnęła się przed nią bez końca do tego niezmiennego punktu zbiegu, ciągle tego samego, jeszcze od urny.

Starała się myśleć. W lewo. Tak, w lewo. *Izquierda*. To było to słowo, to był ten kierunek. Ale w lewo *kiedy*? Przy wchodzeniu, gdy chciało się dojść do rodzinnych grobów? Czy w drodze powrotnej, kiedy chciało się dojść do bramy? W lewo to właściwe wyrażenie. Rosita wypowiedziała je tamtym razem, kiedy niepewne zatrzymały się na chwilę przy urnie. Nadal słyszała, jak ta uwaga pobrzmiwa jej w głowie. „Nie, w lewo, señorita Conchita”. Ta część się zgadzała. Ale w lewo *kiedy*? Nie mogła sobie przypomnieć, czy w tamtym momencie wchodziły, czy wychodziły. Wszelkie jej myśli zajmował wtedy on.

Zatoczyła się i obejrzała za siebie. Urna już dawno zniknęła. Wszystko, co

napotkał jej wzrok, to kolejny punkt zbiegu, nie różniący się od tego pierwszego.

Źle skręciła, poszła w złą stronę. Zanurzyła się głębiej w ostępy umarłych, zamiast się z nich wydostać. Pierwsze szloch hysterii zaczęły formować się w jej gardle, a każdy kolejny unosił się wyżej niż poprzedni. Przejechała bezwiednie obiema dłońmi przez gąszcz kędzierzawych włosów, tak kiedyś podziwianych przez Raula, przesuwając przepaskę z wijącej się czarnej plecionki, która je okalała, oraz uczepiony do niej woal. Oba przedmioty spadły na ziemię za nią, a ona, nie zauważywszy, zostawiła je tam.

Brama już od dawna musiała być zamknięta. W ogóle jej nie usłyszeli, nie domyślili się. Utknęła w tym szkaradnym miejscu na całą noc i nikt o tym nie wiedział. Poszli sobie i zostawili ją w środku, razem ze zmarłymi. Wiedziała, że ten krótkowzroczny starzec nie sypiał tutaj. Ta mała budka, która dawała mu schronienie podczas godzin otwarcia, była teraz ciemna i zamknięta na klucz. Wystarczyło spojrzeć na jej rozmiar; nadawała się tylko na dzień.

Zawróciła i spróbowała pójść z powrotem drogą, którą przed chwilą przyszła. Udało jej się zrobić tylko jeden chwiejny krok. Opuściła ją odwaga. Nie potrafiła tego zrobić. Nie potrafiła wejść z powrotem w tę leżącą za nią paszczę ciemności, przez którą raz już przeszła. Prawda, przed nią było równie ciemno, ale w rewizytowanej ciemności było coś jeszcze gorszego niż w ciemności już zbadanej. Jakby, wracając, dawała utajonemu złu drugą szansę na zaatakowanie jej. Stamtąd nadlatywał ten boleściwie jęczący wiatr. Drzewa szeleściły i syczały, jak żywe istoty czające się tam na nią.

Uniosła dłonie do oczu, przycisnęła je do nich mocno, próbując nie dopuścić do siebie strasznych widoków, których jeszcze nie widziała, ale bała się, że lada chwila będzie musiała ujrzeć. Szczękała zębami z przerażenia i od wywołanego nim nerwowego odczucia zimna. Odjęła nareszcie ręce od oczu i zorientowała się, że w międzyczasie, nie zdając sobie z tego sprawy, znowu zaczęła się poruszać. Tym razem powoli, niepewnie, na oślep, bez celu ani miejsca przeznaczenia. Włókła się środkiem alei, chwiejnym krokiem kogoś, kto lada moment opadnie bezsilnie na ziemię. A jednak w kierunku, w którym szła dotąd cały czas, bo nadal mogła iść naprzód, jeśli nawet nie z powrotem.

Jej nierówne, nieprzewidywalne postępy były ruchami czegoś zupełnie pozbawionego rozumu. Czym, chwilowo, była.

Na skraj alejki niedaleko niej wysunęła się ławka, pomalowana na biało, trupio biała na tle mroku, jak coś, w co wycelowano niewidzialny reflektor. Dziewczyna skręciła w bok, raczej upadła niż podeszła do niej i, jakby jej obecność i wsparcie dało jej coś w rodzaju uwolnienia emocjonalnego, rzuciła się twarzą na siedzisko, z nogami zwisającymi z tyłu na ziemię, i wybuchła paroksyzmem łkania, który był tak gwałtowny, że z samej swej natury nie mógł trwać długo, nie pozbawiając jej przytomności.

I nie trwał. Znowu przestała, od samego ścisku żeber i utraty tchu, i pozostała tak bez ruchu. Ale nie bez świadomości. Znow oblaził ją strach, niczym cienka warstwa glazury, nawet gdy leżała tam nieruchomo. W końcu wyzwolił reakcję odruchową. Nagle zamachała nogami, jak pływak na suchym lądzie; obróciła głowę, spojrzała za siebie. Instynktowna reakcja tych, którzy znajdują się w ciemności i boją się jej. Ze sztywnych warg wyrwał się krzyk trwogi, a ona spróbowała schować głowę i ramiona w najdalszym wewnętrznym rogu między siedziskiem a oparciem ławki z tak spazmatycznym przerażeniem, że uderzyła mocno czołem o zimny, twardy kamień i nawet tego nie poczuła.

Coś pełzło w jej stronę bokiem zamazanej, szarej ścieżki. Coś czarnego, falującego, płasko na brzuchu, wlokąc za sobą ogon. Czasem panujący dookoła mrok zacierał to, czasem jaśniejszy odcień ścieżki zarysowywał kontur jego falowania. Ale tylko z jednej strony. Od czasu do czasu na jego przedzie widać było mrugnięcie, maleńki błysk zbyt przyćmiony, by można go było nazwać jasnym, jak gdyby promień jakiejś gwiazdy wysoko na niebie spadł na jakieś lśniące lub skroplone paciorkowate miejsce wrażliwe na światło.

To coś posuwało się naprzód nieregularnie, z nieregularnością podstępu. Falowało szybko, ukradkiem, naprzód; tak szybko, że jego ruch zdawał się niemal złudzeniem optycznym. To znow zatrzymywało się w miejscu, wydając się bez życia; nic, tylko cień, szykujący się do następnego zdradzieckiego pełzania. Nawet na jej oczach, olbrzymich od skręcającej mózg zgrozy, jego ogon, jego smukły, powrózkowaty tylny dodatek, machnął lekko w górę, jednym drgnięciem, po czym znowu opadł płasko. Zerwał się do kolejnego ukradkowego,

wijącego się biegu i znowu się zatrzymał z wyjątkowo czujnym wyczuciem czasu.

Dziewczyna była sparaliżowana. Nadchodzący zgon pozbawia ciało ruchu. Z tego samego powodu trwała w kataleptycznym milczeniu, po tym pierwszym krzyku odkrycia. Istnieje głębia przerażenia poza krzykiem, która jest milcząca. Dźwignęła się z ziemi bez użycia rąk, wspinając się na połączenie tylnego i bocznego oparcia ławki ruchem samych barków, bez oglądania się na nie. To wszystko, co mogła zrobić, by spróbować uciec przez tym czymś, wbić się niewygodnie w płytkie zagłębienie niskiej kamiennej ławki, wygięta boleśnie w talii nad siedziskiem. Na twarzy zastygł jej grymas konwulsyjnego wyczekiwania.

Tamto nie dało żadnego ostrzeżenia. Było równie nieprzewidywalne jak rтęc czy błyskawica. Nagle wyskoczyło, śmignęło do jej stóp – i trochę dalej, jakby źle obliczyło skok. Za nim nadleciał, smagając, jego ogon.

Ona tylko zadrżała, w czymś w rodzaju śmierci bez kontaktu. Potem oklapła równie nagle, jak ono skoczyło, jej talia opadła, przemknęła nad brzegiem siedziska, a ona osunęła się bezwładnie na ziemię, dwa razy zwymiotowała. Tuż obok jej własnego zgubionego czepka, z dwoma ozdobnymi dżetami przyszytymi z przodu i długim, wijącym się, skręconym welonem, miejscami wyrzuszonym jak muskularny udziec, który wiatr po trochu posyłał za nią w ukradkowym pełzaniu.

Upłynęły okrutne minuty, w darze drugiego życia, który nie bardzo był już chciany, tak drogo kosztował. Po chwili znów, jakimś cudem, stanęła na nogi, w czarnym stroju będącym teraz w kompletnym nieładzie, za wysoko na jednym ramieniu, zupełnie zsunięty z drugiego. Z przydymionymi wstążkami na białych nogach tam, gdzie wcześniej były pończochy. Nie była już istotą cywilizowaną. Nie była młodą dziewczyną z miasta. Nie była córką Viudy de Contreras. Nie miała imienia, nie miała adresu. Nie była rodzaju żeńskiego ani męskiego, opadła na niższy, bezpłciowy poziom. Zapomniała, co to miłość, a jej łzy czy ruch ręką przeciągnęły grubiańską czerwoną smugę szminki od kącika ust w dół do końca brody i dalej w stronę szyi. Była tylko osłепłym, kierowanym instynktem stworzeniem, resztką sił starającym się przedostać z ciemności do światła, ze strachu do bezpieczeństwa.

Przerażenie było teraz czymś jedynie względnym. Chwilami zdarzały się

jego przyplawy, a zaraz potem następował jego spadek; choć w żadnym momencie nie znikalo. Ruszyła dalej, idąc chwiejnym krokiem, z głową zwieszoną na pierś, na sztywnych nogach rozstawianych szeroko z tyłu, najpierw jedna, potem druga, jak kule. Wisiały nad nią gwiazdy, lecz były zimne i bez znaczenia. Zdawały się tak odległe, tak dalekie; intelekty rozmiaru główki od szpilki, pozbawione litości, spoglądające w dół z wysoka na coś, co utknęło w czarnej studni, obserwujące, jak to coś chodzi w kółko, próbując znaleźć wyjście, i wiedzące, że nigdy mu się to nie uda.

Po chwili do strachów, które już ją nękały, dołączył nagle nowy. Tym razem chromatyczny. Na cmentarzu zaczął wzbierać kolor, nadając mu nowy wymiar, dodając jego zgrozom głębi, której dwuwymiarowej czerni i szarości dotąd brakowało. Przypominał odbłask z oddali; początkowo nie widziała, skąd pochodzi. Był jak sącząca się poprzez drzewa i między grobami poświata czerwonego ognia, nie podnosząca się wysoko, lecz skradająca nisko nad ziemią.

Otwierało się za nią wielkie, rozszoszczone oko. Księżyc. Ale nie chłodny, zwężony księżyc kochanków i życzeń. O wielkim brzuchu, mięsożerny. Z urazą do żywych, jak wszystko inne tutaj. Rozsierdzony, rozgorączkowany, świecący chorym światłem, przywodzący na myśl zło i rzeczy, w które dawno temu nauczono was w kościele nie wierzyć. Rzeczy bezbożne. Gule i gobliny, szczerzące zęby trupy wychodzące z grobów, całe w sieci łąt z podskórnych więzadeł mięśni, jak coś z prosektoryjnego stołu studentów medycyny. Księżyc. Planeta rządząca szaleństwem i psychopatycznym pragnieniem, by rozlewać krew.

Podwajał, potrajał cienie tam, gdzie dotąd było czarno. A w miejscach, w których było mniej niż czarno, wprowadzał przerażającą, groźną symulację ruchu, sącząc się poprzez niespokojne liście i gałęzie. Sprawiał, że kształty i figury na grobach zdawały się kołysać, ruszać, drgać i przesuwac w jego promieniach, pokrywać plamkami jak trądem i lypać groźnie albo chytrze tam, gdzie dotąd przynajmniej były nieruchome. Drzewa stały się powykręcanyimi kształtami nachylającymi się ku niej, sięgającymi w dół, by ją porwać. Pomniki stały się stworzeniami warującymi za krzakami i kwiatami, opuszczającymi

swe lby niżej w chwili, gdy je mijała, by znowu się podnieść i pomknąć chyłkiem za nią, gdy tylko odwróci się do nich plecami. Nawet własny cień zwrócił się teraz przeciwko niej, nękał zdradziecko, podkradając się do niej, kiedy najmniej się tego spodziewała, lub rzucając się na nią raptownie z boku.

Nie miała czasu, by pomyśleć o czymkolwiek poza chwilą obecną, pośród wszystkich tych strachów, ale gdyby było inaczej, zdałaby sobie sprawę, że ciemność już odniosła zwycięstwo. Ona już była trochę martwa. Czy kiedykolwiek wyszłaby stamtąd, czy nie, nigdy więcej nie miała być taka sama. Przerazenie cofnęło ją na stałe do jakiejś atawistycznej przeszłości, przeżytej dawno temu.

Tymczasem zdawało się, że choleryczna planeta, jak wszystko inne w tym miejscu, zawzięła się, by ją prześladować. Wspinała się powoli za nią na niebie, rozjaśniając się w miarę wznoszenia. Z gniewnego oranżu do siarkowej żółci, a z niej do bieli, wybielonej bieli czaszki, z ledwo widocznymi oczodołami, nachylonymi w dół, by spoglądać na nią z nieba.

Następnie na krótką chwilę nastąpił okres przypominającego trans wyniszczenia; była świadoma, że nadal idzie, ale umysł miała nieco przymglony. Nawet przerazenie trochę się stępiło, utraciło nieco ze swej ostrości, choć nadal jej nie opuszczało. Doświadczała czegoś w rodzaju zawieszenia zdolności umysłowych, wywołanego wstrząsem i nadmiernym pobudzeniem.

I wtedy nagle dobiegł ją krótki odgłos, potrząsnął nią, ponownie przywrócił wzmożoną czujność. Krótki odgłos życia, pierwszy, jaki usłyszała, odkąd zaczęła się ta straszliwa samotność. Pierwszy poza jej własnymi krzykami i dźwiękami kroków; pierwszy *obiektywny*, dochodzący spoza jej własnej męki. Najśłodszy, jaki kiedykolwiek słyszała; słodszy od najśłodszego tonu wydobytego kiedykolwiek z instrumentu, piękniejszy od najpiękniejszego trelu, jaki wydał z siebie ptak. Mały dysonans, coś między piskiem a chrząknięciem, niewyraźny, odległy, brzydki, niezgrabny, niezręczny, lecz, och, jakże miły. Odgłos klaksonu przejeżdżającego samochodu.

Świat zewnętrzny, świat żywych, był gdzieś niedaleko stąd, bardziej na wyciągnięcie ręki, niż się spodziewała. Stała teraz, wyteżając słuch, zmuszając uszy do wysiłku przekraczającego ich zdolności dostrajania się, by postarały

się znowu go usłyszeć. Nie rozległ się ponownie. Tylko raz, a potem już wcale. Wstrzymała oddech, uspokoiła nawet jeden z poruszających się strzępów zwisającej z niej porwanej sukni, by nie rozlegał się przy niej nawet najcichszy dźwięk, przez który tamten mógłby jej umknąć. Ale nie, nie odezwał się ponownie.

Nie wiedziała, w którą stronę iść, bo nie zareagowała dość szybko, by zorientować się, skąd zdawał się dochodzić. Bała się, że jeśli postąpi nierozważnie, mogłaby się od niego oddalić, zamiast zbliżyć i ostatecznie zupełnie go zgubić. Nie doszedł zza jej pleców, tylko tego jednego była pewna.

Jako że uszy nie mogły jej pomóc, czy też nie otrzymały drugiej okazji po temu, spróbowała zmusić oczy, by posłużyły jej w ich zastępstwie. Ale ciemność zdawała się leżeć bezstronnie dokoła niej we wszystkich trzech pozostałych kierunkach... Nie, chwileczkę; czy aby nie zdawała się mieć w sobie pewnej jednolitości, o tam, po jej prawej stronie, jakby kończyła się jakąś powierzchnią, miast ciągnąć się w nieograniczone głębie? Czy aby te przypominające pył plamki księżycowej poświaty wyzierające tam przez liście nie zdawały się leżeć *pionowo* na czymś, a nie płasko na ziemi?

Ruszyła nagle, rzucając na szalę wszelkie nadzieje odnalezienia pierwotnej pozycji, w której usłyszała ten brzemienisty w znaczenie dźwięk, przeciw tej jednej szansie, że ma rację. Przez trawę i czasem nad bryłowatymi wzniesieniami, które, choć prawdopodobnie były grobami, nie miały już żadnej mocy wystraszenia jej, bo oto przywoływało ją samo życie, choć stała pośród nich. Mogłyby rozewrzeć pod jej stopami swe paszcze, a ona i tak przeskakiwałaby je z wargi do wargi, by szybciej dotrzeć tam, dokąd szła.

I nareszcie było i ono, coś pionowego majaczącego przed nią, zbliżającego się, sunącego w jej stronę w miarę jak biegła, uderzającego w końcu o jej otwarte dłonie, wyciągnięte ku niemu błagalnie, z szorstkością kamieni, z drapiącą kolczastością zaprawy, która bardziej pieściła jej dotyk niż aksamit czy atlas. Mur otaczający cmentarz, granica śmierci, linia, poza którą śmierć nie sięgała.

Przywarła do niego, nareszcie nieruchoma, z ramionami wzniesionymi po bokach, przycisnęła do niego usta, ucałowała go z przejmującą wdzięcznością.

Od jakiegoś czasu musiała iść, zupełnie tego nie podejrzewając, alejką do niego równoległą, chociaż stał on w znacznej odległości od ścieżki. Najwyraźniej nie był frontowym murem, w którym znajdowała się brama, bo dziewczyna cały czas niezmiennie się od niej oddalała. Chyba że, oczywiście, okrążyła w ciemności, na ślepo, cały cmentarz i wróciła tam, skąd ruszyła. Lecz bardziej prawdopodobnie był to jeden z murów bocznych lub mur tylny. Zapewne przeszła przez całe to pełne grozy miejsce aż do drugiego końca.

Powietrze wypełniał teraz zauważalny szum, dochodzący z drugiej jego strony. Niewyraźny i bezcielesny, odbity echem szmer z oddali, a mimo to zdolny naruszyć królującą tutaj ciszę. Był to szum, buczenie, dochodzące z domów, z ulic w oddali, w nocy. Musiał się spiętrzać po drugiej stronie muru, albo przynajmniej w jego bliskości. W stronę cmentarza musiał się od tyłu wyciągać palec miasta, chociaż główna brama po drugiej stronie wychodziła na mniej lub bardziej szczerze pole.

I wtedy, w potwierdzeniu, zazgrzytała oś koła tramwaju, gdy ten brał zakręt, gdzieś w oddali, ale zrzędliwie słyszalnie.

Zaczęła brnąć wzdłuż wewnętrznej strony muru, z twarzą zwróconą z nadzieją w górę, na jego szczyt. Był zbyt gładki, zbyt wysoki, by wejść na niego bez pomocy, nawet gdyby miała jeszcze siłę. Dlaczego musieli wznosić tak wysoki? Czego mogli się obawiać tutejsi zmarli ze strony żywych?

Niektóre z drzew, zauważyła, zdawały się rosnąć dość blisko muru. Zdarzało się nawet, że ich gałęzie rozciągały się nad jego szczytem. Może gdyby udało jej się wspiąć po pniu jednego z nich, mogłaby przejść po którymś z tych sięgających daleko konarów i przedostać się z niego na szczyt muru. Nawet gdyby nie potrafiła zejść stamtąd bez pomocy, przynajmniej miałaby lepszą pozycję, by przyciągnąć uwagę kogoś z zewnątrz. Stąd, gdzie była, tu na dole, nie mogła tego zrobić. Głos nadweryżyła tak, że go straciła; mogła teraz wydawać tylko ciche, piszczące dźwięki. A najwyraźniej w tej solidnej ścianie nie było żadnego wylotu na poziomie ziemi, a przynajmniej nie dość blisko, by się jej na coś zdał.

Większość rosła za daleko od muru; w górze zostawała luka, która udaremniłaby jej starania, nawet gdyby udało jej się wspiąć na odpowiednią wysokość; albo wiotkość samego pnia ostrzegała, że górne części będą jeszcze bardziej

niepewne; jedyne, co by osiągnęła, to śmierć. W końcu znalazła jedno, które wydawało się w sam raz, choć trudno to było z całą pewnością stwierdzić w ciemności. Postawszy pod nim nieruchomo z wytężonym wzrokiem przez kilka minut, uznała, że widzi gruby, masywny konar odchodzący od niego w prostej linii nad murem i poza niego. Stąd, gdzie stała, wyglądał na niemal tak szeroki w obwodzie jak sam dół pnia.

Spróbowała objąć jego podstawę ramionami, by zdobyć punkt oparcia, ale te się nie zetknęły, miał zbyt wielką średnicę. Wobec tego spróbowała wdrapać się w górę po jednej jego stronie; wbić paznokcie w szorstką korę i zawiesić na nich cały swój ciężar. Kora się tylko oderwała małymi kawałkami, paznokcie jej się połamały, a koniuszki palców pokaleczyły. Czubki jej dźgających, zło-biących butów ześlizgiwały się w dół za każdym razem, nie mogąc uzyskać podparcia. Raz znowu udało jej się wspiąć na wysokość połowy jej wzrostu, ale wtedy ponownie się ześlizgnęła, drapiąc przy tym i siniacząc własną skórę. Pozwoliła sobie poleżeć przez minutę tam, gdzie spadła, by odpocząć.

Och, gdyby tylko miała znów dwanaście lat, wiedziała, że potrafiłaby to zrobić. Gdy miała dwanaście lat i zabrano ją latem na wieś, wspinała się na wiele drzew po gruszki i jabłka i nic sobie z tego nie robiła. A teraz gruszką, jabłkiem było bezpieczeństwo, samo życie – a ona nie potrafiła tego zrobić!

Przez chwilę płakała z gorzkiej frustracji, wstawiała się u tych, którzy nie mogli jej usłyszeć, z głową opuszczoną ku ziemi, w ciemności u stóp tego bezlitosnego drzewa. – Raul, Raulcito, dlaczego tak odszedłeś? Matko, matko mego życia, pozwól mi do ciebie wrócić. Nigdy więcej tego nie zrobię. Czemu cię nie posłuchałam? Ty zawsze miałaś rację. Nie chciałaś, bym wyszła z domu...

Słowa przycichły do niewyraźnego chlipania, chlipanie przeszło w oddechy nieutulonego łkania.

Wtedy nagle, gdy tak leżała, z głową i ramionami uniesionymi nad ziemią, z resztą ciała leżącą bezładnie na wznak, znad muru dobiegł dźwięk, tak prozaiczny, tak zwykły, tak w zasięgu ręki – że nie mogła uwierzyć, by był prawdziwy, nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście go usłyszała. Było to głuche, nieco drewniane stuknięcie, jakie wydają drzwiczki od samochodu, gdy się nimi

nieostrożnie trzaśnie przy zamykaniu. A potem cichszy odgłos, szcęk klucza w stacyjce.

Musiał tu cały czas stać, tuż przy cmentarnym murze, pusty zaparkowany samochód, czekający na kogoś. I ten ktoś właśnie do niego wrócił i wsiadł, i miał odjechać, niczego nieświadom!

Sądząc po kierunku, z którego dobiegł odgłos, samochód stał trochę dalej, parę jardów w bok. A jednak w rzeczywistości równoległe położenie jego i jej można by uznać za kaprys dokładności; znajdowali się prawie diametralnie naprzeciwko siebie, ona i to potencjalnie zbawcze auto. Gdyby je widziała, wiedziała cały czas, że ono tam jest, jakoś wręcz mogłaby zatrzymać się bliżej niego. Dziwne są wzory geometryczne będące dziełem nocy i gwiazd.

Och, członki, podnieście mnie, unieście mnie w górę jeszcze tylko ten jeden raz. Och, głosie, zawołaj wystarczająco głośno na czas, by cię usłyszano. Szybko, szybko, sekunda niemocy i może być już za późno!

Spazmatycznie otworzyła usta i wszystko, co się z nich wydobyło za pierwszym razem, to bezdźwięczny chlust, pozostałość wyczerpania. Potem druga próba i wydobył się głos. Nie usłyszała go. Żałosne starania jej płuc zatonęły w potoku mechanicznego hałasu. Kierowca uruchomił samochód. Sześć cylindrów kontra jedna wążka krtań. To był zachrypnięty silnik, wymagający chyba naoliwienia, który bombardował noc.

Była na nogach i parła jak oszalała naprzód, niemal zataczając się, wzdłuż wewnętrznej strony muru, a mimo to auto już zdawało się niezauważalnie wysuwać przed nią, zwiększając te kilka jardów różnicy, jakie były od początku, gdy koła zaczęły się kręcić. Przez długą, nieznośną chwilę panowała równowaga; ohydne współzawodnictwo między jej rwącymi się krzykami a narastającymi obrotami jego cylindrów. Które mogło wytrzymać dłużej? Ona była taka zmęczona, a silnik taki mocny.

Wtedy auto zaczęło odjeżdżać; już nie tylko sunąć, ale przyspieszać do pełnego biegu. I właśnie w tym było jej ocalenie. Samochód stracił nieco na głośności, ustalił się w nim rytm równiejszych wibracji. Jej głos znalazł w nim lukę, echo, gdyby udało mu się przebić przez tę nową regularność tempa.

Nastąpił kolejny upiorny moment równowagi, na sekundę czy dwie zanim efekty mogły być widoczne, gdy auto zdawało się od niej odskakiwać. A ona nie mogła już wydobyć z siebie krzyku, wydusiła z siebie ostatni. Wtedy zażrzytały hamulce i auto ze zlewającym się dźwiękiem stanęło niechętnie, niezamierzenie w miejscu. Słyszała nawet syk odpornej gumy trącej o kamień.

Cisza.

A potem męski głos, wpytujący pustą noc: – Kto tam? Halo? Halo?

Wyobraziła sobie jego dłoń sięgającą ponownie do sprzęgła, by jechać dalej, bo sądził, że się pomylił, że to tylko jakaś usterka maszynierii jego auta.

Jej napęczniałe serce podskoczyło jak łosoś, zrobiło obrót, znowu opadło, niemal przestało bić z wysiłku, ale udało jej się wydobyć z siebie jeden zduszony dźwięk: – Och...! – A reszta pozostała tylko niesłyszalnym drżeniem ust.

– Kto mówi? Gdzie jesteś? – Drzwi auta skrzypnęły, otwarte na próbę, podczas gdy on nadal pozostał w fotelu. Prawdopodobnie wystawiając jedną nogę.

– Tutaj, na cmentarzu, za tym murem. – Słowa te zabrzmiały niemal jak niewyraźny ciąg głosek, ale wystarczyła sama ich ilość, by udźwignęły ciężar wiadomości, by przynajmniej *zatrzymały* go na miejscu.

O kamień uderzyła skórzana podeszwa. Drzwi skrzypnęły po raz drugi – ale świadcząc o wysiadaniu. Uratowana!

Powiedział coś bezmyślnego: – Co tam robisz? – Ale, och, samo brzmienie jego głosu niosło ze sobą mądrość wieków, tak było jej miłe.

– Jestem tu sama. Zamknięto bramę. Och, na miłość boską, proszę mnie stąd wydostać... wyprowadzić mnie na drugą stronę...

– Tylko chwileczkę. Nie bój się. Przejdę przez mur i cię wydostanę...

Skóra butów zaszurała po kamieniu, daremnie, dwa, trzy, cztery razy. Za każdym razem mężczyzna opadał na stopy coraz ciężej. Potem usłyszała, jak próbuje wziąć mur z rozbiegu, próbuje wciągnąć się na górę z pomocą własnego pędu. I za każdym razem ten odgłos ugrzęźnięcia.

– Nie mogę na niego wejść, jest za wysoki. – Teraz sam był zasapany. – Poczekaj chwilę, sprowadzę pomoc. Znajdę kogoś z drabiną i zaraz wrócę...

Drzwiczki auta znowu zasyczały, jak zawiasy piekła.

Jej głos przybrał, aż stał się krzykiem przechodzącym ludzką wytrzymałość:
– Nie, niech mnie pan nie zostawia! Proszę mnie nie zostawiać, ja tego nie zniosę!

Zatrzymał się, prawdopodobnie jedną nogą już w samochodzie, i spróbował ją przekonać: – Ale już jesteś bezpieczna. Ktoś wie, że tam jesteś. Ja wiem, że tam jesteś. To tylko kwestia chwili. *Pequeña, pequeña*, nie rozumiesz?

Znowu krzyknęła. Krzyczał sam instynkt i nie było tam nic więcej, co mógłby przekonywać. – Pan nie wróci! Proszę tam stać i ze mną rozmawiać, skoro nie może mnie pan stąd wydostać. Niech pan przynajmniej tam stoi, bym wiedziała, że ktoś jest blisko mnie. Señor, señor, kimkolwiek pan jest, niech się pan nade mną zlituje.

Niech pan mnie nie zostawia znowu zupełnie samej.

– Ależ *trzeba* cię wydostać. Ledwie parę przecznic stąd jest sklep z farbami. Muszą tam mieć drabinę. Złapię właściciela i za mniej niż pięć minut będę tu z powrotem...

– Nie wróci pan, nie wróci pan...

– Mała wystraszona señorito... Przysięgam ci na wszystkie świętości, że cię tam nie zostawię. Kto mógłby zrobić coś takiego? Jestem mężczyzną. Inaczej tylko przestałbym tutaj całą noc, na nic ci się nie przydając. Zaufaj mi.

Trzymała się jeszcze chwilę, a instynkt walczył w niej z rozumem. W końcu się poddała. – Dobrze, señor, ufam panu – powiedziała łzawym głosem. – Ale niech się pan pośpieszy. Jest tak ciemno, a w cieniu za mną ruszają się różne rzeczy.

– Stój do nich plecami. Nie oglądaj się. Stój obrócona w stronę muru, póki nie wrócę, to nie zrobią ci krzywdy.

– Ale tak jest jeszcze gorzej. Wtedy wydaje mi się, że słyszę, jak się za mną skradają, gotowe do skoku, a ja nie mogę ich zobaczyć.

Kimkolwiek był, nawet jemu głos się dławił z litości, słysząc, w jakim jest stanie. – Biedactwo. Tylko chwilkę, *muchachita*, tylko chwilkę, a wyciągniemy cię stamtąd.

Nie mogła się oprzeć, by nie zajrzeć ostatni raz, kiedy drzwi auta znowu się zamknęły. – Proszę o mnie nie zapomnieć, señor... Nie zapomni mnie pan, señor...?

– Zostań tylko tam, gdzie jesteś, a ja migiem będę z powrotem – jego głos przebił się przez burczenie włączonego na nowo silnika. – Już nie ruszaj się, żebym wiedział, gdzie cię znaleźć.

Silnik wyrównał pracę, oddalił się i usłyszała, jak mężczyzna odjeżdża z warkotem w swej misji. Powietrze przyniosło jego ostatnie wspomnienie, gdy reszta już zniknęła, niczym postscriptum, niczym opóźniona myśl z oddali. A potem nie zostało już nic.

Znowu cisza. Znowu noc, i ona znowu całkiem sama.

Stała tak przez chwilę w czymś w rodzaju stanu zawieszzonego ożywienia, wpatrując się ślepo w stronę czarnej obecności muru, jakby próbując umiejscowić i zatrzymać dokładny punkt, z którego słyszała ostatnio jego głos, w obawie, że jeśli pomyli się choćby o ćwierć cala, jeśli przesunie wzrok, on nie wróci, zniknie jakiś cudowny przymus. Przerażone dzieci cechuje takie magiczne myślenie.

– Nie ruszaj się, powiedział – szepnęła raz do siebie, w ostrzegawczym przypomnieniu.

Potem nagle, jakby nie będąc w stanie dłużej utrzymać się w pionie, jakby coś pod nią się zapadło, osunęła się do swej poprzedniej pozycji na ziemi, połową ciała na płasko, z głową, szyją i ramionami nadal uniesionymi na jednej ręce. Nie bez zmysłów, ale pozbawiona wszelkich sił. Będąca w stanie robić tylko dwie rzeczy, oddychać i czekać. Trzy.

Nadzieja była białą ćmą o maleńkich skrzydełkach, trzepoczącą wokół niej w ciemności.

W jej nogi i wyciągniętą na płasko dłoń sączyło się zimno z mchu i wilgotnej ziemi, wywołując w nich zdrętwienie. A może to posoka tych, którzy leżeli tak gęsto pod tą ziemią, przetaczała się do jej ciała przez jakiś ohydny rodzaj osmozy? Podniosła dłoń do góry i machnęła nią, jak się robi, gdy próbuje się coś osuszyć.

Ćma wykonywała teraz szersze kółka, nie tak blisko niej. Jak długo już? Cztery minuty? Pięć?

Z trudem uklękła, złożyła dłonie razem i nachyliła nad nimi twarz. – Spraw, żeby wrócił. Daj mi tylko tę jedną drobnostkę: spraw, żeby wrócił.

Ćma teraz odlatywała, opuszczała ją szybko, leciała gdzie indziej. Jej malusieńkie skrzydełka z lśnieniem rozmyły się w nicłość.

Szeptala do swoich dłoni, jak gdyby to był sekret, którym dzieliła się tylko z nimi: – Kazał mi się nie ruszać. Widzicie, staram się nie bać. Żadnego krzyku, słyszyście przecież. Ten jeden niemal mi się wyrwał, ale mu nie pozwoliłam, zdusiłam go. Temu też się nie uda...

I wtedy w niebo wzbił się krzyk rozpacz, a dziewczyna, niemal z zaskoczeniem, zdała sobie sprawę, że to ona go wydała.

Przyłożyła ręce do gardła, jakby w celu powstrzymania go od zewnątrz, skoro od wewnątrz jej się nie udało. One też były bezsilne. Wbrew jej woli wydarł jej się drugi: – Pospiesz się! Gdzie jesteś? – Wibrował w ciszy cementarza niczym potracone ostrze noża, wleciał nad murem w noc za nim.

W podwojonej ciszy, która nastąpiła potem, dziewczyna pomyślała, że coś słyszy. Nic określonego, jak tamte drzwi auta przedtem albo choćby pisk klaksonu jeszcze wcześniej. Coś trudniejszego do zidentyfikowania, jak... jak *lapa*. Gdzieś po drugiej stronie muru, nie tu, gdzie się znajdowała. To musiał być po prostu jakiś liść albo mała kępka liści, które spadły na ziemię z plaśnięciem. A jednak brzmiało niezupełnie tak. Było mocniejsze, a jednocześnie miększe; mniej skrzypiące, bardziej sprężyste. Niemal jak aksamitne stąpanie, najlżejszy, najbardziej jedwabisty szept stąpania, tyle że stąpanie jest ciągłe, a to był jego wyizolowany fragment, zauważalny dzięki pewnej kruchości czy płynności gruntu, po którym stąpano. A przynajmniej za to właśnie można by to wziąć, do tego właśnie najbardziej było podobne. Ale czy to w ogóle było czymś? Równie dobrze jego źródłem mógł być mokry upadek orzecha czy ciężkiego rzepa, czy kawałka zaprawy obluźowanej na powierzchni muru przez niedawne wysiłki gimnastyczne tamtego kogoś.

Czujność znów opadała, skoro nic nie nastąpiło przez chwilę czy dwie.

I wtedy trzasnęła gałązka. Najmniejsza z małych gałązek. Niewiele grubsza od błonki. Nadal tam na zewnątrz, a nie w środku.

Wiatr wiał zza jej pleców, przelatował na zewnątrz przez mur, tak jak robił to dotąd. Nie był silny; z pędem wystarczającym jedynie, by zakolysać nieco zwisającymi liśćmi, by przenieść zapachy z jednego miejsca w drugie. Przenieść zapach wielu zmarłych przez mur i jeszcze dalej. Wielu zmarłych i jednej

żywej. Ale jakie nozdrza umiałyby coś takiego wyczuć? Jakie zmysły były dość wyost...?

Rozległo się dmuchnięcie. Odgłos gorącego oddechu wydmuchiwanego z ciała na powierzchnię, która zadziałała jak coś w rodzaju płyty rezonansowej. Jakby nozdrza uniesiono dociekliwie w stronę muru. Ale nozdrza o rozszerzonych otworach, donośne tuby.

Blisko niej było coś *żywego*. Takie odczucie, pewność, wiedza stały się jej udziałem bez żadnego dalszego słyszalnego dowodu, który by to potwierdził. Mówił jej to każdy nerw ciała, każdy mieszek włosowy na głowie. A im dłużej trwała cisza, tym silniejsze stawało się to wrażenie. Jakby – gdy wstrzymywała oddech, nasłuchując – coś innego blisko niej też zamarło, nasłuchując. Więcej niż po prostu nasłuchując. Identyfikując ją falującymi porami przenikliwości. Przez masywną kamienną barierę dotarły do niej wysyłane fale świadomości, kierowane czymś w rodzaju potężnego, trzymanego na uwięzi dynamizmu. Coś, ktoś tam był, ukryty przed jej wzrokiem po drugiej stronie. Czaił się na nią, by tak rzec, w kompletnym bezruchu.

Jej krzyki przed chwilą coś do niej przyciągnęły. Nie mógł to być człowiek, zbyt ukradkowo się poruszał. Może pies? Ale pies by zaszczekał albo przynajmniej zawarczał nieufnie. To coś było ciche. Śmiertelnie ciche, zjadliwie ciche.

Nie mogła dłużej znieść przedłużonego napięcia. Napięcia wytwarzanego nie tylko przez nią, lecz dwukierunkowego prądu, płynącego zarówno od jak i do niej.

– Czy to pan? – spytała drżącym głosem. – Dlaczego się pan nie odzywa?

Wiedziała, że to niemożliwe. On wróciłby autem. A jeśli nie, towarzyszyłby mu przynajmniej odgłos spiesznych kroków, nieukrywanych, ciągnięcie drabiny, rzucone jej słowo.

W odpowiedzi na jej głos po zewnętrznej stronie muru rozległo się skrobanie. Jak tarcie papierem ściernym, bezpośrednio przed miejscem, gdzie przykucnęła. Dźwięk... Dźwięk, jaki czasem wydaje kot, kiedy wypróbkuje na czymś swe pazury. Chwilę później poczuła drganie ziemi, przeniesione w jej stronę. Jakby coś, jakieś masywne ciało, opadło ciężko. Rzuciło się najpierw w górę, a potem, po udaremnionej próbie, opadło z powrotem.

– Kto tam? – zawołała ostro. – Kto tam jest?

Skok jest bezdźwięczny, póki nie dotrze do celu, a jednak jakimś cudem wiedziała, że coś skoczyło. Powiedziało jej o tym jakieś zawirowanie powietrza. Chwilę później, w potwierdzeniu, gdzieś nad nią rozległo się skrzypnięcie, jakby wyginanej gałęzi, wielki szelest liści. A jednak w tym momencie wiatr nie wiał, nie było nic, co by mogło nimi poruszyć.

Jej wzrok poszybował do tego konaru, który rozciągał się nad murem niemal bezpośrednio nad nią. Był gruby, zaokrąglony, dość ciężki, by unieść... wiele rzeczy. Coś się z nim stało; zmienił się. Choć było ciemno, widziała, że zaszła w nim jakaś zmiana. Dotąd ciągnął się prosto, wysoko nad szczytem ściany; był prostopadły do pnia. Teraz nachylał się w dół, jego zewnętrzny koniec, którego jej wzrok nie mógł dosięgnąć, leżał dużo niżej niż połączenie z pniem. Co więcej, ocierał się o mur. Wydawał dźwięk. Wibrując, stukał lekko o górny skraj muru w punkcie podparcia; chwiał się zauważalnie, drżał pod naciskiem. Coś go złapało – albo siedziało na nim, uczipione w delikatnej, czujnej, męczącej wspinaczce w górę i do środka, w stronę serca drzewa.

Nie mogła wydobyć z siebie więcej głosu. – Kto tam? – szepnęła ochryple. Nie mogła się stamtąd oderwać, odwrócić i odbiec, tak jak chciała. Tkwiła jak wrośnięta, zahipnotyzowana jak w jakimś koszmarze, z głową wygiętą do tyłu, wpatrując się w czerń nad sobą, przypominającą coś, co nabrzmiewa.

Przedtem nie było tam w górze nic, co mogłoby świecić. Drzewo roślo osłonięte przez inne drzewa dookoła; mur i ziemia pod nim były zasłonięte przez nie wszystkie. Księżyc tkwił cały czas gdzieś w tle, gotowy rozpalic światło, ale nie było nic, co mogłoby je odebrać.

A teraz coś odbierało. Poprzez poruszające się, falujące masy liści zdobiące zewnętrzny koniec konara w miejscu, gdzie zniknął po drugiej stronie muru, coś się jej przyglądało, z góry i na wskroś. Coś słabo świecącego, bladozielonego, fosforyzującego. Niczym chciwe, bezlitosne oko, które stało się widoczne, gromadząc na sobie księżycowe drobinki, których istnienia nikt nie podejrzewał, pływające niewidocznie w ciemności, a teraz płonęło, wycelowane w nią złowrogo poprzez osłonę z liści.

Jej usta rozchyliły się spazmatycznie, próbując wydać ostatni krzyk, na który nie było już czasu. Krzyk śmierci, który się spóźnił.

*

Manning tym razem zjawił się na scenie zajścia niemal natychmiast. Był z Roblesem, gdy meldunek dotarł do komendy głównej, i zabrał się z nim tym samym wozem.

Wzdłuż zewnętrznej strony muru stał cały sznurek oficjalnych policyjnych aut, które dotarły tu przed nimi. O mur oparte były trzy czy cztery drabiny, z policjantami pilnującymi ich podstaw, stanowiące najszybszy i najłatwiejszy sposób przedostania się do środka i z powrotem. To się stało dokładnie po przeciwnej stronie od głównego wejścia.

Próbowali nie dopuszczać Manninga, jako osoby nieupoważnionej, gdy ten starał się wspiąć po szczeblach jednej z nich tuż za Roblesem. Chwycił inspektora za połą marynarki, ścisnął mocno, nie zgadzając się, by go z nim rozdzielono.

– On jest ze mną – rzucił krótko Robles.

Po wewnętrznej stronie muru każda drabina miała swoje dopełnienie zapewniające zejście na ziemię. Odwrócili się i tyłem zeszli na dół.

Cały najbliższy odcinek cmentarza zamieniono w groteskową galerię przenośnych, lodowobiałych reflektorów o wielkiej mocy skierowanych ukośnie w siebie nawzajem, których grube promienie były obramowane fioletem. Dokoła i obok nich zapalały się okazjonalnie niebieskie błyski lamp fotograficznych, żółte pszczoły latarek kieszonkowych migających wszędzie, daleko i blisko, przy czym niektóre z nich na chwilę podświetlały inskrypcję na nagrobku, po którym się przesuwają. Czerwone węgielki niedopалonych papierosów i cygar żarzyły się od czasu do czasu na jakimś grobie, na którym ktoś przed chwilą usiadł na moment, by odpocząć, czy zawiązać sznurówkę, czy wymienić się z kimś innym spostrzeżeniami. Całe miejsce było domem wariatów kłębiącego się, pozbawionego szacunku działania.

U stóp jednej z drabin stał, podtrzymywany na nogach przez policjanta i człowieka w cywilnym ubraniu, zrozpaczony młodzieniec w płaszczu z pa-skim, bez kapelusza i w spowodowanym szokiem nieładzie. Wciąż próbował się im wyrwać, ramionami i głową do przodu, w kierunku miejsca położonego dalej wzdłuż podstawy muru, gdzie promienie kilku potężnych światel spletały się razem w kałuży, straszliwej w swej oślepiającej jasności. Rozciągnięto tam płótno. Łkania mężczyzny wciąż wydobywały się, niskie i pulsujące, z jego

brzucha. Można było zobaczyć, jak opada i unosi się za każdym razem, kiedy było je słyhać. Jego twarz była białą maską, która już się nie poruszała.

– *El novio* – wyjaśnił jeden z mężczyzn w odpowiedzi na rzucone przelotem pytanie Roblesa. Ukochany.

Jakiś służbista w pobliżu warknął: – Każcie mu się zamknąć. Zabierzcie go stąd albo dajcie mu coś, co go uciszy! On tylko pogarsza sprawę.

Manning, który przez chwilę został z tyłu, przyglądając mu się, pospieszył, by dołączyć do Roblesa. Robles był przy płótnie, stał tam nieruchomo. Amerykanin pojawił się w najgorszym momencie.

To było okropne, jeszcze gorsze niż za pierwszym razem. Tamtemu nadano w kostnicy pewne pozory utajenia i zwyczajowego spoczynku. A tu było porzrucane po ziemi szaleństwo. Manning wycofał się pospiesznie z oślepiającego światła i ukradkiem otarł usta rękawem. Robles wpatrywał się w dół, z nieporuszoną twarzą, ale pocąc się nieco na skroniach. Zrobił jakiś gest swoim małym palcem, po czym znowu go schował.

Szczegóły sprawy sęczył mu do ucha jeden z jego ludzi, stojący tuż poza promieniem świetlnego koła. A on zdawał się w ogóle nie słyhać. Poruszało się w nim tylko jedno – oczy. Chłoneły wszystko, śmigając niestrudzenie dokoła: po ziemi, w górę pnia śmiertelnego drzewa, na zewnątrz po konarze, a potem znowu w dół wzdłuż muru, zamykając scenę w małym pełnym kwadracie.

W końcu przemówił: – Świadkowie naoczni... brak, mówicie. Może i dobrze, no to świadkowie drugorzędni.

W krąg światła wkroczył mężczyzna po trzydziestce o rozbieganych oczach. – Juan Gomez, Avenida Betancourt trzydzieści sześć – nawijał w tle pomocnik Roblesa.

– ...szczęściem przyjechał tu ze mną. Chyba bał się spuścić drabinę z oka. Tak czy owak, jak tu wróciliśmy, było dziwnie cicho. Zawołałem do niej, a ona już nie odpowiadała. Przystawiłem drabinę do muru i zacząłem przechodzić, żeby sprawdzić, co się z nią stało. Pomyślałem, że może ktoś inny wydostał ją stąd podczas mojej nieobecności. Zanim w ogóle zszedłem na dół po wewnętrznej stronie, usłyszałem, jak on krzyczy tam, na zewnątrz. Zauważył już

jakieś zakrwawione znaki czy ślady po zewnętrznej stronie muru...

Robles zdawał się go nie słuchać. Powiedział tylko: – Będzie pan musiał pojawić się przed sądem przysięgłych. I proszę nam podać swoje prawdziwe nazwisko, zanim pan stąd odjedzie, señor Gomez.

– Ale ja mam rodzinę...

– Skąd pan wracał, to nie nasza sprawa. Był pan późnym wieczorem w swoim samochodzie, to wystarczy. Następny.

Pchnięto naprzód, w światło, dozorcę, który wygłosił swoją część, po czym został odesłany z powrotem w ciemność na zewnątrz.

– ...i myślałem, że ona wyszła. Widziałem przechodzącą kobietę, całą w czerni, no i cóż, nie mam już tak dobrego wzroku, szczególnie o zmierzchu. No to dałem sygnał ostrzegawczy i zamknąłem bramę. Ludzie powinni wiedzieć, o której zamykamy...

Robles znowu zachowywał się tak, jakby nie usłyszał ani jednego słowa. Jego głowa ani razu nie obróciła się w stronę mówiącego.

Jego uwagę przyciągnęły odległe dźwięki, ludzie nawołujący się nawzajem z różnych oddalonych od siebie części cmentarza. Po raz pierwszy odwrócił głowę od tego, co leżało przed nim na ziemi, przemówił ostro do jednego z najbliższych stojących podwładnych. – Co oni tam robią? Przywołajcie tych idiotów z powrotem. Jego już tu nie ma, tylko marnują czas.

– Ale drzewa miejscami rosną dość gęsto, zwłaszcza w stronę środka – oponował podkomendny. – A ten mur, który zupełnie go zamyka, posłużyłby całkiem jak zagroda. Po wschodniej stronie jest jeszcze wyższy niż tutaj i najezony szkłem z pobitych butelek...

– Czy wy nie macie oczu? Byliście tu wszyscy pół godziny przede mną. Każdy może zobaczyć, że wydostał się stąd tak samo, jak tu wszedł.

Manning odwrócił się do niego na czas, by zobaczyć, jak tamten kuca przy makabrycznych resztkach, zabiera jakiś nieokreślony, zalepiony krwią przedmiot o kształcie łódki przyklejony do samych szczątków. Wyprostował się ponownie, przeniósł przedmiot na czysty kawałek białego papieru. Widać było, że z jednej jego strony wystaje malutka łódyczka. Ale nawet teraz trudno było się zorientować, co to takiego, bez słowa wyjaśnienia z jego strony. Swoista patyna dobrze to coś maskowała.

– Liść – powiedział głośno, w nagłym, uważnym milczeniu, jakie zapadło.
– To pierwotnie był liść. Jeden z bożych zielonych liści, zanim oblepiła go materia śmierci. Są tu ich dziesiątki, pouczepiane do niej całej jak pióra nie do końca obskubanego kurczaka. O tej porze roku liście nie spadają. Początkowo nie leżały na ziemi. – Jego wzrok padł na konar w górze. – Zostały na nią strząśnięte. Zwierzak rzucił się na nią stamtąd, razem z wodospadem liści. Pewnie jej krzyki przyciągnęły go do niej, kiedy kręcił się za murem. Potem, dokonawszy rzezi, wskoczył z powrotem na konar, przeszedł nad szczytem muru i wrócił tam, skąd przyszedł. Gdzie wy macie oczy? Coście tu robili, czekając na mnie? Lupa. – Podano mu ją, a on przesunął nią wzdłuż obwodu pnia, w wystarczająco bliskiej odległości, by uzyskać dobrą ostrość. – Zabierzcie głowy ze światła, stańcie tutaj z boku. Właśnie. Teraz widzicie? Czy to dla was dość jasne? Widzicie blade szramy na korze po jego szponach? Każda z nich najgłębsza jest u góry; tam przebija się przez całą grubość kory, po czym, u dołu, przechodzi w płytkie zadrapanie. To znaczy, że powstały, kiedy bestia *wchodziła do góry*. Pazury zagłębiały się, by uzyskać punkt oparcia, ześlizgiwały się za każdym razem lekko w dół pod ciężarem ciała, po czym przenosiły się wyżej, do następnego punktu, aż zwierzę dotarło do konara. Mimo to prawdopodobnie wspięło się niemal za szybko, by mogło je śledzić jakieś oko – ale ślady wspinaczki nie znikają, na szczęście, tak prędko. Sfotografujcie je. – I oddając pożyczoną lupę, dodał z niesmakiem: – Naprawdę powinno się wam dać miseczki na jałmużnę i laski, a potem odesłać do innych ślepców siedzących na ławkach wokół Plaza Mayor.

Manning wiedział, że jest tam jedynie z łaski i powinien trzymać gębę na kłódkę. Nie mógł się jednak powstrzymać przed zjadliwym wtrąceniem: – A w świetle tego, nadal sądzisz, że to jaguar?

Robles obrócił się do niego jak fryga. – Co masz na myśli?

Amerykanin patrzył na niego niemal pogardliwie. – Zwierzę z dżungli raz znalazłszy się tutaj, miałoby się odwrócić od całej tej zieleni, drzew, roślin i schronienia zarośli i celowo wrócić, z własnego wyboru, do kamienno-asfaltowych pułapek ulic tam na zewnątrz? Ha!

Jeden z detektywów pospieszył z odsieczą przełożonemu, prawdopodobnie

by odzyskać jego szacunek, nim sam Robles zdążył odpowiedzieć. – Na zewnątrz muru, tam, gdzie zeskoczył *po* dokonaniu ataku, znajdują się ślady zakrwawionych łap. Już je sfotografowaliśmy.

Cios był skuteczny; usta Manninga otworzyły się i znowu zamknęły, bo ten nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa.

– A tak dla dobicia cię, spójrz na to – dodał miażdżąco Robles.

Pożyczył małe szczypczyki, drugi raz pochylił się prędko nad rozszarpanym kształtem, szczęśliwie obrócony przy tym cały czas plecami do wszystkich. Manning nie widział, do wydobycia czego użyte zostały szczypczyki, zauważył tylko szarpnięcie łokcia, towarzyszące tej czynności.

Robles znowu wstał, odwrócił się, znowu ułożył to coś na papierze. Tym razem wyglądało jak mały kolec, zakrzywiony i na jednym końcu grubszy niż na drugim.

– A w świetle tego, nadal sądzisz, że to *nie* jaguar? – sparodiował cierpko. – Przytrzymajcie nad tym lupę przez chwilę, dla pana wszystkowiedzącego.

Manning spojrział na powiększony przedmiot. Przez lupę wyglądał jak miniaturowy kiel, z rogowej masy, obłamany przy szerszym końcu. – Co to jest, ząb? Kiel?

– Jak na kogoś tak znającego się na jaguarach, nie jesteś zbyt dobry; powinieneś się podciągnąć z zoologii – zabrzmiała bezlitosna riposta Roblesa. – To obłamany koniuszek jednego z jego szponów. Był wbity w jej gardło.

Manning przez chwilę nie potrafił nic odpowiedzieć, ale nie zamierzał się poddawać, wycofywać. Odsunął głowę z drwiącej bliskości, w jakiej Robles przytrzymał przy nim przyprawiający o mdłości dowód, mruknął zmieszany: – To wbrew wszelkim prawom natury, żeby odwrócić się od tego miejsca i znowu poszedł na zewnątrz.

Robles apodyktycznie podniósł głos. – Kiedy prawa natury stoją w sprzeczności z bezspornym dowodem, takim jak ten, należy odrzucić prawa natury. A zresztą kto miałby je określać – ty? Ja? Czy sami jesteśmy zwierzętami? Po pierwsze, nie dość wiadomo o tym gatunku, by ustalać dla niego nienaruszalne reguły zachowania. Z tego co wiemy, mogą być równie nieprzewidywalne jak ludzie. Może i w naturze jaguara *nie* leży wracanie na zabudowane ulice. *Ten*

wrócił. Być może przywykł do swego schronienia. Być może to jedyny wyjątek od reguły. Ale wyjątek czy nie, to nadal jest jaguar!

Wykazawszy heretykowi właściwie i publicznie, jak pobłądził, ku widocznej satysfakcji wszystkich swoich ludzi, wrócił do spraw bieżących. – Kto tam ciągle tak hałasuje? – spytał z irytacją.

– *El novio* – mruknął ktoś.

– Przesłuchaliście go już? Dajcie go tutaj.

Oszalałego z żalu młodzieńca w przepasanym płaszczu przyprowadzono szybko naprzód; szedł chwiejnym krokiem między dwoma mężczyznami, którzy podtrzymywali go cały czas.

– Raul Belmonte – referował asystent Roblesa. – Calle San Vincente czternaście. Kasjer, Banco de Comercio.

Wyglądał nędznie. Mężczyzna nie powinien kochać za bardzo, pomyślał Manning, patrząc na jego twarz; tak by było dla niego lepiej. Jest bardziej bezbronny niż kobieta, gdy dochodzi do czegoś takiego jak to, z czym nie potrafi walczyć.

– Jest pan w stanie mówić, Belmonte? – spytał krótko Robles. – Proszę nam opowiedzieć swoją historię.

Głos miał martwy, apatyczny.

– ...wyszedłem, żeby zadzwonić do niej do domu i dowiedzieć się od tej małej służącej, która nam pomagała, czy w ogóle wyszła. By to zrobić, musiałem wejść dokładnie to tego samego lokalu, w którym ona była wtedy ze swą *companera*, to jedyne miejsce w okolicy, z którego można zadzwonić. Musiała siedzieć schowana przede mną w boksie w głębi lokalu. Ja musiałem stać do niej plecami, w budce telefonicznej z boku, i gdy wychodziła, żadne z nas nie zauważyło drugiego! Potem, zastawszy zamkniętą bramę, zamiast odejść od razu, wróciłem znowu na drugą stronę drogi, by przed odjazdem złagodzić rozczarowanie lampką koniaku. A kiedy w końcu wyszedłem i wsiałem do auta, zdawało mi się, że gdzieś w oddali słychać słaby krzyk... teraz to pamiętam. Ale uznałem, że to wytwór mojej wyobraźni, i byłem zbyt przygnębiony tym, że się z nią nie widziałem, by się tym zainteresować. Co to miało ze mną wspólnego?

Zaczynał drżeć. Robles dał znak i odprowadzono go.

– Zamknijcie go na razie – rzucił cicho inspektor, gdy tamten znalazł się poza zasięgiem słuchu.

– Chyba nie sądzisz...? – zaproponował Manning.

– Areszt zapobiegawczy – odparł Robles. – Stanowi zagrożenie dla siebie samego, póki trochę się nie otrząśnie. Wystarczy na niego spojrzeć.

Manning odwrócił się i powoli zaczął wycofywać z obrzydłego blasku, który nie przestawał się łać na śmiertelne szczątki Conchity Contreras. Wszyscy obejrzeni się za nim ciekawie, zauważając zadumę widoczną w sposobie, w jaki trzymał głowę i kopał niewidoczne przedmioty na ziemi, by okazać osobiste niezadowolenie i brak przekonania, jakie płynęły dla niego z tej sytuacji.

– Ten facet ma obsesję – usłyszał, jak lekceważąco wyjaśnia Robles niektórym ze swych kolegów, nie zadając sobie zbyt wiele trudu, by ściszyć głos – że w sprawę wplątany jest jakiś inny czynnik. Nie pytajcie mnie dlaczego!

– Mnie też nie pytajcie – Manning odwrócił głowę, by odkrzyknąć. – Ale nie proście mnie, bym się poddał. – Postawił stopę na najniższym szczeblu jednej z drabin, by wydostać się z tego przekłętego miejsca.

– Ma to tutaj przed samymi oczami – ciągnął dalej Robles głośnym, niosącym się głosem, sprowokowany oporem. – Patrzcie, miejscami widać żebra! Nic ludzkiego nie mogłoby zrobić takiej jatki.

Opadali powoli pod Manningiem, z każdym szczeblem coraz niżej.

– A ja twierdzę, że jest wręcz przeciwnie – zaproponował przez ramię – że *tylko* coś ludzkiego mogłoby zrobić to tak dokładnie. Sprawę przeciągnięto za daleko nawet dla najbardziej zajadłej zwierzęcej bestii. Ich furia nie trwa tak długo, śmierć zdobyczy ją kończy. Mają krótszą pamięć...

Wszędzie dokoła rozległ się ciężki, ponury śmiech, gdy mężczyzna siadł na szczycie muru okrakiem i odszedł, nieopłakiwany i z pewnym uszczerbkiem na godności własnej.

4.

CLO-CLO

Clo-Clo szybko zaczęło męczyć towarzystwo niemieckiego oficera marynarki handlowej. Nie była pewna, czy jest Niemcem, i nie była nawet pewna, czy jest oficerem marynarki handlowej. Wiedziała tylko, że przybył z jednego z tych krajów, w których ludzie mają włosy koloru masła i niebieskie oczy i nie potrafią dobrze mówić po hiszpańsku, i że miał zmatowiałe guziki z mosiądzu u krótkiej niebieskiej kurtki zamiast kościanych, jakich używali inni.

W tym szybkim męczeniu się z jej strony nie było nic osobistego. Tak samo jak nie było nic osobistego w niczym, co robiła po szóstej wieczorem. To były jej godziny pracy. On nie był za bardzo przy forsie nawet, kiedy go poznała – koledzy ze statku musieli go ostrzec, zanim zszedł z pokładu na wybrzeże, by nie zabierał ze sobą do miasta całej wypłaty na raz – a teraz zwolnił jeszcze tempo do jednego drinka na pół godziny. Poza tym cały czas chciał się z nią ożenić, a to sprowadzało rozmowę na ponure tory. Ale najgorsze w nim było to, że ją zatrzymywał, przez co zaczęła się opóźniać względem swego conocznego rozkładu. Będzie musiała zrezygnować z przystanku o dziesiątej i pójść stąd prosto tam, dokąd chodziła o północy.

Clo-Clo trzymała się sztywnego grafiku. Żyła według zegara. Jeśli się tak nie robiło, do niczego nie mogło się dojść. Trzeba było pracować szybko, trzeba było iść naprzód. Każda noc miała swoje wyznaczone przystanki, a każdy przystanek miał swoją porę i przydzielony czas. Godzinyienne do, powiedzmy, mniej więcej siódmej czy ósmej wieczorem, były ściśle przedpołudniowe, nie liczyły się. Niczego się nie oczekiwało. Niczego się nie dostawało. Zostawało się w domu i układało fryzurę. Prało się pończochy. Próżnowało się. Jak miało się dobry humor, może nawet pomagało się biednej staruszce przy tym nie kończącym się gotowaniu i wydawaniu jedzenia głodnym gębom, którym zawsze się zajmowała. Albo, jeśli się wychodziło, to tylko po coś, czego

się potrzebowało, trochę lakieru do paznokci z taniego sklepu. Wielkie wyjście miało miejsce dopiero koło ósmej, ósmej trzydzieści. Przeglądało się rzeczy, badało się je w dotyku, rozgrzewało się. Jej przystankiem o dziewiątej był bar Elite. Teraz była w barze Elite. Na razie nie miała zbyt wiele do roboty. Prawdziwe grube ryby, prawdziwi utracjusze przesiadywali jeszcze wszyscy w domach z rodzinami, z cygarami nad poobiednimi drinkami. O dziewiątej trafiały się takie rzeczy jak ten cudzoziemski morski oficer, wystarczający dla zabicia czasu przy paru lampkach brandy przy barze.

Pora między dziesiątą a jedenastą leżała o szczebel wyżej w skali towarzyskiej. Miejsca takie jak Tivoli i Miraflor Gardens. Wszystkie grube ryby były wtedy na przedstawieniach, ciągle jeszcze się nie pojawiły. Siedziało się przy jakimś stoliku z młodymi pisarzami, urzędnikami, biznesmenami. Teraz przy winie.

Zenit przypadał między północą a drugą. Szczyt jej „dnia”. Wtedy przedstawienia się kończyły. W Ciudad Real kończyły się późno. Casino Bleu, położony w parku Madryt (ale tam nigdy się nie zapuszczała; za daleko trzeba było wracać pieszo, jeśli nic się nie załapało), Jockey Club, Tabarin, Select. Wtedy trzeba było szukać tych miejsc. To była śmietanka nocnego życia, rojąca się od towarzyskich facetów, grubych ryb, utracjuszy. Większość z tych lokali zapewniała rozrywkę kabaretową; a jeśli nie, przynajmniej zespoły tanga i dancingi. Wtedy – benedyktyńska. Crème de menthe. Czasem nawet szampan.

Potem wszystko szybko się kończyło. Od mniej więcej trzeciej w nocy zostawały już fusy. To była pora, na którą trzeba było uważać. To była pora, kiedy śmiech cichł, światła zaczynały przygasać i wypełzały cienie, i jeśli miało się dość rozumu, nie zostawało się dłużej, wracało się do domu. To była zła pora. „Błada godzina”, jak nazywały ją niektóre z nich. „Pora umierania”, jak mówiły inne. To była pora, kiedy czasem zdarzały się różne rzeczy. Rzeczy, o których mówiło się ukradkiem. Jeśli w ogóle miały się zdarzyć, to właśnie wtedy.

Jak z tego widać, Clo-Clo była rozrywkową dziewczyną. Trochę trudniej byłoby znaleźć dla niej odpowiednie określenie. Właściwie zdobywała właśnie drugi przydomek, który groził jej wyparciem pierwszego. *Enganadora*, mała

oszustka. Bo z obietnic dających się wywnioskować z samej jej obecności w miejscach, do których chodziła, były nici. Honorowała zobowiązania dopiero przyparta do muru, a nawet wtedy w sposób, który sprawiał, że nie było to warte zachodu, chyba że dla zawodowych zapaśników. Miała już na koncie dwie utarczki z policją; nie z powodu jej domniemanej działalności, ale z jej braku. Inni z jej bezpośredniego otoczenia ostrzegali ją: „Uważaj, *chica*, zarobisz na niedobrą reputację. A jak już się jej dorobisz, będą cię omijać z daleka jak zły przypadek czarnej ospy”. Innymi słowy, w półświatku zła reputacja była bezpośrednim przeciwieństwem tego, co powszechnie rozumiano przez takie określenie w praworządnym świecie.

Niemniej jednak Clo-Clo pozostawała uparcie, można nawet powiedzieć fanatycznie, cnotliwa w głębi serca. Wszelki jej instynkt był instynktem dobrej, przyzwoitej, pracowitej dziewczyny z klasy średniej, która spodziewa się zostać kiedyś żoną. Zaplanowała sobie całą przyszłość. Najpóźniej do trzydziestki miała poślubić jakiegoś uczciwego, pracowitego faceta i mieć gromadkę dzieci, i może małe gospodarstwo rolne za miastem, chociaż małe poletko. A jeśli któreś z dzieci będzie dziewczynką i choćby *spojrzy* na kogoś, ona przeprasuje jej twarz.

Miała jeszcze przed sobą jedenaście lat i sześć miesięcy.

A całe to interludium nie było kwestią swobody charakteru, lecz trudności finansowych. Jej wewnętrzna moralność w najmniejszym stopniu nie została przez nie nadwreżona. Nieznajomi w barach nie byli w stanie jej osiągnąć. Po prostu trochę się naginała, w celu osiągnięcia finansowego bezpieczeństwa.

W domu, w walącej się chałupie przy ulicy Rivera, z gromadą dzieci śpiących wszędzie, gdzie się dało, wiedziano, że Clo-Clo nie jest zbyt święta, ale pieniądze na pewno się przydawały. Nikt za bardzo nie wnikał, dokąd ona wychodzi i skąd wraca. Używali pewnego eufemizmu dla określenia jej przedłużających się nocnych nieobecności, między sobą, wśród przyjaciół i sąsiadów, jeśli ktoś o nią pytał. „*Salio para dar una vuelta*. Wyszła na przechadzkę”. Cóż, w pewnym sensie to prawda. Jedna z jej małych przechadzek zaniósł ją daleko na drugą stronę kręgosłupa kontynentu, aż do Buenos Aires. Ale ona wróciła dwa dni później, cała i zdrowa, wyskoczywszy z pociągu tylko jedną

stację przed dojechaniem na miejsce, gdzie miała utracić swobodę ruchu, i ze wspaniałymi historiami do opowiedzenia.

Jej gruba, wolno poruszająca się matka wzdychała i wzruszała ramionami, przeganiając miotłą z drogi kilkoro z młodszych dzieci. Była dobrą córką. Tutaj, w domu, była dobrą córką. A poza domem: cóż, to było poza domem. A tak w ogóle to kto na tym świecie jest doskonały? Czy ona, matka, powinna pierwsza rzucać kamieniem we własne dziecko? Poza tym, to tylko tymczasowe, któregoś dnia nadejdzie wielka zmiana. Czyż ona, Clo-Clo, sama tak ciągle nie powtarzała? „Poczekaj, *mamita*, aż skończę trzydziestkę i przestanę się źle zachowywać, potem będę już dobra”.

I oto ona – tkwiąca na przystanku z godziny dziewiątej z klientem z godziny dziewiątej, podczas gdy szybkim krokiem nadchodziła jedenasta. I to z klientem sentymentalnym, a tacy byli najgorsi. Im bardziej sentymentalni się robili, tym zdawali się mniej wydawać. Ten, być może bardziej rozgarnięty niż go oceniała i wyczuwający w niej coś pod pokrytą strupami powłoką zewnętrzną, chciał, żeby wróciła z nim na statek, chciał się z nią ożenić i zabrać do jakiegoś miejsca, które nazywał Kopenhagą, i osiąść z nią tam na mlecznej farmie, którą chciał kupić.

Jeśli chodziło o Clo-Clo, to był czysty nonsens. Peso wsunięte w dłoń przy opuszczaniu lokalu, jako mały gest wdzięczności za poświęcony czas i dostarczoną rozrywkę, warte było jednak tuzinów propozycji ślubu w Kopen-cołtam.

Siedziała na jednym z wysokich stołków barowych obok niego, z włosami przyciętymi krótko w czarną chryzantemową burzę, z arogancką grzywką nad oczami. Jej postawa stanowiła bystre połączenie chłonięcia i bezmyślności; to pierwsze było udawane, to drugie prawdziwe. Siedziała bokiem, z twarzą skierowaną ku niemu, z łokciem opartym o bar i tyłem głowy huśtającym się na rozłożonej dłoni. Zsunęła niezauważalnie jedną nogę ze szczebelka stołka, wyczuła nią podłogę i ustawiła palcami w dół, postanowiwszy przerwać to wszystko, nie marnując ani chwili więcej.

– I spodobałoby ci się tam, wiem na pewno.
– Jasne – odparła skwapliwie Clo-Clo. – Powiedz jeszcze raz, gdzie to jest?

Clo-Clo miała z tym bowiem kłopot. Znała nazwy większości głównych

państw, Anglii, Francji, Hiszpanii i temu podobne. Słyszało się je na mieście. To albo był kraj, o którym nigdy nie słyszała, albo kompletne kłamstwo. Uznała, że kompletne kłamstwo, bo przecież nie mogło być wiele więcej krajów niż Anglia, Francja, Hiszpania. Nadeszła pora ruszać dalej. Wkrótce skończą się przedstawienia. Jej druga noga przesunęła się w dół i ustawiła obok pierwszej. Zostało już tylko jedno, by kompletnie zejść ze stołka.

W końcu zauważył, że ma go opuścić cała jej postać, podobnie jak jakiś czas wcześniej opuściła go jej uwaga. Pomyślał, że to z powodu zaniedbania przez niego obowiązków przy stoliku. Wyglądał na nieco urażonego, przestał oferować jej swe serce i duszę. Zawołał do barmana: – Jeszcze jeden dla pani. – Choć już jej powiedział, że nie lubi patrzeć, jak ona pije. Już zaczął próbować ją zmieniać.

– Nie, muszę iść – zaproponowała Clo-Clo. Zdążyła zejść ze stołka i nie mógł jej odzyskać. Każdy ruch w tych ucieczkach musiał być przeprowadzony tak przemyślnie, by zakończyły się one sukcesem.

Teraz, gdyby wyciągnął ramię, by ją objąć, musiałyby po prostu szybko zrobić krok do tyłu. – Mam randkę.

- Ale właśnie teraz jesteś na randce ze mną.
- Jasne, ale już mi się znudziła, więc się kończy. Na razie.
- Ale ja chcę, żebyś za mnie wyszła.
- Pojutrze.

Była teraz dwa stołki dalej. Barman nachylił się do niej bokiem, odezwał się karcącym szeptem: – Po co ten pośpiech? Facet cały czas coś zamawia, po co chcesz to przerywać?

– Daj mi prowizję – odparła kącikiem ust. – No już, albo powiem mu, że mnie obraziłeś. A wiesz, co to znaczy; lustro za tobą, wszystkie kieliszki na półkach...

– Ty mała bandytko – rzucił gorzko. Ich ręce zetknęły się na chwilę nad blatem baru.

– Równie dobrze mogę chodzić do Raula, nie muszę przychodzić tutaj. Na pewno na mnie nie tracisz.

Jej były adorator próbował ją dosięgnąć przekonującym machnięciem ramienia. Miała dość rozumu, by zostać poza jego zasięgiem.

– Chodź no na chwilę, Clo-Clo. Mała Clo-Clo, nie zostawiaj mnie tak. Dopiero co zaczęliśmy się tak dobrze dogadywać.

– Wiem, ale czas już się skończył.

Ruszył za nią chwiejnym krokiem w stronę wyjścia, wyciągając obie ręce. – Chciałem, żebyś za mnie wyszła. Chciałem cię z tego wyciągnąć... – Przez chwilę zdawał się niezdecydowany, czy zapłakać ckliwie, czy wpaść w szal.

Tyłem przekroczyła próg. – Zatrzymaj go w środku, Manuel.

Manuel posłał jej tylko paskudne spojrzenie za przerwanie takiej zyskowej sesji.

Jej niedawny kawaler stał w oświetlonych drzwiach, wyglądając za nią. – Niezłe z ciebie ziółko – zawołał z urazą.

– Wracaj pan lepiej na swój statek i prześpij się trochę. Zamiast mnie, ożeń się z dziewczyną z następnego portu, do którego trafisz. Wszystkie jesteście przecież takie same.

Ruszyła wąską, krętą, kiepsko oświetloną ulicą, machając zawadiacko torebką u boku, długonoga driada w obcisłej spódnicy z czarnej satyny. Raz zerknęła za siebie – on opierał się o futrynę drzwi, z twarzą schowaną w bok swego uniesionego ramienia, *plącząc*, boją stracił, po tym jak szukał jej pół świata. Prawdopodobnie to tylko alkohol. Atak w ogóle skąd można było wiedzieć, kiedy jest naprawdę, a kiedy nie, ta cała miłość?

Może powinnam była się zgodzić – usunęła go z myśli z obojętnym wzruszeniem ramion. – Kto wie, może gdybym potrafiła przewidywać przyszłość. Żałowałabym, że tego nie zrobiłam...

Tuż za następnym rogiem nastąpiła nagła konfrontacja. Ktoś stanął w miejscu, cofnął się do niej. – A, to ty, tak?

– Czy my się znamy? – spytała Clo-Clo z uprzejmą niepewnością.

– Czy się znamy! – Tamten spojrział na nią wilkiem. – Miałś wrócić za pięć minut, a ja siedziałem tam sam, czekając na ciebie przez resztę nocy, jak głupiec! Cały personel hotelu śmiał się ze mnie za plecami, kiedy następnego ranka musiałem przed nimi przemaszerować zupełnie sam!

Clo-Clo wysunęła w jego stronę niewinnie otwarte dłonie. – Nie mogłam z powrotem znaleźć pokoju, kiedy próbowałam do ciebie wrócić. Tak wiele tam było korytarzy i zakrętów, że się zgubiłam. Czy to moja wina?

– Wiesz, kto ty jesteś? Oszustka. Kombinatorka.

Dotknęła lekko jego podbródka jednym palcem. – Nie gniewaj się. Przypomnij sobie, jak mimo to dobrze się wtedy ze mną bawiłeś, zanim wyszłam. Sam mi o tym mówiłeś. Nie bądź wieprzem.

– Nie chodziło mi o zabawę – poinformował ją z rozżaleniem. Wyciągnął rękę. – Chodź no tutaj. Coś mi się należy.

Clo-Clo znowu wykonała krok w tył. – A właśnie, że nie – zaśmiała się. – Tamto było wtedy, to jest teraz. Nie udzielam żadnych kredytów długoterminowych. – Przesunęła się na przeciwną stronę ośmiokątnej budki reklamowej, dopilnowała, by ta została między nimi.

– No chodź tu albo ja pójdę tam po ciebie. Idziesz ze mną, nawet jeśli będę musiał ciągnąć cię za kark.

Zaśmiała się tylko, machnęła w jego stronę torebką utrzymaną za koniec paska.

Zauważył, że groźby nic nie dadzą, spróbował więc przekupstwa.

– Chodź – namawiał przymilnie – postawię ci drinka.

Zrobiła do niego minę. – Dopiero co piłam drinka.

Odnowione kontakty były do niczego, jak wiedziała z długiego doświadczenia. Zawsze do niczego. W każdym razie dla niej. Inwestor pamiętający, jak go wykiwano za pierwszym razem, zawsze wykazywał się podwójną czujnością, a jej dwa razy trudniej było uciec. Okpij ich raz, a potem trzymaj się od nich z daleka – było najlepszą polityką.

Wyciągnął do niej błagalnie obie dłonie. – Och, odpuść w końcu, dobra? Podobasz mi się. Nic na to nie poradzę, jest w tobie coś, co mi nie daje spokoju. Tak trudno cię przyszpilić. W jednej chwili jesteś, a potem nagle cię nie ma.

– Ależ to święta prawda – zaśmiała się. – I teraz przyjrzyj się dobrze, już mnie nie ma.

Obejrzała się raz za siebie, wyłącznie z ostrożności, by upewnić się, że nie popędzi za nią i nie spróbuje jej zaskoczyć, a on stał nadal samotnie tam, gdzie go zostawiła, na środku chodnika. Patrząc za nią trochę tęsknie, jakby w nadziei, że zmieni zdanie. Naprawdę musiała zrobić na nim wrażenie, pomyślała z obojętnością. Jeśli o nią chodzi, już nie potrafiłaby powiedzieć zbyt dokładnie, jak on wygląda, choć dopiero co się z nim rozstała.

Do Selecta zajrzała najpierw z zewnątrz. Z jakiegoś powodu był tam dzisiaj słaby ruch, postanowiła więc zamiast tego iść do Tabarina. Uprzednie zbadanie terenu zawsze się opłacało. Przecież nawet najlepsze lokale miały swoje gorsze wieczory, a jak się już utopiło własne dwadzieścia centavos w grenady nie, nie można było ich odzyskać.

Tabarin był przepelnięty. Poprawiła się przy lustrzanej tafli w holu i wolnym krokiem ruszyła do środka.

W tych zwykłych miejscach nie można było liczyć na zniżkę. Trzeba się było cieszyć, jeśli w ogóle cię wpuścili.

Barman zlustrował ją wzrokiem, natychmiast ją przejrzał. – Siadaj tam, na końcu – rzucił w chwili, gdy właśnie miała spocząć na jednym ze stołków pokrytych koralową skórą. – Chcę mieć środek wolny dla płacących klientów.

Przesunęła się posłusznie, jednocześnie informując go impertynencko: – Nie martw się pan, nie spodziewam się długo zagrażać na nim miejsca.

Po schodach z sali dancinowej wszedł samotny, dość mdły z wyglądu młodzieniec z wąsami o cienkich jak szpilki czubkach, stanął przy barze, wlał w siebie szybkiego drinka między tańcami, nie tracąc czasu na siadanie.

Poczuł błysk oka i odwrócił się, by na nią spojrzeć, z kieliszkiem w dłoni. Uśmiechnęła się, dmuchnęła mu w twarz wiotką różdżką dymu. Ta nie dotarła jednak do niego, choć nie można było mieć wątpliwości co do celu, wskazywała go ustami.

Pewnie ktoś tam na niego czekał. Odwrócił się z powrotem, jakby jej nie zauważył; odrobinę bardziej kołtuńsko, niż było to konieczne. Rzucił monetę na kontuar, poszedł z powrotem na salę, dokładnie gdy zaczynało się następne tango.

Barman ostrzegł ją, gdy tylko tamten wyszedł: – Słuchaj no, żadnych takich nieprzyzwoitych numerów, rozumiano? Bez tych sztuczek z dymem. Zachowuj się.

– Ile pan sobie liczysz za lekcje z zachowania? – spytała ze znużeniem. – Kto bardziej przystraja lokal, ja czy ta twarz śniętej ryby, którą odstraszasz pan klientów od baru?

– Są gorsze twarze od mojej – burknął.

– Ale patrzysz pan na ludzi zbyt krzywo.

Tak naprawdę to nie była kłótnia, zbyt dobrze rozumieli się nawzajem. Tylko pusta wymiana ciętych wypowiedzi dla zabicia czasu.

Wróciłaby jednak do Selecta, tyle że zainwestowała już tutaj dwadzieścia pięć centavos i zamierzała je odebrać z zyskiem.

Po chwili po schodach z niższego poziomu wszedł ktoś jeszcze.

Tym razem był to nieco korpulentny, dystyngowanie wyglądający dżentelmen w nieokreślonym wieku, którego bujne wąsy dopiero zaczynały siwieć na koniuszkach. Nosił się dość prosto, a jego skóra miała zdrowy miedziany odcień, jakby sporo czasu spędzał na świeżym powietrzu, z tym że teraz miał znękany wyraz twarzy, jakby bardzo się nudził, jakby żałował, że nie jest gdziekolwiek indziej.

Odrzucił pogryzione resztki cygara i podszedł do baru.

– Proszę mi powiedzieć... – Wtedy zdał sobie sprawę z obecności Clo-Clo, ściszył głos przy reszcie wypowiedzi.

Barman powiedział: – Tam gdzie stoi ten pikolak, señor.

Tuż przed tym, jak zamknęły się za nim drzwi, posłał jej jeszcze jedno krótkie spojrzenie. Pikolak odwrócił się i wszedł za nim, pewnie by być na podorędziu, gdyby gość potrzebował miotełki do ubrania albo szczotki do włosów.

Wyłonił się i skierował z powrotem do sali tanecznej, nie omieszkując jednak rzucić w jej stronę kolejnego szybkiego spojrzenia.

„Nico zarzewiała technika – pomyślała Clo-Clo, chichocząc. – Pewnie ostatni raz próbował jej przed ślubem”.

Zgasła papierosa, wstała, wolnym krokiem podeszła do pikolaka, z drinkiem w dłoni. Barman wyglądał na jednego z tych, którzy, jeśli zostawisz szklanki niepilnowane, opróżniają ci je za plecami, by się ciebie pozbyć z lokalu.

– I jak ci poszło? – spytała po koleżeńsku.

Oczy chłopaka zaokrągliły się od entuzjazmu. – Całe solidne peso zupełnie za nic! Tylko spojrział na siebie w lustrze, spytał, czy wiem, kim jesteś, i spytał, na ile lat według mnie wygląda!

– Ricardo, jesteś w pracy – ostrzegł z dezaprobatą barman.

„Ja też, od tej chwili” – pomyślała Clo-Clo, sunąc z powrotem ku swemu wyjściowemu punktowi obserwacyjnemu. Dowiedziała się wszystkiego, czego chciała.

Zaryzykowała i czekała cierpliwie, chociaż gdyby okazało się, że się pomyliła,

strata czasu byłaby nie do odzyskania. Ale zwykle miała rację, i tym razem też się to potwierdziło. Dwa tanga później on znowu wrócił.

Przeszedł pół drogi do baru, przyjrzał jej się dobrze i uporczywie, po czym odwrócił się nagle i wszedł w te same drzwi, co poprzednio.

„Nie wrócił tu, żeby tam pójść; wrócił, żeby sprawdzić, czy nadal tu jestem” – pomyślała ze znajomością rzeczy.

Pstryknęła autorytatywnie palcami na barmana, by pokazać, że jest na wojennej ścieżce, że już nie próżnuje. – Dolej pan tutaj trochę wody. – Chciała jak najmocniej rozcieńczyć barwnik grenadyny.

Oddał jej szklankę ze śmiertelnie groźną miną. – Co ty próbujesz zrobić, sprawić, żeby starczyła ci na cały weekend? – Nie domyślał się, co ona planuje, bo inaczej prawdopodobnie pokrzyżowałby jej plany, celowo opóźniając zwrot skażonego napoju.

Skoro jednak go miała, podeszła do drzwi, ze szklanką w dłoni, ledwie na sekundę przed ich otwarciem. Stała tam, mówiąc coś do pikolaka, gdy jej ofiara próbowała przejść za jej plecami. Udałoby mu się ją minąć bez otarcia się o nią, ale przesunęła łokieć prosto w niego, gdy próbował to zrobić. Łokieć ręki trzymającej drinka. Szklanka przewróciła się udatnie i woda z grenadyną popłynęła po boku jej sukienki.

Pozwoliła mu okazać całe przerażenie. Okazał go dość za dwóch. Ona podeszła do sprawy dobrodusznie. On wyciągnął chusteczkę, opuścił jedno kolano i przejechał nią po całym zamoczonym miejscu.

– Takie rzeczy się zdarzają. Zapewniam pana, że to nic takiego, señor. To moja wina, nie powinnam była stać w przejściu.

– Musi pani jednak tu podejść i przynajmniej pozwolić mi postawić sobie jeszcze jednego...

Pokręciła głową ze smutną obojętnością. – Niezbyt zabawnie jest pić samotnie.

Zerknął w stronę sali tanecznej. – To ja... siądę z panią na chwilę. Tam jest moja rodzina i będę musiał wrócić.

Okropnie ryzykował, zdaniem Clo-Clo, ale to jego problem, nie jej. Usadowała się skromnie obok niego, na tym samym stolku co przedtem.

– Szampan dla señority. Pol Roget.

Barman był dla niej teraz cały w uśmiechach. Zdobył się nawet na to, by

popisać się oboma francuskimi słowami, jakie znał, zarezerwowanymi wyłącznie dla klientów kupujących szampana. – Monsou. Madamasella.

– Za szczęśliwy traf.

– Za przemiły traf – poprawiła Clo-Clo.

Poznawali się w zawrotnym tempie. On zaczął uśmiechać się coraz częściej. Uśmiechy stawały się coraz szersze. Szerokie uśmiechy przechodziły w wybuchy serdecznego śmiechu. Raz czy dwa obejrzał się za siebie, nie zapominając o ostrożności.

– Nie sądzi pani, że muzyka jest tutaj trochę zbyt głośna? – zasugerował w końcu. Jako że przyszedł z miejsca, gdzie ją faktycznie grano, zdawało się, że nagle rozwinął w sobie niezwykłą wrażliwość. Ale z drugiej strony może tam w środku nie było nikogo jego zdaniem wartego słuchania.

Clo-Clo nie znalazła w tej uwadze żadnego uchybienia. – O tak, trudno usłyszeć, co się mówi – zgodziła się.

– Barman, czy jest tu jakieś inne pomieszczenie, gdzie moglibyśmy się trochę odizolować od muzyki, mieć trochę odosobnienia?

– Jest tu mały prywatny pokój, wychodzący na tylny taras, jeśli señor i pani chcieliby go wypróbować. Na samym końcu tamtego korytarza.

– Proszę tam przysłać jeszcze jedną butelkę i coś do jedzenia. – A potem, jakby po namyśle, cofnął się o krok, nachylił konfidencko w stronę barmana. – A gdyby ktoś przypadkiem mnie szukał, wyszedłem na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza. – Wsunął mu coś do ręki. – W *tamtą* stronę. – Wskazał w kierunku przeciwnym do tego, w którym się wybierali.

Stuknij mnie jeszcze raz w plecy – błagał zduszonym głosem. – Nic na to nie poradzę. Śmieję się, aż mi się gardło zatyka... – Reszta zniknęła w męczącym kaszlu. Nadal się trząsał, ścierając nadmiar łez z oczu.

Clo-Clo z niepokojem odskoczyła od stołu, podbiegła do niego od tyłu. – Powinieneś odpocząć pięć minut. – Pac. – Zabijesz się. – Pac. – Czy nie mogliśmy porozmawiać o czymś *smutnym*, póki ci nie przejdzie?

Nadal się trząsał. – Już próbowaliśmy – przemówił słabym głosem. – To właśnie mieliśmy zrobić tym razem. Ale nawet kiedy starasz się powiedzieć coś

smutnego, wychodzi zabawnie. Co gorsza, gdzieś tam musiał utknąć mi kawałek kurczaka.

– Poczekaj chwilę, poleję ci kark odrobiną zimnego szampana. Wstrząs może go przesunąć. To tak jak z czkawką. Nie masz nic przeciwko temu?

Machnął ręką w bezradnej zgodzie. – Proszę bardzo. Nie dbam o to, co mi zrobisz. Jeśli umrę tu, na tym krześle, warto było...

– Wejdę wyżej – powiedziała pomocna Clo-Clo. – Żeby lepiej plusnęło. – Przyniosła własne krzesło do jego, stanęła na nim i przechyliła obiema rękami butelkę szampana. – Przygotuj się, już leję...

Drzwi otworzyły się gwałtownie bez wstępnego pukania i do pokoju wtargnęło, omiatając go jak prąd chłodnego powietrza, coś, co najlepiej można opisać jako zionięcie świętego oburzenia. Jego wytwórca pozostał w oskarżycielskiej pozie w progu, nie idąc naprzód. Był nim ten sam kołtuński młody człowiek o wąsach z koniuszkami jak szpilki, którego Clo-Clo zauważyła wcześniej we wnęce baru.

Oboje wpatrywali się w niego pośrednio, w ściennym lustrze naprzeciwko, w którym widniało jego odbicie, dochodzące zza ich pleców.

Towarzysz Clo-Clo od kolacji szepnęła ponure wyłącznie na użytek jej uszu: – Oto i wstrząs, którego potrzebowałem. Samo poszło.

Wróciła na podłogę sprężystym skokiem, włożyła butelkę chrzcielnego szampana z powrotem do wiaderka.

Jak dotąd nikt nic nie powiedział, przynajmniej nie na użytek wszystkich obecnych.

Stojący w otwartych drzwiach sfinks w smokingu w końcu przełamał lody. Powiedział tylko jedno słowo: – *Papa!*

Starszy mężczyzna na krześle ze zde gustowaniem machnął ręką, nie obracając się, by na niego spojrzeć. – Zamknij drzwi, proszę. Zaraz wyjdę.

– Poczekam na ciebie w holu. Przyszedłeś tu z *nami*, pamiętaj, proszę!

Towarzysz Clo-Clo burknął niewyraźnie coś, co brzmiało jak: – Jakbym mógł o tym zapomnieć! – Drzwi się zamknęły.

Clo-Clo wydyszała: – Nie mów, że to twój *syn!* Przecież nie wyglądasz nawet na...

Westchnął, wzruszył ramionami, klepnął się po bokach z frustracją, wstając z krzesła. – To przez synów takich jak on człowiek staje się stary – poskarżył się półgłosem.

Następnie wyraz jego twarzy się zmienił, mężczyzna uśmiechnął się do niej z zadumą, niemal czule. Ujął jej dłoń między obie swoje, podniósł do ust. – Nie ważne, trochę się zabawiliśmy, prawda? Teraz muszę iść. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś się spotkamy. Mieszkamy za miastem, a tę sprawę zawsze będą mi wypominać. Ale, mała Clo-Clo, śliczna z ciebie dziewczyna. Dzięki tobie przez godzinę czy dwie znowu czułem się młody. Taki, jaki byłem wiele lat temu. Uszczęśliwiłaś mnie swoim śmiechem i drobnymi gestami. Pozwól mi zrobić coś dla ciebie. Zaslugujesz na to. Ta moja skwaśniała synowa i tak dostaje dość...

– Nie aż tyle, señor! – Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu jej protest był autentyczny, niemal strwożony.

Dał jej sto pięćdziesiąt pesos, wyjęte z portfela, w którym musiało być w sumie niemal tysiąc.

– Bierz, bierz – powiedział. Zgiął jej palce przekonująco z powrotem na banknotach, poklepał uspokajająco po dłoni. – Każdy, kto źle o tobie mówi, musi być ślepy – dodał szczerym, ściszoneg głosem. – Uszczęśliwianie innych, jaki może być lepszy tytuł do dobroci?

Spuściła wzrok, przez chwilę speszona. Przywykła do komplementów wszelkiego rodzaju, ale nie do wychwalania jej świętości.

Na jego ustach pojawił się mały uśmiezek łobuzerskiej aprobaty.

– Właśnie, schowaj je tam, gdzie ich nie dosięgną, nie pozwól, by ci je odebrano, trzymaj się ich. – A potem, niemal jakby naszło go jakieś przecucie, dodał z naciskiem: – Uwważaj, mała Clo-Clo. Wiem, że opilem się szampana, ale... Nie pozwól, żeby coś ci się stało. Twój sposób życia czasami jest taki niebezpieczny. Ja jestem mężczyzną, który by cię nie skrzywdził. Ale są inni... Wracaj do domu, teraz, kiedy ci to dałem. Nie zostawaj już dzisiaj dłużej na mieście.

– Nie zostanę – obiecała żarliwie, z dłońmi przyciśniętymi mocno do piersi, gdzie spoczywały teraz pieniądze. – Uwierz mi, nie zostanę!

Coś w niej nadal musiało go poruszać. Wykonał nawet taki ruch, jakby chciał zdjęć z małego palca wielki pierścień z diamentem. Po chwili z żalem

zmienił zdanie. – Te dwa sępy od razu by zauważyły jego brak i tylko narobiłyby ci kłopotów.

W tym momencie drzwi otworzyły się ponownie. Młodszy mężczyzna był jeszcze bardziej rozdrażniony niż poprzednio. – *Papa!* Samochód czeka. Powiedziałem Elenie, że dostałeś rozstroju żołądka. Jak sądzisz, jak długo jeszcze mogę ukrywać przed nią tę... tę sytuację, w której cię zastałem?

– Już idę! – zagrzemiał z furią były towarzysz Clo-Clo. – Już idę, a ty umiesz tylko psuć innym zabawę!

Odwrócił się i wyszedł za nim. Nawet w takiej chwili jego ostatnia myśl należała do Clo-Clo. Zamykając z ociąganiem drzwi za sobą, powtórzył jeszcze dojmującym pożegnalnym szeptem: – Nie pozwól, żeby coś ci się stało, mała Clo-Clo. Uważaj na siebie.

Wstała i przewalcowała przez pokój, trzymając spódnicę uniesioną do poziomu talii i odsłaniając kawałek krótkich różowych majtek. Jej wirowanie przewróciło krzesło, a ona zostawiła je na podłodze. Chwyliła jeden z ich częściowo napełnionych kieliszków i opróżniła go w locie, po czym odstawiła z powrotem przy następnej rundzie. A potem drugi. Następnie przestała się kręcić i zajęła butelką, która pozostała w wiaderku z lodem. Nie było to z jej strony chorobliwe opilstwo, tylko czysta i prosta gospodarność. Szkoda było marnować dobry szampan, za który już zapłacono.

Stała tam odwrócona plecami do wysokich do sufitu okien tarasu, przeplatając łyki szampana kęsami kanapki z kurczakiem, gdy coś niewytłumaczalnie kazało jej obrócić głowę. Gdy tu weszli, kelner zaciągnął zasłony na oknie, dla zapewnienia prywatności. Ale w połowie długiego przecięcia, gdzie częściowo się rozchyliły, została szpara. Naszło ją odczucie, że ktoś się jej przez nią przygląda. Było tak silne, że nawet podeszła do niej, by wyjrzeć. Na zewnątrz niczego ani nikogo nie było. Tylko skanalizowany promień światła rzucany na podłogę tarasu przez lampy pokoju, uciekający przez szparę.

Parę minut później wyszła z pomieszczenia, przeżuując resztki kurczaka. Barman, wycierając szklankę, rzucił kąpiąco kącikiem ust, gdy go mijała: – I co, puścił cię kantem?

Przyłożyła kciuk do nosa w długiej, przeciągniętej pożegnalnej obeldze, trwającej od trzeciego stołka barowego aż do portyku, obracając przy tym powoli głowę w miarę przechodzenia.

A teraz do domu. Pogwizdywała półgłosem, gdy różowo-bursztynowy blask świateł Tabarina przygasał za nią. Nad głową miała gwiazdy, a chłodna noc sprawiała, że czuła się dobrze. A dzięki stu pięćdziesięciu pesos na swej piersi czuła się jeszcze lepiej. Pstryknęła paznokciem kciuka w rowkowany żelazny słupek mijanej lampy ulicznej, tak na szczęście. Buczał dudniąco kilka chwil potem, jak przytłumiony dźwięk organów.

Parę minut później przechodziła krętą, brukowaną ulicą San Rafael, gdy dzwon kościelny gdzieś w pobliżu wybił godzinę. Policzyła uderzenia, opadające nad nią w nocną ciszę, a każde zdawało się trwać zawieszony wibrująco, póki nie nadeszło następne, by je zastąpić.

Już trzecia. Zadrżała obronnie, przyspieszyła nieco kroku. Zaczynała się Pora Umierania. Błada Godzina. Czas wejść do środka, otoczyć się ścianami. Opuściła srebro chodnika, weszła we wgłębiony środek wąskiej uliczki, niezrażona wijącą się wzdłuż niej nitką otwartego ścieku. Chwilę później cieszyła się, że tak zrobiła. Kolumnowa czerń stojąca, nie wzbudzając podejrzeń, w niszy cofniętych drzwi okazała się obdarzona głosem; gdy ją mijała, rzuciła niewyraźnie: – Ej, co się tak spieszysz?

– Na dzisiaj zamknięte! – warknęła i zaczęła biec, i nie zwolniła, póki nie dotarła do drugiego końca San Rafael, który otwierał się na jeden z pomniejszych placów, jakimi usiane było miasto. Na tym rosły palmy, stało podium dla orkiestry, lśniący, biały posąg jednego z bohaterów walki o niepodległość i słabe lampy łukowe płonące zamglonym fioletem dokoła czterech jego boków. Dla świata był martwy.

Przecięła go, a po drugiej stronie natknęła się na alternatywę. San Jacinto to najkrótsza droga do jej domu, ale należała ona do tych długich, posępnych, słabo oświetlonych uliczek jak ta, z której właśnie wyszła. Idąc Piętnastego Maja, nadłożyłaby drogi, ale ta ulica mogła się pochwalić nieco lepszym oświetleniem, no i można było przy niej znaleźć parę knajpek z czymś do jedzenia i picia. W inne noce, kiedy tędy szła, nigdy się nie wahała, wybierała najkrótszą drogę. Dzisiaj z jakiegoś powodu była w dziwnym nastroju, bała się ciemności i opustoszałych miejsc. Weszła w Calle Quince de Mayo. Obie ulice rozchodziły się jak ramiona wąskiej litery V.

Minęła właśnie, parę chwil później, małą, słabo oświetloną *bodegę*, winiarnię, której stałymi klientami była biedota, gdy ktoś wyszedł i pozdrowił ją.

– *Hola!* Czy to ty, Clo-Clo?

Była to jedna z koleżanek z jej własnej korporacji, dziewczyna znana jako La Bruja, czyli wiedźma. Głowę miała owiniętą szalem, dla ochrony przed nocnym chłodem, i mogłaby wyglądać niemal jak zakonnica, gdyby nie papieros tkwiący między wargami, bez udziału palców. Podpierała się ramionami pod boki.

Clo-Clo zawróciła i podeszła do niej, zadowolona ze znalezienia towarzystwa, chociaż oznaczało ono tymczasowe opóźnienie w powrocie do domu. Przecież nie trzeba się było bać innej dziewczyny.

– Co jest, zadzierasz nosa? – spytała La Bruja.

– Spadaj – zachichotała rozbijając Clo-Clo.

– Już do domu? Jak leci?

Clo-Clo zgięła dwa palce, ucałowała ich koniuszki, by oddać to, co się nie da opisać. – Co za noc! Wpadłam na samego Krezusa.

– Kto to, jeden z tych bogatych wieśniaków, co to przyjeżdżają do miasta pohulać?

– Nie, to ktoś, o kim ciągle mówi moja matka.

Opisała kolację w płomiennych słowach, przezornie pomijając wszelkie odniesienia do stu pięćdziesięciu pesos premii. I tak pewnie by jej nie uwierzono.

– Wiesz, prawie się boję. Kiedy wszystko idzie tak dobrze, podobno to znak, że czekają cię kłopoty, że trzeba uważać. Mam nadzieję, że ta noc nie skończy się źle...

Stały tak przez chwilę, dwie samotne, gawędzące postaci na nocnym chodniku.

– To co, zbierasz się? – spytała w końcu La Bruja.

– Jasne. Nie chcę kusić losu.

– Ja chyba też już pójdę. Masz fajka na zbyciu?

– Zrobię dla ciebie coś lepszego. Chodź. Zaszaleję i postawię ci filiżankę parującej kawy. Jakoś ciągle ciągnie mi zimnem po plecach.

Wróciły do lokalu, z którego przed chwilą wyszła La Bruja. W środku nie było nikogo prócz właściciela, mężczyzny o znużonym wyglądzie, w koszuli z podwiniętymi rękawami i długim do ziemi fartuchu. Usiadły przy jednym z podniszczonych drewnianych stolików.

Pierwsze, co zrobiła Clo-Clo, to zrzuciła pod stołem buty, poruszała palcami u nóg. – Co za ulga...

La Bruja niemal położyła się na blacie, strzepnęła z niego pozostawioną zapalkę, machnęła do niej dłonią w geście zde gustowanego potwierdzenia.

– Ten właśnie moment lubię najbardziej, kiedy jest już po wszystkim. Nie muszę się uśmiechać, nie muszę słuchać, nie muszę uważać na to, co zaraz powiem...

– Tak masz? Bo ja też – przyznała Clo-Clo. Wsysała gorącą, wodnistą kawę hałaśliwie do ust, nie podnosząc w ogóle filiżanki ze stolika.

Po chwili, gdy już ciepły napar w niej krążył, zaczęła filozofować. – Ciekawe, gdzie będziemy za rok.

– Albo jutro wieczorem, skoro już o tym mowa – rzuciła skwaszona La Bruja, nadal pochylona nad stołem.

– To powróć mi – poprosiła Clo-Clo. – Zgódź się, *chica*...

La Bruja uśmiechnęła się do niej krzywo. – Znam cię, ty małpeczko, to dlatego zaproponowałaś mi filiżankę kawy.

Clo-Clo nie próbowała zaprzeczać. – Przecież to jedyna rozrywka, jaka mi się trafia w ciągu całego wieczora.

La Bruja ułożyła papieros na skraju stolika. – Dobra – zgodziła się znużonym głosem – dawaj grabę.

– Nie, postaw mi karty. Wolę wróżby z kart, więcej się w ich dzieje. – Clo-Clo podniosła głos, zwracając się do siedzącego w cieniowym tle właściciela: – Hej, masz pan talię kart?

– Mam, ale zaraz zamykam. – Wyłączył światło, co podwoiło wcześniejszy półmrok.

Clo-Clo obejrzała się na niego z mieszaniną nagłego rozdrażnienia i zdernerwowania, zupełnie do niej niepodobną. – Nie możesz pan poczekać chwilę, dokąd się niby spieszysz? – rzuciła ostro.

– Ja tam chcę się trochę przespać – burknął. – Myślicie, że nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko zarywać noc dla dwóch mewek?

Clo-Clo uderzyła dłonią w stół. – Dawaj pan te karty! – Chciała szacunku za swoje dziesięć centavos. Znajdowała się właśnie, przynajmniej raz, w niezwykłym dla niej położeniu zwyczajnego klienta i zamierzała wyciągnąć z tego wszystko, co się da.

Poszurał niechętnie do przodu i rzucił między nie wyświechtaną talię. – Macie pięć minut, potem zamykam – burknął.

W drodze powrotnej zgasił kolejną lampę. Teraz w całym lokalu została tylko jedna, rzucająca przydymiony strumień światła tylko na ich stolik i na nic więcej. Resztę stanowiły same cienie.

– Będziesz widziała karty? – zaniepokoiła się Clo-Clo.

– Wystarczająco dobrze. – La Bruja, z papierosem ponownie drżącym bez podparcia między jej wargami, zręcznie potasowała karty z cichym furkotem. – Przelóż – poleciła. I zaczęła je wykladać.

Clo-Clo oparła oba łokcie o blat stołu, twarz złożyła na dłoniach, wpatrywała się zaabsorbowana. Nastąpiło stadium przerywanej recytacji przyciszonym głosem, całej w wykonaniu La Bruji. Po chwili nagle znowu się urwało. Nastąpiła długa przerwa.

Clo-Clo przeniosła wzrok z kart na twarz dziewczyny. – Co się dzieje? Czy coś jest nie tak?

La Bruja zgarnęła je wszystkie razem, układała od nowa, by zacząć jeszcze raz.

– Po co to robisz?

– Chcę spróbować jeszcze raz – powiedziała wymijająco La Bruja. Znowu zaczęła się przyciszona wyliczanka. Po chwili znowu nagle się urwała, tak jak poprzednio.

Zacząła jeszcze raz od początku. Jeszcze raz przerwała, jakby w rozterce.

– Po co wciąż tak przerywasz? – spytała Clo-Clo.

La Bruja lekko pokręciła głową, nie wyjaśniając, czy w odpowiedzi na samo pytanie, czy w reakcji na stan, który sprowokował pytanie. – Ciągłe tu jest – mruknęła w końcu.

Clo-Clo przyjrzała się kartom. – Wiem, ale co to takiego?

– Coś, ale sama nie mogę się zorientować, co konkretnie. Nic dobrego. Poczekaj chwilkę. Zobaczę, czy uda mi się to opisać. Karta ma ciemny kolor, a to oznacza jakieś kłopoty. To czwórka. Czwórka pik i jest tuż nad tobą. Za każdym razem po przetasowaniu wychodzi tuż nad tobą. Cokolwiek to jest, to coś, co nad tobą wisi, zbliża się do ciebie, jest w drodze. – Rozłożyła bezzadnie ręce.

Clo-Clo potoczyła w górę gałkami ocznymi, przysłoniętymi do połowy powiekami, w niewypowiedzianym przerażeniu.

– Czekaj chwilę, spróbuję jeszcze raz. – Dłonie La Brui sięgnęły do kart, zgarnęły je na najeżoną kupkę.

Clo-Clo odwróciła sztywno głowę w bok, skierowała wzrok w cień.

– Zawołaj mnie, jak... jak znowu wyjdzie. – Skrzyżowała jeden palec wskazujący z drugim, przytrzymała je w tej pozycji.

Nastąpiło oczekiwanie na wstrzymywanym oddechu. Słyszała niewyraźne tykanie kart kładzionych na drewno. W pomieszczeniu było bardzo cicho. Jedynie, co się poruszało, było bezdźwięczne – cień ręki La Brui na podłodze, podnoszący się i opadający, podnoszący się i opadający tam, gdzie Clo-Clo patrzyła spuszczonej oczami z odwróconą głową.

Dłoń się zatrzymała. Tykanie kartonu się urwało. La Bruja przemówiła.

– Znowu wróciła. Czwarty raz z rzędu.

Clo-Clo objęła się ramionami. – Tu jest jakiś przeciąg – orzekła. Odwróciła się powoli, spojrzała w dół jakby na coś gotowego rzucić się na nią. – Ale czy to nie ty je tam kładziesz? Czy to... czy to nie twoja ręka?

– Są ułożone w takiej kolejności. Co ja mam z tym wspólnego? Jak tylko ty się pojawiaasz, i idziesz na środek, wszystkie następne mają swoje miejsca dookoła ciebie. Gdybym coś przy tym namieszała, wróżba nie byłaby nic warta.

– Chcesz powiedzieć, że była dokładnie w tym... górnym rogu mojej karty za każdym z czterech razów?

– Nie, ale za każdym razem była w rzędzie nad tobą. Leżała najdalej trzy czy cztery karty od twojej. *To coś, co się do ciebie zbliża.*

Clo-Clo szybkim ruchem wyciągnęła rękę, złapała tamtą za nadgarstek w przerażonym błaganiu. Głos się jej załamał. – Bruja. Brujita... Musisz się tego dowiedzieć... musisz mi powiedzieć, co to takiego! Spróbuj!

Czekała chwilę, ale widząc, że odpowiedź nie nadchodzi, podjęła próbę podszkolenia tamtej w tym, w czym i tak była bardzo dobra. – Co oznacza ta czwórka? Czy to data, której powinnam się wystrzegać? Dzisiaj jest, zaraz...

– Nie, to nie data. W tych kartach nie ma dat. Jest w pierwszym rzędzie nad tobą, więc nadejdzie *wkrótce*.

– No to, czy to facet?

- Nie, mężczyźni to karty z figurami, walety i króle.
- No to w takim razie co to może być? Coś o czterech nogach? Może to znaczy, że strątuje mnie czarny koń.

La Bruja wzruszyła ramionami.

Clo-Clo pstryknęła palcami. – Mam. Czwórka. Coś na czterech kołach. Powinnam trzymać się z daleka od czarnego auta, bo inaczej mnie rozjedzie.

– Może i tak – zgodziła się bez przekonania La Bruja. Cokolwiek to było, niepokoiło ją tak samo jak jej klientkę; nie podchodziła do tego lekko. Być może dlatego, że stanowiło wyzwanie dla jej zawodowych umiejętności. Wciąż, z kamienną koncentracją, wpatrywała się w nią, tę podniszczoną już trochę talię kart trzymaną w dłoni, przygryzając od czasu do czasu kącik ust.

Właściciel uciał sobie drzemkę gdzieś w pogrążonym w mroku tle. Jego ciężki oddech był jedynym dźwiękiem słyszalnym w ciszy, jaka zapadała między ich uwagami.

- Ale to przecież twoje karty. Nie potrafisz ich odczytać?
- Jasne, że potrafię – na tyle, na ile pozwalają. Piki zawsze oznaczają kłopoty albo nieszczęście. Najbardziej trzeba się wystrzeżać asa pik, to karta śmierci.

Clo-Clo wzięła głęboki oddech niewypowiedzianej ulgi. – A on nie wyszedł. W takim razie może jeśli będę po prostu uważała na czarny samochód... – Zapaliła papierosa ręką, która tak się trzęsła, że zapalka osmalila gilzę z całej jednej strony, niemal do samych ust.

– Pójdź trochę dalej, zamiast zawracać. Wyłóż więcej kart. Może wtedy wyjdzie coś, co... co rozjaśni sprawę.

La Bruja na znak zgody opuściła powieki na oczy. Jej dłoń poruszyła się. – To jest karta pieniędzy. – Dłoń poruszyła się jeszcze raz.

- To karta, która oznacza podróż albo wyprawę, krótką wyprawę.
 - Dostanę więcej pieniędzy i wyjadę w podróż albo na wyprawę? – zasugerowała z nadzieją Clo-Clo.
 - Nie, leżą w odwrotnej kolejności. To oznacza podróż *powrotną* z powodu pieniędzy. Pieniądze sprawią, że wybierzesz się dokądś z powrotem.
- Tym razem Clo-Clo nie komentowała, zachowała swoje uwagi dla siebie.

Pomyślała: „Wygląda na to, że któregoś wieczora znowu wrócę do Tabarina, spotkam tego samego kochanego *papacito* i znowu dostanę...”

– Idź dalej – popędzała – wyłóż następną kartę w rzędzie.

Wolna ręka La Bruji przesunęła się do pliku kart, który dziewczyna trzymała, oderwała od niego pierwszą z góry, przeniosła na stół, odwróciła zręcznym obrotem.

Między kobietami nastąpiło coś w rodzaju nienamacalnej eksplozji; niewidoczna, niesłyszalna, ale dojmująco odczuwana niczym wybuch proszku błyskawicznego.

– Czekaj no, mówiłaś przed chwilą, że co ta oznacza...?

Clo-Clo, z rozszerzonymi oczami, wyciągała szyję w stronę rozłożonych kart. Zanim zdążyła je sprawdzić, La Bruja położyła na nich rękę i je zasłoniła.

– Nie patrz. – La Bruja nagle usunęła kartę z układu, zostawiając po niej puste miejsce.

– Karta śmierci – szepnęła Clo-Clo.

– Nie leżała bezpośrednio nad tobą – powiedziała szorstko La Bruja.

– Ale leżała tuż nad tamtą, tą czwórką. A *ona* mnie dotykała. Róg w róg!

– Spójrz tylko na siebie – rzuciła oskarżająco La Bruja. – Cała pobladałaś.

Niepotrzebnie mnie prosiłaś... – Przesunęła ręką w tę i z powrotem po kartach, zacierając ich ułożenie tak, że nie można go było odtworzyć. Przesunęła krzesło do tyłu. – Chodźmy stąd – powiedziała niecierpliwie.

Clo-Clo przez chwilę się nie ruszała, zachowywała się tak, jakby jej nie usłyszała. Niewidzący wzrok nadal miała wbity w nagi blat stołu, na którym dotąd leżały karty, jakby nadal je widziała. Raz przesunęła dłońią w poprzek grzywki swej chryzantemowej burzy włosów, pozostawiając małe wgłębienie w równej linii, przez które wyrzwał trójkątny klin czoła.

– Daj spokój, nie przejmuj się tak – La Bruja próbowała dodać jej otuchy.

Clo-Clo w końcu poruszyła głową, ale nie w kierunku koleżanki. Obróciła głowę powoli, czujnie, w przeciwną stronę, w kierunku słabo widocznego okna lokalu znajdującego się na poziomie ulicy, po drugiej stronie pomieszczenia, zasłoniętego już okiennicami przed zamknięciem na noc.

Powierciła się trochę, jakby próbując coś z siebie zrzucić. – Ciągłe powraca do mnie wrażenie, że ktoś na mnie patrzy, ktoś mi się uporczywie przygląda. Już raz je dzisiaj miałam, zanim jeszcze tu weszłam...

– Może po prostu ktoś tu zajrzał, przechodząc, żeby sprawdzić, czy u Pepita nadal jest otwarte. Cały czas siedziałam przodem w tamtą stronę i nikogo nie widziałam. Zapłać facetowi i spadajmy stąd – zarządziła La Bruja, przypominając, że została zaproszona.

– Na dworze lepiej się poczujesz.

Clo-Clo nałożyła jeden but. Następnie pomacała pod postrzępioną wyściółką drugiego, wygrzebała cieką monetę o wartości dziesięciu centavos i położyła ją na stoliku.

La Bruja otworzyła drzwi i wyszła pierwsza. – Nikogo tu nie ma – zawołała uspokajająco. – Ulica jest pusta!

Clo-Clo wyszła za nią. Opatuliła się ciasniej krótkim żakietem z rękawami do łokci, jakby było jej zimno. W zasięgu wzroku nie poruszało się zupełnie nic prócz ich dwóch. Calle Quince de Mayo leżała opustoszała w mroku dokoła nich, niebieskoczarny tunel biegnący przez noc.

– Resztki nocy – skrzywiła się La Bruja. – Zawsze ich nienawidziłam. No, to do następnego... – Zrobiła krok w swoją stronę.

Clo-Clo chwyciła ją niemal kurczowo za ramię. – La Bruja, przejdź się kawałek ze mną, co? Możesz przecież iść tą samą drogą co ja, nie wyjdzie wcale dalej.

La Bruja zadrwiła: – Co się tak nagle z tobą stało? – Skręciła jednak i zaczęła iść obok niej.

– Nie wiem, mam dziwne uczucie, z którego nie mogę się otrząsnąć.

– Że dopadł cię los.

– Nie, miałam je jeszcze, zanim się spotkałyśmy, ale nie było tak silne jak teraz. Już w Tabarinie byłam trochę nieufna.

– Mogę ci powiedzieć, co ci jest – oznajmiła La Bruja, z mądrością zrodzoną z większego doświadczenia. – Nie pij za dużo destylatów, takich jak brandy czy *aguardiente*. Za bardzo pobudzają, a potem wprawiają w przygnębienie. Sama też robiłam ten błąd, kiedy zaczynałam tę robotę. Nie pozwalaj,

żeby stawiali ci, co im się tylko spodoba. Trzymaj się wina i lekkich alkoholi. Tym tanim facetom tylko w to graj, że mogą cię oszołomić, jeśli dasz im na to szansę. Jeśli nie wprowadzisz do picia jakiegoś systemu, ani się zorientujesz, jak pod koniec jakiejś cięższej nocy dopadnie cię delirium.

Dotarły już do drugiego końca ulicy. – Cóż, tutaj się rozchodzimy – dała jej znać La Bruja. – Nie zбочę dla ciebie z drogi, dość się już nadeptałam jak na jeden wieczór. Trzymaj się.

Skręciła ostro w lewo i przez chwilę czy dwie było słycać oddalające się chodnikiem stukanie jej obcasów. Clo-Clo szła dalej samotnie w tym samym kierunku, co dotąd. Tuż przed tym, jak linia przeciwległego rogu odcięła je od siebie na dobre, zawołała, niemal rozpaczliwie: – Do zobaczenia jutro wieczorem.

– No może – odbiło się z powrotem zamazanym echem od rezonującej, pustej kamiennej otchłani ulicy.

Clo-Clo szła swoją drogą. Z zaskoczeniem odkryła, że po rozstaniu z tamtą dziewczyną poczuła się raczej trochę lepiej niż gorzej. La Bruja miała tak jakby przytłumiającą osobowość, była z tego znana; może to o to chodziło. Albo może o brak współczucia. Ale i tak się spieszyła, i tak dalej się niepokoila. I to bardzo. Droga do domu była długa i nigdy nie zdawała się dłuższa niż tej nocy. Jej stopy wygrywały pod nią na chodniku szybki rytm, a tuba ulicy zdawała się, niczym megafon, nieść ten dźwięk daleko przed nią. Brzmiały: stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk... I nagle się zatrzymały.

Co to było?

Przemknęło zwinnie przed nią, zakręciło szeroko dokoła niej na środek drogi, nim zdążyła zorientować się, co to takiego. Następnie zatrzymało się bez ruchu, gotowe do dalszego biegu, patrząc na nią niepewnie. Zrobiło „miau” w przeciągniętym napomnieniu.

Przeszedł ją dreszcz zgrozy. O Boże, nie, nie dzisiaj, po tej karcie...!

Czarny, atramentowoczarny od nosa po koniuszek ogona; ani jednego białego włoska w sierści.

Zaczęła się ostrożnie wycofywać, krok po kroku, z ręką wyciągniętą do ściany obok, próbując wydostać się z pętli, której połowę zwierzę nakreśliło dokoła niej, zanim będzie miało okazję zupełnie ją zamknąć. Starła się zapobiec przecięciu się ich ścieżek.

Kiedy już zrównała się z nim w drodze do tyłu, ono znowu się spłoszyło, przemknęło po bruku dodatkową długość dalej od niej. Nadal w złym kierunku, za nią.

Oparła się plecami o ścianę i spróbowała przesunąć się obok niego, nie niepokojąc go więcej w nowym miejscu zatrzymania. Ono nagle dostrzegło azyl, zbliżyło się znowu do tej samej strony drogi, z której się wyłoniło, przecisnęło się przez jakiś otwór na poziomie chodnika i zniknęło, zabierając ze sobą ogon z opóźnieniem chwili czy dwóch. *Za nią.*

Nakreśliło dokoła niej pełny łuk. Teraz nie mogła się poruszyć w żadną stronę, do tyłu ani do przodu, nie przecinając w którymś miejscu jego zło-wróźbnej orbity.

Wezwała swą świętą patronkę, noszącą to samo imię, które teraz już tak rzadko słyszała gdziekolwiek poza chatą. – Święta Gabrielo, wydobądź mnie stąd! – Dotknęła swych ramion i czoła, i piersi, by oddalić to od siebie. To jeszcze gorsze, powiadają, niż zabicie lustra.

Ale nie mogła tak tu stać całą noc, na tej wysepce bezpieczeństwa. Szkoda już się stała i była nie do naprawienia. Wzięła się w garść, opuściła obronnie głowę, jakby miała przejść przez kurtynę ognia lub wody; uniosła nawet jedną ręką swą i tak krótką spódniczkę jeszcze wyżej, by dać kończydom większą swobodę działania. Następnie wzięła głęboki wdech i dała nura przez ezoteryczną ścieżkę kota, po czym wypłynęła po jej drugiej stronie. Wolna, lecz naznaczona pechem.

Spojrzała za siebie, westchnęła i poszła dalej swoją drogą.

Parę minut później dotarła do prostej Calle de Justicia, szerokiego ukośnego pasa przecinającego bezlitośnie labirynt wijących się starszych uliczek, z rogami ciągnącymi się całą serią klinów i kątów ostrych ze względu na jej skośny bieg. Teraz musiała tylko trzymać się jej aż do zewnętrznych granic, a dotrze z powrotem do chaty.

Na chwilę złapała ją kałuża światła z ulicznej latarni, po czym znów zgubiła w ciemności. Krótkie oczekiwanie, a potem następna zrobiła to samo. A potem kolejna. Rozstawione były mniej więcej po jednej na skrzyżowanie.

Choć było cicho, zupełnie nie dotarł do niej dźwięk samochodu, póki ten niemal się z nią nie zrównał. Musiał sunąć za nią z silnikiem ściszym do niesłyszalnego poziomu, ze zgaszonymi światłami, już od kilku chwil.

Prawdopodobnie kierowca zauważył ją przed sobą pod jedną z tych zdradzieckich kałuż światła.

Jedynym ostrzeżeniem, jakie do niej dotarło, był odgłos ślizgu, lekki jak ciągnięcie wstążki po ziemi. Uskoczyła na bok, a auto było ledwie parę jardów za nią, jadące z szybkością jej kroków. Światła z pewnością celowo były zgaszone, aż do ostatniej chwili, żeby mogło się do niej zbliżyć. Teraz się włączyły, oblały ją od stóp do głów, sfotografowały ją, można by rzec, po czym po naciśnięciu przycisku znowu przygasły do bladego blasku. Zachwiała się, oślepią, zasłaniając oczy grzbietem dłoni.

Ale próba zdjęciowa okazała się zadowolająca, auto zatrzymało się i na chodnik obok wysiadła jakaś postać. Wszystko, co Clo-Clo widziała, to zadziwryście przekrzywione rondo kapelusza i figura młoda, niemal młodociana, w swej symetrii. Musiał to być syn jakiegoś bogacza, który wypuścił się na lekcję życia z pierwszej ręki. Sam fakt, że wysiadł i stał, czekając przy otwartych drzwiczkach, zamiast po prostu siedzieć na miejscu i ją zawołać, wskazywał, jak bardzo musiał być niedoświadczony. Tacy stanowili prawdziwe kopalnie złota. Jeśli miało się dość szczęścia, żeby na takiego trafić.

– Ej, *chica*, co powiesz na małą przejażdżkę?

Tak, miała rację, głos należał do młodzieńca i pod nonszalancją światowca, którą tak usilnie starał się przyjąć, pobrzmiwała lekka nerwowość wywołana własną śmiałością.

Zrobiła już krok w jego stronę, by zacząć negocjacje, zarówno z długiego przyzwyczajenia, jak i z powodu szczególnych okoliczności, jakie miały miejsce w tym przypadku, nim zdała sobie sprawę, co robi. Nagle znowu zatrzymała się ze wstrząsem.

– Zaraz, jakiego koloru jest to auto? Wygląda mi na...

– Jest czarne – oznajmił z dumą. – Klasa, co?

– Zmiataj stąd! – wrzasnęła w nagłej, irracjonalnej panice. – Zabieraj je ode mnie! *Ay, Dios mio*, nie zbliżaj się z tym do mnie! – Rzuciła się na oślep po ulicy, jakby ścigały ją demony.

– To jest hispano – zawołał za nią, oburzony.

Obejrzała się, by się upewnić, czy nie ruszył za nią autem. Stał obok niego, przenosząc wzrok z niej na nie i z niego na nią, z urażoną dumą właściciela. Pogroził jej nawet ręką z urazą. Najwyraźniej zraniła jego bardzo czuły punkt.

Ciągle biegła, by znaleźć się jak najdalej nawet od okolicy, w której stało to auto. Nie zatrzymywała się niemal aż do następnej przecznicy, przechodząc w końcu do wymęczonego truchtu, ale jedynie dlatego, że zupełnie brakło jej tchu. Ależ mało brakowało! Samochód prawdopodobnie wbiłby się w jakąś ścianę i pogrzebał ją żywcem przed upływem pięciu minut od momentu, kiedy by do niego wsiadła.

Pończochy zaczęły jej opadać od biegu, musiała więc pochylić się i je podciągnąć. Żakiet i bluzka pod spodem też się poprzekrzywiały i musiała je poprawiać. Potem szła dalej na chwiejnych nogach, nadal dysząc z wysiłku.

I tak w końcu dotarła do domu. Tak upłynęła jej reszta drogi do chałupy. Była nią parterowa, dwuizbowa chata z suszonych cegieł pokrytych tynkiem, z dachem z pobitych dachówek, stojąca tam, gdzie budynki zaczynały się przerzedzać, grunt nie był wiele wart i nikt zbyt dokładnie nie wiedział, kto jest jego właścicielem. Przed chatą leżał mały splacheć nieogrodzonej ziemi, ze słonecznikami próbującymi się przebić pomiędzy porzuconymi kanistrami po benzynie i rozbitymi dzbankami na wodę, i zwykle z rozwieszonym praniem starszej pani. To był dom. Lubiła go. Lubiła do niego wracać. To po to przesiadywała nad drinkami w barach. To właśnie tutaj przynosiła sto pięćdziesiąt pesos – albo półtora peso. Nie wynosiła stąd pieniędzy, przynosiła je tutaj. To dowodziło znaczenia tego miejsca w jej hierarchii wartości. Pewnie, któregoś dnia będą mieli lepszy dom trochę dalej od centrum, ale idea, system, będą takie same.

Ich podwórkowy kundel na jej przyjscie zerwał się z opóźnieniem z ziemi i wydał z siebie zwyczajowe jazgotliwe, tchórzliwe szczekanie, trzymając się rozważnie na dystans.

– Cicho, Conejo, to ja – rzuciła.

Wtedy przeszedł w drugą skrajność merdania ogonem i wchodzenia jej w drogę, póki nie znikła w środku i nie zamknęła przed nim drzwi.

Musiała przejść między legowiskami na podłodze, ale wiedziała, gdzie leży większość z nich. Staruszka zawsze zostawiała dla niej przejście od drzwi do jej składanego łóżka. Od czasu do czasu nadeptywała na czyjąś rękę, ale to dlatego, że śpiący nierozważnie zmienił pozycję po tym, gdy już wszyscy położyli się spać.

Jedno z młodszych dzieci zajęło jej łóżko, jak się zorientowała, doszedłszy

do niego. Nie miała nic przeciwko temu, że tak robiły, póki sama nie była gotowa z niego skorzystać. Obudziła je, upomniała szeptem: – Teraz schodź, gołąbeczko. Wróciłam. No już, wracaj na swoje miejsce. – Dziecko zsunęło się na podłogę, poszło przed siebie, śpiące. Clo-Clo usiadła na jego miejscu, zdjęła buty.

Przeciągnęła się mocno, z ramionami wysoko nad głową, ziewnęła, westchnęła rozkosznie. O rany, jak dobrze być tu już z powrotem, mieć to wszystko za sobą. Przez chwilę czy dwie siedziała tak bezwładnie, oparta o łóżko, na poły już pogrążona we śnie, chociaż nadal wyprostowana od pasa w górę, podczas gdy pomieszany kalejdoskop całej nocy przelatywał przez jej gasnący umysł.

„Spodobałoby ci się w Kopenhadze. Chciałem cię z tego wyciągnąć. ... W jednej chwili jesteś, a potem nagle cię nie ma.... Zachowuj się. Bez tych sztuczek z dymem. ... *Papo!* Samochód czeka. ... Macie pięć minut, potem zamykam. ... Ej, *chica*, co powiesz na małą przejażdżkę? To jest hispano. ...”

Sto pięćdziesiąt pesos. Gdyby tylko trafiło jej się jeszcze parę takich nocy, mogłaby to wszystko zostawić, rzucić w diabły. Zsunęła z siebie żakiet, pozwoliła mu upaść za sobą. Łóżko zaskrzypiało od wstrząsu. Nagle wyprostowała się, przebudzona, przerażona. Ręce miała przyłożone płasko do centralnego wgłębienia w białści.

Przepadły!

Wydała z siebie zduszony krzyk, który poniósł się przez otwarte drzwi do pokoju obok. Leżąca tam matka poruszyła się, zawołała sennie: – Wróciłaś, Gabrielita? Co się dzieje, coś ci się stało? – Tutaj nie wołali na nią Clo-Clo, nawet nie wiedzieli, że tak ma na imię.

Odnalazła z powrotem buty. Była zbyt oszołomiona, nawet by płakać, by wydać jeszcze jakikolwiek dźwięk. To był cios w splot słoneczny. Mogła tylko oddychać ciężko, tak jak po niedawnym biegu...

No właśnie! To ta ucieczka przed samochodem. Wtedy właśnie musiało się to stać. To był jedyny moment całej nocy, kiedy poruszała się szybko; w każdym razie dość szybko, by je zgubić. Pończochy jej opadły, bluzka się przekrzywiła. Musiały wysunąć się przez dekolt i wypaść.

Teraz już otworzyła drzwi na zewnątrz. Żadna czwórka pik nie mogła jej powstrzymać, żaden czarny kot, czarne auto. Już nic. Pieniądze, poczucie bezpieczeństwa, były najsilniejszym impulsem; silniejszym nawet od strachu

przed śmiercią. Głos matki znowu zabrzmiał, jeszcze zanim zamknęła drzwi: – Wychodzisz znowu, córko? Uważaj na siebie, jest tak późno...

– Tylko na chwilę. Kładź się z powrotem. Zaraz wracam – odpowiedziała, nieobecna duchem. Główny żywiciel rodziny nie miał czasu na strach czy wyjaśnienia; niech podopieczni martwią się za nią, to był jej problem i sama musiała go rozwiązać.

Wracała teraz w stronę centrum, szybko, odkładając zmęczenie na później. Szła tak, jakby była trzecia po południu. Jej umysł zmagał się z tą sprawą. Miała sprawny umysł: miałyby, gdyby w ogóle go szkolono. „Nie zgubiłam ich, kiedy kręciłam się dookoła stołu w Tabarinie. Wiem, że nie, bo sprawdziłam po wyjściu i nadal były na miejscu. Nie zgubiłam ich, siedząc z La Brują; jej ręce cały czas były zajęte kartami, nie zbliżały się do mnie. To wtedy, kiedy uciekałam od tego przeklętego auta; wtedy i tylko wtedy”.

Wiedziała, na szczęście, gdzie mniej więcej to było. Podjechał do niej tuż obok Retiro, a ona przebiegła aż do następnej przecznicy, do skrzyżowania z San Marco. To stało się gdzieś na tym odcinku, po prawej stronie Justicii...

Tutaj. Zaczęło się tutaj. Zwolniła, teraz przesuwała się wahadłowo po zatopionym w niebieskim cieniu nocy chodniku, od podstawy budynku do krawężnika, z głową sztywno pochyloną. Każdą nierówność, każdą najmniejszą skazę płyty chodnikowej, rzucającą głębszy cień niż reszta powierzchni, badała, pochylając się nad nią jeszcze niżej albo nawet sprawdzając koniuszkami palców.

Mijały minuty. Miasto spało, noc trwała w zadumie, jedynym słyszalnym dźwiękiem było przypominające miotłę szuranie jej stóp, wte i wewte, wte i wewte.

Krawężnik nagle skręcił w dół, urwał się pod jej stopami. Podniosła wzrok, czując ból w sztywnym karku. Już? Czy już dotarła do drugiego końca? Tak, tutaj, właśnie tu zatrzymał się ten samochód i oświetlił ją swoimi reflektorami. Może on je znalazł. Ale nie poszedł za nią. Stał przez chwilę przy aucie, a potem wsiadł i odjechał. A o tej porze mało kto się tutaj kręcił, mało było prawdopodobne, żeby od tego czasu w ogóle ktoś tędy przechodził. Muszą nadal gdzieś tu leżeć, po prostu muszą. Aż do brzasku, aż do wyjścia pierwszych rannych ptaszków na ulicę będą ciągle leżały tam, gdzie upadły. A ona się nie podda, nie przestanie szukać, póki ich nie znajdzie.

Dopiero po pełnym obchodzie do rogu San Marco i z powrotem nadzieja ostatecznie wyzionęła ducha. Kiedy w końcu musiała przyznać, że nie ma po co szukać dalej, że gdyby tu były, już ze dwa czy trzy razy by je znalazła. Chwiała się przez chwilę bezradnie na chodniku, rozpadając się w środku na kawałki. Potem pojawiły się łzy.

Gojące, gorzkie łzy, o skręcającej z bólu intensywności, jakiej nigdy nie poznają ci, których byt jest zabezpieczony.

Podeszła do ściany, w pobliżu rogu, i przycisnęła do niej twarz, pod wiszącym łupkiem swego ramienia, z obcasami wyciągniętymi do tyłu i uniesionymi nad ziemię, a drugą ręką zaczęła wybijać kontrapunkt dla swych szlochów, zduszonych przez nieczułe, niewzruszone, kłujące kamienie.

Cała noc na próżno. Wszystkie te uśmiechy, cały ten magnetyzm, wszystkie te kilowaty osobowości strawione zupełnie na darmo.

Najpierw ustał szloch. Potem nieznośne, bolesne walenie dłonią zwolniło do lekkiego postukiwania, zamierając w końcu. Próbowwała pocieszyć się najlepiej, jak umiała. To było coś za nic. Teraz przynajmniej nie była w gorszej sytuacji niż przed ich otrzymaniem. Ale to nie pomagało. – Były moje – powiedziała zduszonym głosem do ściany. – Miałam je. Dlaczego miałabym je znowu stracić?

Machnęła ramieniem na znak buntu, odwróciła się w końcu w przeciwną stronę, nadal oparta o ścianę. Z apatyczną, posępną irytacją wbiła wzrok w pustkę. Noc była jej coś winna. Clo-Clo odzyska choć część swej straty, nieważne jak małą. Będzie tam stała, póki jej się nie uda. Nie wróci do domu z pustymi rękami. Zgubna mieszczkańska cnota oszczędności. Dostać coś w zamian, nawet jeśli miałyby to być choćby pół peso, choćby wyżebrany papieros. Nie ruszy się stąd, póki nie dopnie swego.

Justicia przecięto bezlitośnie, na ukos, podupadłą, przypominającą labirynt część miasta. W wyniku tego wszystkie wychodzące na nią murszejące alejki i uliczki stykały się z nią nie prostopadle, lecz skośnie. Na rogu, przy którym stała, San Marco, biegnąca by połączyć się z nowszą arterią, tworzyła kąt tak ostry, że nie mógł mieć wiele więcej niż piętnaście stopni. Róg tej ściany, za którą zajęła miejsce, był cienki jak igła; San Marco leżała nie za rogiem, lecz

bezpośrednio za jej plecami, po drugiej stronie studni z dwoma obrzeżami.

Teraz, kiedy stała tam w błękitnej porze nocy, w nocnym czuwaniu przy zmarłym, buntowniczo zdeterminowana uzyskać rekompensatę, miękkiej odgłos stopy naciskającej na nieubita ziemię, na niedokładnie ułożone drobne kamyki, dotarł do niej zza tego występu, spoza jej własnych pleców. Ktoś się tu zbliżał niewybrukowanym skrajem San Marco, miał skręcić za ten ostry jak brzytwa róg i trafić na nią.

Ktoś, i nieważne kto, bo ona chciała czegoś od nocy; nie pozwoli mu przejść, nie ściągnąwszy haraczu na podreperowanie jej straty i dla ukojenia zmiażdżonej miłości własnej. Osuszyła oczy, wpychając w nie przegub, szybko jedno po drugim. Otworzyła torebkę i w nerwowym pośpiechu zaczęła czerwienić usta, a łobuzersko przyjazny uśmiech, którym zamierzała go już za chwilę zatrzymać, zaczął pojawiać się w ich kącikach jeszcze kiedy to robiła, bo luźna górna warstwa kamyczków i żwiru już przesuwała się *w zasięgu jej wzroku*, tam, za ostrym jak nóż rogiem, niczym niemrawa woda wypływająca pod wpływem niewidocznego jeszcze uderzenia, czynnika skrytego jeszcze przez chwilę.

Za moment staną twarzą w twarz, oko w oko. Już mogłaby sięgnąć badawczo ręką w tył, za kamienny ekran, i dotknąć go, gdy się zbliżał.

Sztyft szminki się schował. Uśmiech był już gotowy. Obróciła go w górę, w stronę nocy, z oczami przysłoniętymi wyczekująco lekko opuszczonymi powiekami.

Zabrali ją przed pojawieniem się Manninga, który przyjechał o siódmej tego samego ranka, taksówką. Płaskownikowy róg San Marco i Justicii wyglądał gustownie w akwarelach poranka: brzoskwiniowo-różowym i pastelowo-błękitnym. W różowym blasku słońca na twarzach stojących dokoła mężczyzn i jasnoniebieskich cieniach leżących za nimi na ziemi.

Był tam jeszcze jeden kolor, na ścianie po stronie Justicii: jakby ktoś obzedł się nieostrożnie z jakimś przejrzałym owocem.

W pobliżu nie kręciło się wielu ludzi. Jakiś Indianin z prowincji, w drodze na wczesny rynek z koszem persymon na głowie, sprawiał wrażenie wrośniętego w jedno konkretne miejsce, stał nieopodal z ustami otwartymi z niezrozumienia, w pozie, jakby uniósł nogę, by iść dalej, ale o tym zapomniał. Na przeciwnym chodniku zmiatacz ulic również stał, przyglądając się, oparty o miotłę z gałązek. Od czasu do czasu wykonywał nią kilka machnięć, po czym przestawał i dalej się przyglądał. Na balkon na drugim piętrze po tej samej stronie wyszła popatrzeć tęga kobieta, ale zabrała ze sobą szczotkę i nadal przy tym przeczesywała swe długie, czarne, lśniące włosy. I to mniej więcej tyle; resztę stanowili wszyscy ci, którzy zaliczali obecność tutaj do swych obowiązków.

Tym razem Manning nie tylko nie został poinformowany, ale zorientował się nawet, że jest czymś w rodzaju *persona non grata*, kiedy wysiadł z taksówki i do nich dołączył.

Robles podniósł wzrok, powitał go niechętnie: – Znowu ty? Mamy tu robotę. Proszę, żadnych nowych sugestii zza linii bocznej, jeśli można! – Po czym dodał: – Coś ty za jeden, telepata? Skąd wiedziałeś?

– Już całe miasto o tym gada. Mleczarz powiedział *mozo*, służącemu, który przynosi mi poranną kawę z naprzeciwnika, a *mozo* powiedział mnie. Kto to tym razem?

– Bywalczyni kawiarni znana jako Clo-Clo. Barowa panienska, biedne stworzenie. Ten tu Méndez ją znał. Prawda, Méndez?

Méndez zaprzeczająco opuścił powieki. – Wyłącznie służbowo.

Manning zauważył kilka małych przedmiotów czekających na zabranie, które tymczasem umieszczono na papierze gazetowym rozłożonym na siedzisku składanego stołka. – Co tu robi ta szminka? – spytał.

– Leżała na ziemi w pobliżu ciała. Wypadła jej pewnie z torebki podczas zakończonej śmiercią walki.

Manning zastanawiał się chwilę. W końcu spytał: – Co jeszcze wypadło?

– Nic więcej nie wypadło.

– A torebka była otwarta czy zamknięta, kiedy ją znaleziono?

Robles był wystarczająco uczciwy – i wystarczająco nieostrożny – by unieść jeden palec dla zwrócenia uwagi tych, którzy go otaczali. – Ach. Cóż za

trafną uwagę wygłosił pan Amerykanin. Torebka nadal była zamknięta, kiedy ją znaleźliśmy. Dlatego też prawdą jest, iż szminka nie mogła być z niej wyjąć, dziewczyna musiała wyjąć ją sama. – Wcale nie zmieszany, machnął ręką. – Ale to tylko szczegół, bez jakiegokolwiek znaczenia dla sprawy.

– Och, oczywiście, zupełnie bez znaczenia – zgodził się zdradliwie Manning. – *Poza tym, że dowodzi, iż tu, na tym rogu, napadł na nią mężczyzna.* Nie malowałyby ust dla czworonoga, jak sądzę?

Robles lekko trzepnął opuszczonymi do boków rękami, przemówił hamowanym heroicznym głosem do stojących w bezpośrednim sąsiedztwie osób, wyłączając jednak Manninga, jakby go tam nie było: – Znowu to. Co ja takiego zrobiłem, żeby zasłużyć na słuchanie, jak ten szerszeń brzęczy mi nad uchem? Méndez, Cipriano. Stańcie po jego obu stronach. Niech każdy weźmie go za ramię... Tak, właśnie tak. A teraz odprowadźcie go do tamtej taksówki, wsadźcie do środka i dopilnujcie, żeby zabrała go tam, skąd przyjechał.

Robles nie żartował. Trochę za bardzo poblądł w kąciakach oczu i ust, by być podejrzanym o brak powagi. Mogło to być, po części, spowodowane przez wczesną porę dnia.

Skoro już o tym mowa, Manning też nie żartował. – Twoja teoria musi być dość chwiejna – rzucił osłabiająco – skoro nie wytrzyma małej, uczciwej różnicy zdań. O co chodzi, boisz się, że się rozpadnie? Zabierzcie łapy ode mnie. To publiczna ulica. Mam prawo stać tutaj tak długo, jak mi się zechce.

Bardzo łatwo mogłoby się to stać zarzewiem prawdziwej urazy, niesnasek między nimi. Szczęściem właśnie w tym momencie zdarzyła się przerwa, która oderwała myśli obecnych od wszelkich mniej ważnych kwestii.

Przy krawężniku nastąpiło wielkie poruszenie z fanfarami i sam jefe de policia wysiadł z zapierającego dech w piersi bugatti, jednego z ostatnich, jakie sprowadzono do kraju przed wojną. Każdy zamilkł, wyprostował się sztywno na baczność tam, gdzie stał, gdy on zbliżył się, otoczony wianuszkami podwładnych.

Był to mężczyzna niski, żyłasty, o wyglądzie duchownego, agresywnym obejściu i potężnym, dźwięcznym głose, który musiał idealnie się sprawdzać przy przemawianiu na wielkich zgromadzeniach.

Rzucił jedynie najkrótsze ze spojrzeń na ślady na ścianie i ziemi, skupił się

natomiast na zebranych przed nim ludziach. Stał, łypiąc na nich złowrogo przez swe okulary, niczym rozeźlony puchacz mrugający w słońcu.

– Pan tu dowodzi, inspektorze? – zagrzemiał po dramatycznej pauzie.

– *Sí, excelencia* – wybąkał Robles drżącym głosem.

– Ile jeszcze razy to się powtórzy? Tego diabła należy zlikwidować! Chcę zobaczyć jego ścierwo przed upływem dwudziestu czterech godzin, czy to jasne? – Włączył w to też pozostałych, obracając ku nim głowę. – Czy to jasne dla was wszystkich? Burmistrz i rada miasta są zaniepokojeni, kazali właśnie rozlepić ogłoszenie o nagrodzie, niezależnie od waszych starań. To stanowi zarzut pod adresem mojego wydziału. Po całym mieście już się szerzy panika. Zaraz zacznie się sezon turystyczny. Ta sprawa może wyrządzić nieobliczalne szkody, ludzie nie zechcą tu przyjeżdżać!

Długimi krokami przeszedł z powrotem do bugatti, stamtąd wygłosił postscriptum: – W tej sprawie nie powinno być nic skomplikowanego! Skoro jedno zwierzę ma lepszy łeb niż najtęższe głowy w policji, oznacza to, że już czas na gruntowną reorganizację, od stóp do głów!

Robles siedział posepnie przy biurku, oglądając egzemplarz jednego z nowych plakatów rady miasta, świeżo z drukarni. Był tak wielki, że jego oba końce opadały poza brzegi biurka. Miał kolor jaskrawożółty, a tuziny jemu podobnych były rozwieszane na każdej budce reklamowej, tablicy i wolnej ścianie w mieście.

U góry odznaczającymi się, czarnymi literami napisano: AVISO AL PUBLICO. Obwieszczenie publiczne. Następnie biegły liczne linie drobnego druku. Potem, na końcu, przy prawym dolnym rogu, znowu większą czcionką: 1000 DOLARÓW NAGRODY.

Manning domyślał się – z samego faktu, że pozwolono mu zostać tu, w biurze, podczas gdy Robles zmagał się ze sobą – że ten drugi zamierza się w końcu poddać.

– Nadal nie zgadzam się z tobą – oznajmił Robles, waląc z desperacją o biurko. – Ale kiedy w grę wchodzi moje stanowisko, moja praca w policji, jestem zmuszony sprawdzić każdą ewentualność, nawet jeśli jest ona sprzeczna

z moimi przekonaniem. Nie mogę sobie pozwolić na przegapienie czegokolwiek.

– Chwileczkę – rzucił szybko Manning. – Ja nikogo nie oskarżam, rozumiesz? Nie mam żadnego dowodu przeciwko temu facetowi, nawet najdrobniejszego. Istnieje tylko ta jedna okoliczność obciążająca: popytałem trochę, tu i tam, i gdzie indziej, prywatnie, na własny rachunek, rozumiesz; i odkryłem, że miał on w zwyczaju przyjeżdżać czasem do miasta na noc. Od czasu do czasu, okazjonalnie, w nieregularnych odstępach.

– W tym nie ma nic karalnego. Setki osób przyjeżdżają do miasta każdego dnia i każdej nocy, tak samo jak setki z niego wyjeżdżają.

– Masz rację – odparł łagodnie Manning. – Niektórzy robią tak w ustalone dni. Na przykład w każdy sobotni wieczór. Albo co niedziela. Albo dwa razy w tygodniu, regularnie. Zależnie od przypadku. Są też tacy, którzy przyjeżdżają niesystematycznie, tak jak on. Po prostu wtedy, kiedy przyjdzie im na to ochota. Jak mówisz, ani w jednym, ani w drugim zwyczaju nie ma nic szczególnie obciążającego.

– No więc?

– Pozwól, tak po prostu, żebym ci podał trzy ostatnie przypadkowe daty jego wypraw do miasta. Są autentyczne, możesz na nich polegać; dostałem je z różnych niezainteresowanych źródeł: kierowców autobusów na linii, która stamtąd jedzie, właścicieli kantyn, i temu podobnych. Sprawdź, czy cię zainteresują.

Robles spojrział na wpatrujący mu się w twarz plakat, wciąż bębnił palcami o jego skraj, w markotnym zamyśleniu.

Manning wyjął kopertę, rzucił okiem na jej tylną stronę. – Czternastego maja...

Oczy Roblesa oderwały się od leżącego przed nim plakatu.

– Dwudziestego szóstego maja...

Głowa Roblesa się podniosła, gdy zeszywniał mu kark.

– Osiemnastego czerwca...

Całe ciało Roblesa uniosło się do pozycji stojącej przed jego krzesłem. Mężczyzna pochylił się nad biurkiem, trzasnął o nie rozłożonymi dłońmi i zostawił je na blacie na dłuższą chwilę.

– Teresę Delgado spotkała śmierć w nocy czternastego maja. Conchita Contreras zakończyła życie w nocy dwudziestego szóstego maja. Dziewczynę nazywaną Clo-Clo znaleziono o świcie dziewiętnastego czerwca. – Popatrzył groźnie na Amerykanina. – Raz nazwałbyś zbiegiem okoliczności. Drugi raz nazwałbyś podejrzanym. Ale trzeci raz, jak byś to nazwał?

– Nie jestem zbyt dobry w nazywaniu – to wszystko, co powiedział cicho Manning.

Robles przycisnął guzik stojącego na biurku interkomu.

– Sprowadźcie mi Juana Cardozo, nadzorcę z rancza w Las Cruces. To jakieś pięćdziesiąt kilometrów od miasta, przy drodze w głąb kraju. Po prostu jedźcie nią, a dotrzecie do niego. Żadnych zarzutów, ma się tylko stawić na przesłuchanie.

C

atoroczna ekspozycja na słońce spaliła go na głęboki mahoń. Przyjechał tak, jak go zastali: w niebieskiej roboczej koszuli z bawełny, rozchylonej pod szyją, czymś w rodzaju ponczo przerzuconym przez jedno ramię, sztruksowych spodniach, przepasany nabijanym srebrem pasem typowego jeźdźca i w bezkształtnym filcowym kapeluszu o rondzie pofalowanym od ciągłego nasiąkania i pozostawiania do wyschnięcia, prawdopodobnie bezpośrednio na głowie właściciela. Miał nieduże, ale bardzo sztywne czarne wąsy. Od czasu do czasu, podczas długich godzin, jakie zajmowało przesłuchanie, pozwalali mu zapalić. Jakby po to, by po tym całym czasie przypomniawszy sobie, jak wygląda komfort i swoboda. Czego wydzźwięk był taki, że może je odzyskać, jeśli tylko zechce, o ile przyzna się do najgorszego. Za każdym razem, kiedy pozwalali mu zapalić, wyciągał z kieszeni bibułkę i powoli, z lubością sam sobie związał papierosa. Przyglądanie mu się było niemal przyjemnością, tak zręcznie mu to szło, tyle w tym było arcyzmu.

– Znalazłem go, kiedy pewnego dnia, jak zwykle, objeżdżałem konno teren – mówił, kiedy Manning wśliznął się dyskretnie do pokoju za plecami wszystkich. Ściśle rzecz biorąc, bycie tam nie należało do jego obowiązków. Ale z drugiej strony, ściśle rzecz biorąc, przetrzymywanie tego Cardozo też nie należało do ich obowiązków. Przynajmniej póki co.

– Jego matkę zabito, a on trzął się przy jej ciele. Był wtedy jeszcze małym bakiem, kociakiem, czarnym jak węgiel. Wziąłem go, zabrałem ze sobą do domu na ranczu i tam go trzymałem. Jakiś czas trzymaliśmy go w samym domu, jak kota. Potem, kiedy trochę podrośł, zbiłem dla niego na dworze coś w rodzaju wybiegu i tam go trzymałem. No i któregoś dnia pojawił się ten tutaj señor i go zobaczył; spytał, czy mógłby go wypożyczyć za dwadzieścia pięć pesos, chciał, żeby jakaś dama pokazała się z nim w aucie.

– Kto go karmił? – zapytał Robles w niebezpiecznie minorowej tonacji.

– Ja.

– Czyli znał pana?

– *Claro*. Każde zwierzę zna tego, kto je karmi.

– Mówił pan do niego podczas karmienia?

– Jasne. Wie pan, każdy tak robi.

– Nazywał go pan jakoś?

– *Negrote**.

* Wielki czarnulek (przyp. aut.).

– Innymi słowy, on pana znał, był z panem obyty. Mógł pan się do niego zbliżyć z większą łatwością niż ktokolwiek inny, prawda?

Ranczer wyczuł, dokąd go prowadzą. Poruszył się niespokojnie.

– Każdy mógł się do niego zbliżyć. Wszyscyśmy mogli. Señor też nie miał problemu, jak wiózł go do miasta...

– Wróćmy jeszcze do dat – przerwał mu obronę Robles. – Przyznał pan, że był w mieście całą noc w nocy czternastego maja.

– Już wam mówiłem, gdzie byłem. W kantine Estrella de Media Noche. Spytajcie wszystkich, którzy tam chodzą; Hipolito, Benito Dominguez, wszyscy mnie widzieli...

– Już spytaliśmy, bez obaw – oznajmił Robles ze spokojem bożka. – W kantine nie ma zegara. Faktycznie, widzieli pana; wczesnym wieczorem. Ale potem, na przykład?

– Jak zamknęli kantinę, byłem tam, gdzie zawsze się łąduje po jej zamknięciu: leżałem oparty plecami o ścianę, na jakiejś ulicy.

Robles z zakłopotaniem podrapał się w ucho, jakby w rozterce, nie wiedząc, o co dalej zapytać. Zupełnie fałszywe wrażenie, wiedział Manning, obserwujący

go z tylnego rzędu. – Zostawmy noc czternastego, wygląda na to, że prowadzi nas donikąd. Dwudziestego szóstego, mówi pan...

Cardozo pokazał wszystkim dokoła swoje zęby. – O tym też już wam mówiłem. Wystawią mi rachunek za trzy noce zamiast za jedną. No cóż, byłem w domu prowadzonym przez Doñę Sarę...

– Proszę mi powiedzieć, czy planował pan uciec z jedną z tamtejszych dziewczyn?

– *Comandante* żartuje. Nie ucieka się z...

– *Comandante* nie żartuje – zapewnił go lodowato Robles. – W takim razie dlaczego widziano pana z *riatą* zwiniętą przy pasie tej nocy, kiedy odwiedził pan dom Doñi Sary?

Szczęka Cardozo poruszyła się w górę i w dół, ale wszystkim, co wydobyło się z jego ust, było puste powtórzenie: – Ja... Ja...

Ale Robles nie zwlekał. Zadawał teraz pytania szybciej: – Dlaczego w takim razie miał pan ze sobą w torbie kawałki surowego mięsa tej nocy, kiedy był pan w kantynie? Kogo zamierzał pan karmić? Siebie?

– Nie, ja... ja...

– I co stało się z tym surowym mięsem? Już go pan nie miał, wsiadając do porannego autobusu do Las Cruces. I co stało się z *riatą*? Jej też pan nie miał podczas drogi powrotnej.

– *Riata*... musiał ją ukraść ktoś z domu Doñi Sary... w takich miejscach strasznie kradną, wszystko, co ma jakąś wartość. A mięso... może jakiś pies czy kot pojawił się, kiedy spałem na chodniku przed kantyną...

– A po co zabrał pan ze sobą te przedmioty? Czy dlatego, że ukrył pan, gdzieś w mieście, coś, z czym chciał się pan trochę porzechadzać? Prawda? Odpowiadaj! – Jego głos wybuchł. – Prawda?

Manning pomyślał, że nigdy przedtem nie widział na niczyjej twarzy takiego wyrazu rosnącego strachu i przerażenia, jaki zaczął się pojawiać na twarzy Cardozo.

– Ja... Ja... och, chwileczkę, nie, proszę tak nie myśleć! Tak, przyznaję. Tak, miałem nadzieję, że uratuję Negrote żywego. Pomyślałem, że może wpadnę na niego przez przypadek, rzucę mu mięso, chwycę na *riatę*, znajdę jakiś sposób, żeby sprowadzić go ze sobą do *estancii*. To był tylko taki impuls,

głupia myśl, jaka przyszła mi do głowy... Ale nie to, co pan ma na myśli! Nie to, co pan próbuje mi powiedzieć! – Przenosił błagalnie wzrok z twarzy na twarz. – Señores, czego chcecie ode mnie? Wiem, wiedziałem już parę godzin temu. Nic nie mówiłem, wy też nie mówiliście. Byłem w mieście też w inne noce oprócz tych, o których pan wspominał. Czemu nie pomówimy o nich?

– Dobrze – zgodził się usłużnie Robles – proszę bardzo. – Sprawdził coś. – Był pan w mieście dwudziestego maja, *por ejemplo*.

– Tak, tak! – Cardozo pokiwał głową niemal z zapalem.

– Czy miał pan wtedy ze sobą *riate*? Albo może surowe mięso?

Brak odpowiedzi był odpowiedzią.

– Był pan w mieście trzydziestego pierwszego. Czy wtedy je pan miał?

Cardozo zadrzał lekko, pochylił głowę, jakby przyglądał się czemuś leżącemu tuż przed jego stopami.

– Tylko w noce, w które *coś* się w tym mieście *stało*, przyjeżdżał pan zaopatrzone w te dość dziwne przedmioty, o których wspomnieliśmy. W pozostałe już nie.

Mężczyzna siedzący pośrodku nich wszystkich zerwał się nagle na nogi. Natychmiast złapały go hamujące dłonie, ale on stał dalej wyprostowany, stawiając czoła prześladowcom. Chociaż drżał spazmatycznie, było od niego coś w rodzaju przyrodzonej godności. Nawet Manning, cudzoziemiec, to czuł. Na chwilę sprawiło to, że nie byli policjantami wokół podejrzanego, tylko mężczyznami wokół innego mężczyzny.

– Zabiłem, tak. Spędziłem za to dwa lata w więzieniu, w mojej ojczyźnie. Poszło o kobietę, każdy by zabił. Ale nie w ten sposób! Zabija się z zemsty, by naprawić krzywdę. Jak można się mścić na kimś albo być skrzywdzonym przez kogoś, o czym istnieniu się nawet nie wiedziało; kogo nigdy w życiu się nie widziało? Zabija się najwyżej jeszcze dla pieniędzy. Przynajmniej niektórzy tak robią. Jakie są inne powody, żeby zabić?

Manning wyjął wcześniej z kieszeni pilniczek, spiłowywał nim paznokcie kciuka, opierając się leniwie o drzwi. – Czasem zabija się z zamiłowania do zabijania – zauważył nieoczekiwanie.

Wszystkie głowy obróciły się, by na niego spojrzeć. On, z kolei, na chwilę oderwał wzrok od pilnika. Coś poszło nie tak. Drgnął gwałtownie, chwycił

mięiste wybrzuszenie u nasady kciuka, pochylił się nad nim, przeklinając cicho. Pilnik upadł z brzękiem.

Podszedł bliżej do światła, trzymając zadaną przez siebie ranę, jakby chciał ją lepiej obejrzeć. Dokończył jednak uwagę, którą wygłosił tuż przed wypadkiem: – Z zamiłowania do zabijania, dla niego samego, bo tacy lubią widok krwi. Bo ten widok coś z nimi robi.

Zabrał osłaniającą dłoń. Ukazało się rozdarcie w skórze, będące dziełem koniuszka pilnika, niezbyt poważne, ale obficie zalane krwią, jak to się często zdarza w takich razach. Krew nawet spłynęła z jego wyciągniętej ręki, którą nieopatrznie podsunął niemal pod nos Cardozo, by nie dopuścić do poplamienia własnego mankietu.

Cardozo zamrugał dwa razy, jak to się zdarza przy odczuciu dyskomfortu. Następnie obrócił twarz bokiem, z niekontrolowaną odrazą do bliskości, niemal bezpośredniej styczności z krwawiącą raną.

Nikt nic nie powiedział; zrozumieli.

Robles po chwili wydał ledwie słyszalne westchnienie. – Zabrać go stąd – rozkazał. – Dokończymy później. – I do kogoś innego, gdy zamknęły się drzwi: – Poszukaj no jakiegoś alkoholu do dezynfekcji palca tego gościa z północy...

– Było warto – orzekł Manning, dmuchając na ranę i uciskając ją. – I co teraz zrobicie, wypuścicie go?

– Dalej będziemy go trzymać w areszcie – odparł mściwie Robles. – Damy twojej teorii swobodę, dużo swobody, a nawet jeszcze więcej swobody... aż sama spadnie w przepaść!

– Nie łapię.

Robles uśmiechnął się ponuro. – Jeśli te okropieństwa tajemniczo przestaną się zdarzać, gdy on jest w naszych rękach, to jedno. Ale jeśli jakies znowu się wydarzy...

5.

SALLY O'KEEFE

W hotelu Inglaterra przy ulicy Corriente Sally O'Keefe miała sięgające podłogi okna ich pokoju szeroko otwarte na zjawiskową noc, która wyglądała jak z plakatu biura podróży.

Sally stała oparta o framugę, z rękami wyciągniętymi w zatrzymanej ekstazie. Była niska i drobna, z czerwono-złotymi włosami, niebieskimi oczami, a rozety piegów na każdym policzku dodawały jej twarzy elfiej pikanterii.

– Marjorie, czyż to nie jest niewiarygodne? To nie może być prawdziwe. Ktoś to namalował przed naszym oknem specjalnie dla nas.

Poprzez lśniący pył złożony z fosforyzujących cząsteczek zielonkawego błękitu i srebra zarysowano żarzące się linie, jakby ktoś przeciągnął przez niego kijem z radem na koniuszku, zostawiającym jarzące się ślady. To były ulice i aleje. Dookoła rozciągała się niska, czarna falistość, tworzona przez wzgórza na tle nieba, które, w miejscu styku na zachodzie, nadal promieniało turkusowo, jakby odbijając ukryty rząd przykręconych palników gazowych rozstawionych u jego nasady. Wyżej, na środku swej kopuły, przybrało ciemność nocy, ale ciepłą, wspaniałą ciemność nocy podzwrotnikowej, tak obficie usianą gwiazdami, że wyglądały jak oślepiający prysznic wyrzucanego bez końca confetti. Albo pozostałości po wybuchu racy.

– Teraz mogę umierać! – rzuciła w zachwycie dziewczyna przy oknie.

Marjorie King, jej towarzyszka podróży, bardziej praktyczna, uśmiechnęła się do lustra toaletki, przed którym siedziała, dokańczając ostatnimi muśnięciami swą toaletę. Była brunetką, z pewnego rodzaju majestatycznością urody, w miejsce zadziorności, której nie brakowało tej drugiej. Nawet gdy siedziała,

widać było, że jest przynajmniej o głowę czy dwie wyższa od tamtej. Dyrektor decydujący o obsadzie jakiegoś przedstawienia potrafiłby je trafniej zróżnicować niż zwykły laik: Marjorie była typem tancerki rewiowej, Sally – zwykłej chórzystki. Ale, prawdę powiedziawszy, żadna z nich nie pracowała w teatrze. Sally była osobistą sekretarką wiceprezesa firmy produkującej żniwiarki. Marjorie była kierowniczką jednego ze sklepów ze słodyczami należących do wielkiej sieci, znanej pod sugerującą ręczną produkcję nazwą „Handmaid”, gdzie wszystko prócz jedzenia robiły maszyny. Obie wybrały się na swe pierwsze od lat prawdziwe wakacje, planowany od dawna i przekładany wielokrotnie wypoczynek, na który od dawna oszczędzały i który musiały praktycznie wymusić szantażem na swych pracodawcach. Była to wyprawa bez odgórnych ograniczeń, z żadnym zorganizowanym zwiedzaniem ani wielkimi, przypominającymi ławice sardynek grupami wycieczkowymi, pędzącymi naprzód w formacji wojskowej.

– Myślisz chyba o Neapolu – odparła Marjorie na tę uwagę. – A tak w ogóle, co byś nie mówiła, po co to psuć myślą o umieraniu?

– To tylko takie powiedzenie, taki zwrot – broniła się Sally, odwracając się w końcu i idąc ku niej. – Kiedy czujesz się tak, jak ja czuję się tego wieczora, to nie ma najmniejszego znaczenia. Nigdy przedtem nie czułam się tak pełna życia! To miejsce bez wątpienia wydobywa z człowieka dynamizm. Co dzisiaj robimy?

Marjorie wstała, gotowa do wyjścia. – Na ten wieczór ty miałaś coś zaplanować, nic jeszcze nie wymyśliłaś? Tak się umawialiśmy, pamiętasz? Jednego wieczora rządę ja, drugiego ty.

Sally próbowała zgłębić własny nastrój, podczas gdy jej przyjaciółka przechodziła po apartamencie, gasząc światła w nawyku, z którym, jako że jeszcze nie dość przywykły do hoteli, nie zdążyły zerwać.

– Czuję się tak jakoś sentymentalnie, romantycznie. To pewnie przez tamten widok. Nie chcę dzisiaj żadnych hałaśliwych, pretensjonalnych kasyn ani nocnych klubów. Jestem raczej w idyllicznym nastroju – tak, to właśnie to, czuję się idyllicznie.

– Idiotycznie? – drażniła się Marjorie, zabierając z fotela chustę.

Sally szturchnęła ją w plecy. – Słyszałam, jak ktoś wspominał o lokalu w parku, na obrzeżach, gdzie można zjeść na świeżym powietrzu pod drzewami – mówiła dalej. – Podobno jest tam pięknie, same kolorowe latarenki dookoła. Weźmy dla odmiany jedną z tych staromodnych dorożek, jakie tu mają, zamiast taksówki i pojedźmy tam i z powrotem w świetle księżyca. Tutejsze taksówki strasznie czuć benzyną, no i tak szybko dowożą cię na miejsce... Tak, na to właśnie mam ochotę – zakończyła – na powolną, niefrasobliwą przejażdżkę dorożką w starym stylu przy świetle księżyca.

– A jak daleko jest do tego lokalu? – spytała Marjorie. – Czy nie krąży tu historia o jakimś tam ludojadzie, który uciekł z zoo czy farmy hodowlanej i podobno rzuca się na ludzi w opuszczonych miejscach? Pokojówka, która sprząta nasz pokój, trajkotała o nim jak najęta, kiedy rano wyszłaś. Nie byłam w stanie wszystkiego zrozumieć; docierało do mnie mniej więcej co trzecie słowo, wiesz, jak szybko oni mówią.

– A, ta historia. Facet z American Express powiedział, żebym jej nie słuchała, nie ma w niej ani słowa prawdy. Zamierzam wyciągnąć z tych wakacji tyle, ile za nie zapłaciłam, i żadna historia o złym wilku mi w tym nie przeszkodzi. – Otworzyła drzwi i stanęła, czekając, aż przyjaciółka ją minie. – Masz wszystko? Nie zapomnij zabrać kocimiętki, na wypadek gdybyśmy wpadły na to coś tam – zasugerowała nonszalancko.

Marjorie zaśmiała się, gdy ruszyły w kierunku windy.

Na dole w lobby dodała: – Spytajmy o ten lokal na recepcji.

Recepcjonista uklonił się miło, pochylając głowę aż do końca jej owłosionej części, gdy kobiety podeszły.

– Podobno w wielkim parku poza miastem jest jakaś restauracja pod gołym niebem. Czy warto tam się wybrać? Przyjaciółka i ja myślałyśmy o tym.

Jego odpowiedź nie była bezpośrednia. – Czy señoritas były już w Tabarinie albo w Selekcje? Jestem pewien, że tam by się...

– Ale to są tylko kluby nocne, prawda? – zaprotestowała Marjorie. – U siebie w domu też mamy kluby nocne. Szukamy czegoś trochę innego, czegoś bardziej nastrojowego.

– Znam lokal, o którym panie mówią – przyznał nieco powściągliwie. – To Madryt, w Bosque...

– A co z nim nie tak? – przerwała Sally z charakterystyczną bezceremonialnością.

– Och, nic, zupełnie nic – wycofywał się pospiesznie. – Tyle że to troszkę... jak to się mówi?... *lejano*; daleko stąd, na uboczu. Czy señoritas wybierają się tam same? Może mógłbym zorganizować...

– O nie, nie chcemy żadnego wynajętego towarzystwa – skrzywiła się Sally. – Nie cierpię tego.

– Ten młody człowiek zdaje się z jakiegoś powodu mieć wątpliwości... – Marjorie uśmiechnęła się do niej niepewnie.

Tym razem nie zadał sobie trudu, by zaprzeczać.

Sally O'Keefe zareagowała tak, jak zawsze reagowała Sally O'Keefe. Marjorie wiedziała, że tak będzie.

– Cóż, ktoś tam jeździ po zmroku, prawda? – dopytywała się recepcjonisty. A gdy ten potakująco skinął głową, pociągnęła przyjaciółkę za ramię. – W takim razie my też pojedziemy! Proszę nam wezwać jedną z tych staromodnych dorożek.

I wypłynęły na ulicę, by poczekać na jej przyjazd.

Na zewnątrz Marjorie śmiała się porozumiewawczo. – Robił, co tylko mógł, żeby nas zniechęcić, zauważyłaś? Ale nie wspomniał o prawdziwej przyczynie; bał się pewnie, że skrócimy nasz pobyt. Zawsze taka byłaś; niech tylko ktoś spróbuje ci coś wyperswadować, to ty tym pewniej to zrobisz.

– Uparta jak muł Sally – uśmiechnęła się stojąca obok niższa dziewczyna. – No, jest dorożka.

Wsiadły, usadowiły się na tylnym siedzeniu, otwartym na niebo, z odsuniętym do tyłu daszkiem.

– Jak on powiedział, że nazywa się ten lokal?

Marjorie sama poleciła woźnicy, dokąd ma jechać. – Do Madrytu.

Mężczyzna odwrócił się i posłał im krótkie, zaciekawione spojrzenie, po czym machnął biczem i zaczęli z aksamitną gładkością toczyć się ulicą. Marjorie nie umknął jego wyraz twarzy. Mógł go wywołać ich odświętny strój lub brak męskiego towarzystwa, ale skłonna była myśleć, że to nie to; przyszło jej do głowy, że spowodował je cel ich podróży.

– I co, nie miałam racji? – triumfowała Sally – Czyż to nie miła odmiana?

Pojazd poruszał się dużo równiej i bardziej kojąco niż auto, temu nie można było zaprzeczyć, i jego tempo dawało im o wiele lepszą okazję do podziwiania widoków. Tym dorożkom, choć nie używanym już, ze względów praktycznych, za dnia, daleko było do zdezelowanych egzemplarzy muzealnych. Miały gumowe opony, ich nadwozia lśniły, tak dobrze były utrzymane, i na pewno nie stanowiły niezwykłego widoku w Ciudad Real, zwłaszcza po zmroku i w niedzielne popołudnia.

Po dziesięciu czy piętnastu minutach powolnego krążenia po pełnych życia, jasno oświetlonych ulicach wyjechali w końcu na szeroką *glorię*, czyli okrągły, brukowany plac, otoczony latarniami o wielu kloszach. To była Puerta Mayor, jedna z „bram” miasta, chociaż nie mogło się ono pochwalić żadnymi murami ani prawdziwą bramą. Naprzeciwko, po drugiej jego stronie, znajdował się główny wjazd do Bosque, wielkiego parku przyrodniczego imitującego paryski Lasek Buloński, nieme świadectwo dni, gdy Paryż dyktował styl miastom podobnie jak damskiej modzie.

Główna droga w Bosque, gdy do niego wjechali, pełna była taksówek, kabrioletów i limuzyn. Strumień ruchu był właściwie równie silny jak na niektórych arteriach miasta, które zostawili za sobą.

– I co ma w tym być złego? – pytała z zachwytem Sally. – Widzisz w tym lesie cokolwiek opustoszałego albo strasznego? Chętnie bym powiedziała coś temu recepcjoniście do słuchu!

– Jest równie opustoszały jak Times Square w wieczór wyborów – przyznała, chichocząc, Marjorie.

– Co za noc! – radowała się Sally. Opuściła podwieszane siedzenie naprzeciwko, położyła na nim obie stopy i wbiła wzrok w górę i w tył na księżyc jak jabłko granatu, który zaczynał właśnie wspinać się poprzez drzewa na otwarte niebo.

Po chwili tu i tam zaczęły na nie wyzierać niezliczone kolorowe kule światła, niczym zabawkowe balony zawieszane nisko nad ziemią na końcu napiętych, pionowych sznurków. Powóz skręcił na własny, boczny tor, drzewa się przeredziły i przed ich oczami rozrósł się bezmiar tych kul-latarni, niczym dyndająca do góry nogami rabata.

Poniżej rozciągało się morze stolików pod gołym niebem, skupionych wokół pawilonu, otwartego po bokach, w którym stały kolejne stoliki. A przy

wszystkich, zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz, siedział paplający z ożywieniem, typowo latynoski plenerowy tłum. Nostalgiczne zawrodoenie tanga porzmiwowało bezcieleśnie w nocnym powietrzu, zdając się nie posiadać źródła, a to, że ci wyprostowani pod dachem pawilonu, skupieni w małej, zwartej grupce, tańczą, a nie tylko stoją między stolikami, można było poznać jedynie dzięki temu, że pary stały zwrócone twarzami do siebie.

– No – zaczęła Sally, kiedy w końcu dostały stół daleko na obrzeżach – to jest dopiero coś. Możesz sobie zabrać swoje duszne miejskie kluby nocne. Spójrz na to. – Podniosła liść, który spadł z góry na obrus, i uniosła go niemal z czcią, by Marjorie mogła go obejrzeć.

– Sally, którą trudno zadowolić, która ciągle narzeka – zauważyła Marjorie, mając na myśli coś zupełnie przeciwnego.

Sally w każdej sytuacji była dobrą towarzyszką, z którą przyjemnie się wychodziło; to przede wszystkim dlatego wybrały się w tę podróż razem. Dzisiaj była w szczególnie dobrej formie.

– Proszę, proszę, przyglądają się nam! – ucieszyła się po chwili, ani trochę nie zmieszana. – To pewnie bardzo *déclassée*, że przyjechałyśmy tu same.

– Wiesz, że nie o to chodzi – droczyła się z nią Marjorie. – To pewnie przez tę twoją marchewkową czuprynę i śmieszna mała mordkę, która spod niej wygląda. – Przesunęła ku niej zegarek. – Jesteś piękna, moja droga...

Sally zerknęła na jedną z latarni. – Muszę ci być winna jakieś pieniądze – orzekła. – Próbuję sobie właśnie przypomnieć. To jedyne możliwe wytłumaczenie. No dobrze, ty też jesteś piękna, niech ci będzie. Ja jestem piękna, ty jesteś piękna, i co nam z tego? Dwie samotne stare panny, w wieku dwudziestu czterech i dwudziestu pięciu lat, zupełnie same pośrodku południowoamerykańskiej nocy.

– Nie powinnaś była tego mówić – oznajmiła Marjorie trzymanym na wzdzy głosem, śmiejąc się bezgłośnie. – Nie podnoś wzroku, ale właśnie mamy zostać zaczepione.

Był doskonały i kompletny, łącznie z białymi glansowanymi rękawiczkami. Ukłonił się nisko między nimi. – Czy jedna z seńorit zechce wyświadczyć mi ten honor i zatańczy ze mną?

Kącik ust Sally drgał, mimo wszelkich wysiłków panowania nad nim. Choć mężczyzna stał blisko, udało jej się być słyszalną dla przyjaciółki z zachowaniem

pozorów nieodzywania się. – Coś podobnego! – szepnęła. – Au! A co to było? – krzyknęła niespieszona chwilę później, gdy czubek buta przyjaciółki trafił ją w podbicie.

Marjorie widziała, że będzie musiała odpowiedzieć za nie obie. – Nie, dziękujemy – przemówiła z całą powagą, na jaką potrafiła się zdobyć.

– Proszę wybaczyć – odparł sztywno tamten. Skłonił się raz jeszcze i odszedł.

– Zraniłaś uczucia tego biedaka – zbesztła przyjaciółkę Marjorie, przytrzymując chusteczkę z boku ust, by ukryć śmiech, którym zaraziła się od tamtej.

Obie wpadły w jeden z tych nastrojów płochej, bezpodstawnej wesołości, jaka czasem dopada dwie samotne kobiety; śmiały się razem z niczego, z siebie nawzajem i pobudzane do śmiechu przez siebie nawzajem.

– Myślałam, że jesteś dzisiaj nastrojona romantycznie?

– Owszem – odparła Sally, kiwając głową – ale nie podobają mi się faceci z pastą do butów na włosach.

To wywołało kolejny gejzer wesołości.

– Czy oni są zrzeszeni w jakimś związku? Zanim się zorientujemy, zaczną pikietować nasz stolik.

– No, to by dopiero wyglądało zabawnie – wyobraziła sobie Marjorie. – Trzech czy czterech trzymających transparenty i poruszających się przed nami w tył i w przód tanecznym krokiem... – Obraz, który udało jej się opisać, stał się okazją do jeszcze jednego ataku.

– Słuchaj, napijmy się wina pod te żarty! – zarządziła Sally, przywołując skinieniem kelnera.

– Stary P. J, powinien teraz zobaczyć swoją pracowitą sekretarkę! – napawała się Marjorie parę minut później, przechylając czerwony kieliszek w stronę przyjaciółki.

Sally odwróciła się i spojrzała w przeciwną stronę, w ciemność na obrzeżach, daleko od tłumu, chyba po raz pierwszy, odkąd zajęły miejsca. – Wiesz, ono może właśnie siedzieć gdzieś tam w ukryciu i obserwować nas poprzez drzewa – rzuciła szelmowsko. – Jak myślisz, czy one wybierają sobie zawczasu, kto będzie ich następnym posiłkiem, i potem idą za nim? Słyszałam kiedyś taką historię...

– Brr! Przestań! – błagała Marjorie. – Już zaczynałam o tym zapominać. Musiałaś mi przypomnieć...

– Zdaje się, że nikt inny tutaj nie bierze tego na poważnie, czemu my miałybyśmy? Spójrz, jaki tu dzisiaj tłum. Samo to dowodzi, że to tylko jakaś bezpodstawna plotka.

Pod tymi zawieszonymi na drzewach latarenkami o wesołych kolorach, przy dźwiękach muzyki, brzęku kieliszków, krzątaniu kelnerów, ławicach mężczyzn i kobiet w strojach wieczorowych otaczających je z każdej strony, Marjorie musiała przyznać przed sobą, że trudno było tak naprawdę uwierzyć, że akurat w tym momencie gdzieś w okolicach miasta czai się gwałtowna śmierć, na czterech aksamitnych, bezlitosnych łapach.

Zanim były gotowe do wyjścia, godzinę później, zdążyły już obie znowu zapomnieć o sprawie. Dotarły w naprawdę dobrych humorach do miejsca, gdzie czekała na nie dorożka, nadal śmiejąc się co chwila i z równie drobnych powodów co dotąd.

– Podobał mi się ten lokal. Cieszysz się, że się do niego wybrałyśmy?

– Za nic na świecie nie chciałabym, żeby mnie to ominęło – zgodziła się Marjorie.

– Proszę nas trochę powozić po okolicy, tylko powoli – poleciała Sally woźnicy, gdy wsiadły. – Szkoda wracać do hotelu tak wcześnie. Alez tu jest pięknie w świetle księżycy...

– Żeby tylko rachunek za bardzo nie urósł – ostrzegła Marjorie.

– Daj spokój, dzisiaj moja kolej. A zresztą, po co ma się urlop?

Obok nich otworzyła się pusta boczna alejka.

– Proszę tam skręcić – kazała woźnicy. – Proszę nas zabrać z głównej drogi, za dużo tu spalin od tego całego ruchu.

W alejce nie było ani jednego pojazdu w zasięgu wzroku. Ciągnęła się ona przed nimi jałowo w noc, prosto jak od linijki.

– Proszę, czy tak nie jest o wiele lepiej? Mamy ją całą tylko dla siebie – orzekła uparta Sally. – Lubię odkrywać nowe drogi, a ty?

– Mnie tam jest wszystko jedno – musiała przyznać Marjorie. Ta droga była po prostu trochę *za bardzo bez życia*, by się jej podobać, ale nie chciała psuć zabawy przyjaciółce.

Po chwili alejka zaczęła wyginać się powoli w lewo, a w miarę jej zakręcania spomiędzy drzew wyłaniała się tafla polerowanego srebra, lśniąca jak lustro pod księżycem.

– Spójrz na to jezioro i łabędzie! – entuzjazmowała się Sally. – Widziałas kiedyś coś tak cudnego?

Koń szedł wolnym krokiem. Po chwili drzewa między jeziorem a nimi przeredziły się i zupełnie zanikły i pomiędzy wodą a drogą zostało już tylko trawiaste, nachylone zbocze.

– Wsiądźmy i przejdźmy się na skraj jeziora – brzmiała kolejna propozycja Sally. – Rozprostujemy trochę nogi po tym długim siedzeniu. Marzę o przechadzce brzegiem wody, a ty?

– Nie o tej porze nocy – odparła bez zapału Marjorie. – Zawróćmy i jedźmy tam, gdzie jest więcej ludzi. Robi się późno, a my jesteśmy strasznie daleko...

– Nie bądź taka. Jesteś już dużą dziewczynką. Nic nie może się nam stać, jeśli tylko pozostaniemy w zasięgu wzroku woźnicy, nie zapuścimy się za daleko. Obiecuję ci, że cały czas będziemy widzieć dorożkę. – Wystawiła już jedną stopę z pojazdu.

Marjorie jeszcze raz się poddała, ale tym razem to woźnica zaczął trajkotać do nich ze sprzeciwem, kiedy zorientował się, że chcą wysiadać.

– Co on mówi? – spytała Marjorie.

– Pewnie mniej więcej to samo, co wszyscy inni. Najprawdopodobniej radzi nam nie wysiadać z powozu i nie chodzić tutaj pieszo. Myślę, że to taki ogólny spisek. Ci przewrażliwieni Latynosi!

– Ale oni tu przecież mieszkają – zauważyła Marjorie.

Lecz jej ruda impulsywna towarzyszka nie czekała, już szła po łagodnie nachylonej murawie w stronę jeziora poniżej, połyskującego oślepiająco w poświacie księżyca. Marjorie odwróciła się do woźnicy, napomniała go jednym słowem hiszpańskim i tuzinem angielskich, czyli w zwykłej dla siebie proporcji: – *Espera*. Czekasz. Nie waż się stąd ruszać, zrozumiano? Za chwilę wrócimy.

Pokiwał głową w pełnym dezaprobaty potwierdzeniu, ale koń tymczasem niespokojnie grzebał kopytem o ziemię i przesuwiał się między postronkami. Woźnica musiał ścisnąć mocniej cugle, by go uspokoić. Zobaczyła, że uszy zwierzęcia stoją uniesione sztywno, jakby usłyszało czy wyczuło ono coś,

czego ludzie obok byli jeszcze nieświadomi.

– Sal – zawołała w dół zbocza. – Chyba powinnyśmy wsiąść z powrotem. Nie podoba mi się zachowanie tego konia. – Ale nawet próba zmiany decyzji przyjaciółki, sprowadzenia jej z powrotem, sama w sobie przenosiła i ją mimo woli w dół, w kierunku brzegu jeziora.

Sally już do niego dotarła, przysiadła tam na piętach, krusząc jakieś poobiednie wafle, które zabrała ze sobą z restauracji, i trzymając je nęcąco w ręce wyciągniętej w kierunku flotyli wspaniałych, czarnych łabędzi, które napływały ze wszystkich stron. – Czy nie są cudne? – zawołała przez ramię, nie zważając na otoczenie. – Zejdźże na dół, czego się boisz?

Marjorie kierowała się do niej, w dół, nadal tylko po to, by przekonać ją do powrotu. – Daj spokój, Sal – powiedziała rozsądnie. – Coś sprawia, że koń się denerwuje. Chodźmy stąd.

– Och, pewnie po prostu chce wracać do stajni, wiesz, jakie są konie. – Nadal wydawała okruszki. – Popatrz, jak ze sobą walczą. To się nazywa przepychanka!

Nagle wszystkie zaczęły się cofać, pędzić z powrotem na środek jeziora równie chyżo, jak przed chwilą ciągnęły w stronę brzegu.

– Co się z nimi dzieje, czemu tak robią? – spytała, nic nie rozumiejąc, Sally.

– Coś je wystraszyło, i to nie byliśmy my. A przed chwilą praktycznie wyrywały ci te okruszki z ręki... *Mówiłam*, że powinnyśmy stąd iść! – Zaczęła ciągnąć tamtą nagląco za ramię, by sprawić, żeby się ruszyła. – To jest właśnie takie miejsce, przed którymi nas ostrzegano.

– Och, no dobra – zgodziła się ze znużeniem Sally. Rozprostowała stopy i otrzepała przód sukienki. – Nie musisz mnie tak strofować.

Obróciły się z powrotem w stronę drogi w górze akurat na czas, by zobaczyć, jak koń staje gwałtownie dęba, tak mocno, że niemal pionowo w uprzęży. Zarżał z przeraźliwym lękiem. Woźnica, niemal przewrócony, wydał okrzyk popłochu. Zwierzę opadło z powrotem na cztery nogi, krzesząc iskry kopytami, po czym pomknęło naprzód, uciekając im sprzed nosa, podczas gdy one stały bezradnie jak wrośnięte. Po chwili zarówno szybki tętent kopyt jak i pełne emocji pokrzykiwania woźnicy zamarły daleko w alei.

Moment później podbiegły do jej skraju i stanęły przerażone, patrząc na jej pustą, upstrzoną światłem księżycą długość. Jedynym śladem, jaki został po dorożce, była odrobina błękitnego kurzu osiadającego powoli w miejscach, które przemierzyła, pędząc na oślep.

Dłonie Marjorie uderzyły o jej boki, odbiły się od nich. – I co, zadowolona? – rzuciła uszczypliwie. – Ty chciałaś wysiąść i odejść od dorożki.

– Skąd miałam wiedzieć, że zdarzy się coś takiego? Za chwilę czy dwie woźnica zapanuje nad koniem i wróci po nas. Tylko w ten sposób może dostać pieniądze za całonocną wyprawę.

Marjorie jednak nie patrzyła na sprawę z takim spokojem. – Cóż, nie będziemy *tutaj* na niego czekać! – poinformowała ostro współtowarzyszkę. – Jest tu coś, czego być nie powinno, i wiem, co mówię. Najpierw łabędzie, potem koń...

Ruszyły szybkim krokiem po poboczu drogi, w tym samym kierunku, który obrał spłoszony koń. Chociaż nie miały pojęcia, dokąd droga prowadzi, trzymanie się jej było ich jedyną nadzieją na napotkanie dorożki, gdy ta będzie wracała.

Zanurzały się na przemian w cieniu i księżycowej poświacie. Po jakimś czasie makadamowa nawierzchnia stała się przykra dla ich stóp, obutych w wieczorowe pantofle o cienkich podszewkach. Najpierw jedna, potem druga przeszła na darń poza drogą, gdzie łatwiej się stąpało. Przez to musiały się jednak ustawić gęsiego, bo drzewa, korzenie drzew i krzewy miejscami podchodziły całkiem blisko pasa drogi. Marjorie szła przodem.

Teraz ich kroki opadały bezgłośnie na miękką ziemię. Dopiero po kilku minutach takiego marszu do ich świadomości dotarła pewna rzecz. Z listowia nieco z boku i trochę za nimi dochodził cichy, powtarzający się szelest, jakby szmerzący ślizg. Zdawał się dotrzymywać im kroku. Był bardzo subtelny, niemal niesłyszalny. Urywał się, po czym rozbrzmiewał znowu.

Marjorie na chwilę wstrzymała krok, by móc szepnąć przez ramię do dziewczyny za nią, nie podnosząc głosu: – Słyszysz to? Coś albo ktoś idzie tamtędy za nami. Mówiłam ci, że jest tutaj coś, czego być nie powinno...

Obie stanęły w miejscu, instynktownie, by lepiej się przysłuchać. Ale teraz sam dźwięk też się urwał, jakby naśladowując ich działania. Nastąpiła przerwa

pulsującej ciszy. Po chwili trzasnęła zdradliwie gałązka, jakby powoli przełamywana na pół pod jakimś zatrzymanym ciężarem.

Cała wcześniejsza nonszalancja Sally zdążyła ją już opuścić. – Och, czemu cię nie słuchałam! – pisnęła dziewczyna. Pchnęła przyjaciółkę do przodu. – Nie stójmy tak tutaj, czekając na to, cokolwiek to jest! Biegnij, szybko! Uciekajmy stąd!

Zgodnie pomknęły prędko poboczem długiej, bezlitośnie pustej drogi, znowu jedna za drugą. Gdy tylko się ruszyły, szelest ponownie się rozległ za nimi, tym razem szybszy. Rządził się tym, co one robiły, nie dało się tego nie zauważyć. To był prześladowca, a one były jego ofiarami. Czasami odgłos przechodził w łomot, wyraźnie słyszalny mimo tupotu ich nóg i gorącego, przerażonego oddechu. Szereg susów, które odrywały się od ziemi i przedzierały gwałtownie przez przeszkodę listowia za każdym skokiem.

– Krzycz – wydyszała Sally. – Może ktoś nas usłyszy!

Marjorie nie potrzebowała polecenia. – Ratunku! – zawodziła z przerażeniem – Pomocy! – Ale za bardzo już jej brakło tchu od długiego biegu, by była w stanie wydać z siebie coś więcej niż słaby, nieskładny pisk.

Szelest i łomot zmieniały teraz kierunek, przesuwały się powoli, lecz niezawodnie w ich stronę, zbliżały się do nich ukośnie, zamiast po prostu trzymać się równolegle na odległość. W wielu miejscach poszycie było tak rzadkie, że mogłyby zobaczyć, kto lub co to jest, ale to oznaczałoby konieczność zwolnienia, by obrócić głowę, a obie były zbyt przerażone i zajęte ucieczką. Albo może instynktownie zdawały sobie sprawę, że widok tego czegoś mógłby tak zwiększyć ich przerażenie, że pozbawiłoby je ono zupełnie wszelkiej władzy w kończynach.

Marjorie z nich dwóch biegła lepiej. Była wyższa i miała dłuższy tułów. Dwa razy złapała się na tym, że powoli oddała się od tamtej, zupełnie niechcący; najpierw o pięć jardów, potem dziesięć, potem więcej. Dwa razy zatrzymywała się, czekała, aż luka się zamknie, próbowała ciągnąć przyjaciółkę za rękę. Sally odtrąciła proponowane połączenie, być może obawiając się, że będzie utrudniało bieg im obu.

– Nic mi nie jest – sapnęła dzielnie. – Biegnij dalej...!

Obie chwiałały się już na nogach z wyczerpania, zataczały się, niemal padając. A droga zdawała się nie mieć końca, pomoc nie nadchodziła, potworność za nimi zdawała się nigdy nie męczyć.

Była świadoma, że Sally znowu zaczęła zostawać w tyle. Jej cień, który dotąd podskakiwał nad ramieniem Marjorie, w miejscach zalanych światłem księżyca, przestał jej sięgać, już go nie widziała. Odgłos jej udręczonego oddechu też nie brzmiał już za nią tak wyraźnie.

Choć Marjorie sama nie mogła już dłużej biec. W boku czuła nóż, była krańcowo wyczerpana. – Nie dam rady dalej – wykaszała. – Muszę się zatrzymać. Ty biegnij...

Zatoczyła się na bok, by zrobić miejsce przyjaciółce, i stała, chwiejąc się i kiwając nieprzytomnie na drodze, jak pijana, od długiego biegu.

Droga za nią była jednak pusta, w poświacie księżyca i cieniu, daleko jak okiem sięgnąć. Nie było już na niej Sally. Została tylko cisza, na niej i w otaczających ją zaroślach. Cisza, księżyc i cień.

Nie, niezupełnie pusta. Na poboczu, wyzierając spomiędzy krzewów, leżał na ziemi jakiś strzęp, dwadzieścia czy trzydzieści jardów od niej. Skraj sukni. Róg dołu części garderoby nieruchomy na ziemi.

Na jej oczach wciągnięto ją powoli, tę przeoczoną falbanę, zabrano niespiesznie z widoku w sposób wskazujący, że nie brała w tym już udziału wola noszącej ją osoby. Ostatnie szarpnięcie i zniknęła.

Ani odgłosu, ani załkania, ani szeptu.

Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się zemdleć. Jej zmysły prawdopodobnie były przeciążone od biegu, co wywołało zawrót głowy. Wiedziała, że chce tam wrócić, pomóc przyjaciółce. Zamiast tego zorientowała się, że leży rozciągnięta na ziemi, bez żadnego odczucia, że upadła czy uderzyła o grunt. Jej oczy również zdawały się pozostawać cały czas otwarte. Ale widziała tylko jakiś wzorek z kul czy dysków wszelkich rozmiarów, wielkich, średnich i małych, unoszących się powoli w prostych liniach jak bąbelki szampana.

Kwadrans później woźnica, wracający po nie z opóźnieniem ze swym okiełznanym koniem, znalazł ją błakającą się w oszołomieniu na poboczu drogi w pobliżu miejsca, gdzie je zostawił. Na jej wystrzępionej na ciernistych krzakach sukni były plamki krwi, włosy opadały jej w nieładzie na ramiona i

trzymała rękę przyciśniętą w roztargnieniu w poprzek czoła. Chciała go nawet minąć, jakby nie rozpoznała w ogóle dorożki, kiedy ją zobaczyła.

Musiał zeskoczyć na ziemię obok niej i wziąć za rękę, by ją zatrzymać. – Señorita, co się stało? – zawołał przerażony.

– Proszę mnie zabrać na policję – szepnęła z dziwnym spokojem. – Moja przyjaciółka leży tam, rozszarpana na kawałki.

Robles powiedział przez telefon: – Łatwiej by było, gdybyśmy mieli tu kogoś, kto mówi po angielsku. Jest gdzieś policyjny tłumacz, ale nie mogę go zlokalizować. Tymczasem podajemy jej środki wzmacniające i próbujemy leczyć ze wstrząsu.

Manning był w *comandancii* przed upływem dziesięciu minut.

Dziewczyna siedziała w biurze Roblesa. Widać było, że jeszcze nie doszła do siebie, poznał to na pierwszy rzut oka. A jednak nie płakała ani nawet nie była już zauważalnie zdenerwowana. Zdawała się być nieustannie pogrążona w myślach. Wydawało się, jakby spłynął na nią dziwny, lodowaty spokój. Miała zarzuconą na ramiona jak pelerynę kurtkę od policyjnego munduru, zakrywającą krwawe bryzgi i rozdarcia w górnej części sukni. Rozwiązane włosy, nie uczesane ponownie, były przerzucone do tyłu za ramiona. Dzięki temu wyglądała mniej więcej na szesnastolatkę. Nie było przy niej żadnej innej kobiety, jako że do miejskiego wydziału policji nie przydzielano jeszcze policjantek.

Jego pierwsza myśl była taka sama, jak pierwsza myśl każdego na widok Marjorie King: co za piękna osoba. Ale potem nie myślał o tym więcej – przynajmniej na razie. Nie przyszedł tam, oczywiście, by podziwiać kobiecą urodę.

Nie zostali przedstawieni. Po prostu zadał jej po angielsku jakieś taktowne pytanie i to wywołało zrelacjonowanie historii. Potem powtórzył ją swym płynnym, jeśli nawet nieco ordynarnym i niegramatycznym hiszpańskim dla Roblesa i zapisano ją w stenogramie. Nawet wyznanie tego jemu, jak zauważył, nie było w stanie zmienić odrętwienia umysłu, jakie ją opanowało. Było tak, jakby mówiła z pamięci, bez zrozumienia znaczenia słów. Przypominało mu to przypadki nerwicy frontowej, o których słyszał, której efekty bywały opóźnione o dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin.

Robles i jego kamaryla specjalistów byli teraz gotowi udać się na scenę zajścia, która naturalnie znajdowała się już od dłuższego czasu pod nadzorem policji w oczekiwaniu na jego przyjazd.

– Nie będzie konieczne, żeby... – zaczął zapewniać dziewczynę przez Manninga, ale ku zaskoczeniu wszystkich ta wyraziła życzenie zabrania się z nimi.

– Nie wyrządzi mi to większej szkody, niż zdążyło do tej pory – powiedziała, podnosząc wzrok na Manninga.

Wiedział, że zwraca się do niego i do pozostałych, nie widząc tak naprawdę ich twarzy, nie rozróżniając ich w ogóle osobowo.

– Nie chcę wracać do tamtego pokoju i być w nim sama. W każdym razie jeszcze nie. Mogę posiedzieć w aucie, nie wysiadać z niego.

W końcu, skoro, jak zauważyła, nie było jej gorzej w jednym miejscu niż w innym, pozwolili jej sobie towarzyszyć. Usiadła z tyłu, między Manningiem i Roblesem. Ten, którego miejsce zajęła, jechał na zewnątrz, przytrzymując się górnej części ramy drzwi.

Jazda do Bosque była ponura i przygnębiająca. Wszyscy czuli się ciężko i niedobrze i byli sfrustrowani, z minami przygaszonymi markotnie. Robles nie miał nawet serca, by za bardzo podokuczać Manningowi – za jego błąd w całej teorii, który to zdarzenie zdawało się potwierdzać raz na zawsze – choć niewątpliwie miał do tego pełne prawo.

– A więc, jak widzisz, miałem rację – powiedział tylko, dziwnie apatycznym półgłosem zza profilu Marjorie. – Zatrzymaliśmy Cardozo, a to stało się znowu, podczas gdy on akurat siedzi w areszcie. Muszę kazać go natychmiast zwolnić.

– Pamiętasz być może, że nie wysuwałem wobec niego żadnych bezpośrednich oskarżeń – taką uwagę zadowolił się Amerykanin. – Ale fakt, że to nie Cardozo, nie znaczy od razu, że to nie czło...

Nie dokończył zdania. To nie była odpowiednia pora na kłótnie o punkty widzenia, wobec dojmującego żalu dziewczyny.

– Jest pani pewna, że nic pani nie jest? – spytał ją z troską, gdy zrobili półkole wokół *gloriety* Puerta Mayor, po czym wyjechali z miasta.

– Ja sama w ogóle nie zostałam ranna – odparła po prostu. – Te plamy pochodzą z gałęzi i liści, które mnie pobrudziły, kiedy weszłam tam... gdzie ona była.

Robles pojął sens słów, obserwując jej gestykulację. – Weszła pani *tam*, od razu potem? – ze zdumienia zaparło mu dech. – Ale czy nie zdawała pani sobie sprawy, że zwierzę równie dobrze mogło zaatakować też panią? Na pewno nadal czaiło się w pobliżu.

Spojrzała na nich obu, jakby nie rozumiała, kiedy Manning powtórzył jej wypowiedź inspektora. – Ale ona była moją przyjaciółką – powiedziała. – Zapomniałam o strachu. Nie porzuca się przyjaciół... nawet gdy jest już za późno.

– *Es admirable*. Zachwycająca – skomentował cicho Robles, jakby na stronie.

– No jasne – Amerykanin z zapalem pokiwał głową.

– Widziała ją pani? – Wymienili skonsternowane spojrzenia, wiedząc, jak to było za każdym z trzech poprzednich razów.

– Wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że... już po wszystkim – szepnęła. – Było ciemno i nie musiałam widzieć wiele. Nie zaciągnął jej zbyt daleko, tylko trochę dalej od drogi, w jakieś paprocie. Ja... widziałam, jak wystaje z nich jej stopa.

Własne problemy Roblesa znów zdominowały jego umysł. W desperacji przyłożył pięść do czoła. – Równie dobrze mogę jutro złożyć dymisję – mruknął do Manninga. – Wszyscy dostaliśmy ostrzeżenie, słyszałeś, co powiedział...

– Przynajmniej masz teraz coś więcej niż poprzednio, czym możesz się kierować – Manning próbował dodać mu otuchy. – Po raz pierwszy masz żywego świadka jednego z tych ataków. Panna King może będzie mogła ci pomóc w jakiś nieprzewidziany sposób.

– Ale nam nie potrzeba żadnych informacji na ten temat! – upierał się zagorzale Robles. – Bo jakich informacji nam trzeba? To nie jest sprawa o morderstwo ze sprawcą-człowiekiem, opierająca się na takich elementach jak identyfikacja, świadkowie, alibi, odciski palców. Chodzi tylko o to, że jak dotąd nie byliśmy w stanie złapać tej bestii!

– Co za uparty osioł! – zazgrzytał zapalczywie Manning, odwracając głowę.

– A ty ślepy głupiec! – warknęła inspektor.

Ktoś wyszedł na drogę przed nimi i pomachał kieszonkową latarką, by pokazać, że to tutaj. Auto zatrzymało się na poboczu i wszyscy mężczyźni wysiedli. Dziewczyna została, siedząc na środku przestronnego tylnego siedzenia, wyglądając tam bardzo samotnie. Wpatrywała się suchymi oczami w pustkę,

jak zauważył Manning, posyłając jej ostatnie spojrzenie, gdy szedł za innymi drogą, a potem w zarośla.

Miejsce, gdzie na ich przybycie awangarda czekała dokoła niezbadanych paproci, tworzących maryl, zaznaczała mała konstelacja kieszonkowych latarek, zaledwie kawałek w głąb lasu.

Każdy po kolei podchodził i zaglądał do środka. Znowu było tak samo: atak żarłocznego okrucieństwa, który nie zakończył się wraz ze śmiercią, lecz trwał, nienasycony, długo po niej.

– Ta bestia musi cierpieć na jakiś dżunglowy odpowiednik wścieklizny – orzekł z drżeniem jeden z mężczyzn. – Zastrzelić ją to nie dość, powinno się ją przypalać na wolnym ogniu.

– Najpierw trzeba ją złapać – zawrzał Robles.

On i Manning wyłonili się z zarośli i podeszli do samochodu.

– Lepiej zabrać stąd dziewczynę, zanim przywiozą silniejsze światła – zasugerował Amerykanin. – I bez tego dość już przeszła.

– Gdzie się pani zatrzymała, panno King?

– W hotelu Inghlaterra.

– Proszę tam pozostać przez następne kilka dni do naszej dyspozycji, to wszystko. Teraz może pani odjechać.

Policyjne auto zawróciło i odjechało z nią. Dwaj mężczyźni cofnęli się znowu w zarośla.

Jeden z podwładnych Roblesa zawołał nagle: – Znalazłem odcisk! I to jaki! – A gdy wszyscy zebrali się pędem wokół niego, łącznie z Manningiem, dodał porozumiewawczo: – Może to zamknie usta naszemu amerykańskiemu przyjacielowi, co, *mi comandante*? – Trzymał latarkę skierowaną nieruchomo na to miejsce. Rosła tam miękka, zielona podściółka z mchu, niedaleko ciała; a w niej – niemal idealny odcisk gigantycznej kociej łapy, coś w rodzaju trójlistnej koniczyny.

Robles zwrócił się do Manninga niemal brutalnie, jakby wylewając na niego swoją frustrację: – *Teraz* powiedz mi, że nie zostawił go jaguar, wyzywam cię!

– Zostawił go jaguar – zgodził się ponuro Manning. Ale chwilę później dodał: – Gra zaszła już trochę za daleko, żebym zmieniał swoje zapatrywania. Widziałem zbyt wiele popierających je poszlak. A teraz to, na przykład: te

dwie dziewczyny biegly jedna za druga, druga prawie tuż za pierwszą. Słyszałeś, co mówiła u ciebie w biurze. Nie usłyszała ani jednego odgłosu. Nie wiedziała nawet, że tamtej nie ma, póki nie odwróciła głowy. I co? Wszystko jedno, jak szybko na nią skoczył, powalił tuż za plecami przyjaciółki, miałyby czas, by wydać przynajmniej śmiertelny krzyk, zadyszeć, zacharzyć. Odgłos samego upadku powinien być słyszalny dla dziewczyny z przodu. Dlaczego nie był? Bo nie *było* upadku. Została *podniesiona*, nie powalona. A jest tylko jeden sposób, w jaki można ją było chwycić dość szybko, by zapobiec obu odgłosom: upadku jej ciała i odruchowemu krzykowi agonii – ten sposób to użycie chwytanych ludzkich rąk, zaciskających się na jej tchawicy, odcinających dźwięk, *unoszących* ją tak, by nie dotykała ziemi, w podszycie.

Robles podszedł do niego z niemal osobistą groźbą. – Czy zdajesz sobie sprawę, że jeden cios tych straszliwych łap mógł roztrzaskać jej czaszkę jak jajko, zabić ją natychmiast?

– Nie dość natychmiast, by nie wydała przynajmniej ostatniego tchnienia. Dźwięk powstaje w gardle, nie w głowie. Można go odciąć wyłącznie przez ściśnięcie samej tchawicy. A poza tym co wtedy ze stłumieniem upadku? Od ciosu się pada. Ją przetransportowano wyprostowaną, mówię ci. Nie powalił jej skok zwierzęcia, została pochwycona w biegu i uniesiona z ziemi – przez coś, co samo było wyprostowane!

– Słyszycie go? Nadal szuka w tym wszystkim człowieka. – Robles skinął na niego obraźliwie kciukiem. Następnie odesłał machnięciem ręki. – Nie marnuj mojego czasu. Dotąd cię szanowałem, ale z czasem robisz się coraz gorszy. Sam sprawiasz, że tracę poważanie dla twojej inteligencji. Na Teresie Delgado znaleźliśmy włosy z futra jaguara. W gardle Conchity Contreras znaleźliśmy ułamany koniuszek jego pazura. Na ziemi wokół nich wszystkich znaleźliśmy odciski podobne do tego. Laboratorium odkryło nawet w ich ranach ślady powodujących zakażenie zarazków, z jakich posiadania pod pazurami znane są te mięsożerne zwierzęta. Czy mamy posadzić ci tę bestię na kolanach, żebyś przyznał, że ona istnieje?!

– Człowieku! – wybuchnął zirytowany Amerykanin. – Masz dookoła znaki, wielkie jak wół, a nie zadajesz sobie trudu, by je zobaczyć, tak cię oślepia ten twój odcisk jak z Robinsona Crusoe! Ja nie mam nawet odznaki, ale je

widzę: czemu ty nie potrafisz? Na przykład spójrz na tę obłamaną gałązkę, zgiętą pod kątem prostym. Co to wam mówi, ludzie?

Robles pogardliwie podwinął wargę na naiwność takiego pytania.

– Zmiotło ją na bok i zgięło przejście jaguara.

– Akurat. A co ten jaguar robił, chodząc wyprostowany na tylnych łapach?

– burknął Manning. – Niech jeden z was stanie tam obok niej. Którykolwiek, wszystko jedno który. Przez te paprocie wszędzie pod nogami trudno się zorientować, jaki jest rzeczywisty poziom gruntu...

Niemal zaskomlą z zadowolenia, gdy dokonano porównania.

– Spójrzcie na to! Jest jeszcze lepiej, niż myślałem. Tam pod paprociami jest zagłębienie, dziura w ziemi! Twój człowiek nie należy do ułomków, a ta zwisająca gałązka jest na poziomie jego ramienia. Cóż to musi być za monstrualny jaguar, żeby obłamać ją na tej wysokości!

Jeśli spodziewał się, że to ich powstrzyma, boleśnie się pomylił.

Robles nie dał mu nawet tej satysfakcji, by się zastanowić, zająknąć przez chwilę, zanim się do niego odezwał.

– *Y que? I co?* – wycedził. – Czy on *musi* posuwać się dokładnie po ziemi? Czy to robak albo wąż? Nie czołgał się płasko na brzuchu. Te dwie dziewczyny były rozpędzone, a on skakał na złamanie karku za nimi. Co robi każdy czworonóg w takim wypadku? Przeskoczył nad tą zapadliną, a jego wygięty grzbiet odepchnął tę gałązkę, złamał ją.

Manning wyrzucił otwarte dłonie w jego stronę. – Możesz się upierać przy tym swoim jaguarze! Proszę cię bardzo. – Zrobił kilka kroków w stronę drogi, zatrzymał się tylko na chwilę, by oddać pożegnalny strzał. – Ale zadaj sobie choć tyle trudu, by prześledzić jego ruchy. Z Callejón de las Sombras, gdzie na początku zniknął, do Pasaje del Diablo w dzielnicy robotniczej. Stamtąd znowu aż do Cmentarza Wszystkich Świętych na południowych obrzeżach miasta. Potem aż na drugą stronę miasta na róg Justicii i San Marco. A stamtąd jeszcze raz z powrotem do Bosque, tutaj na północnej stronie. A przy tym wszystkim ani razu nikt go nie zobaczył! I jeszcze jedno. Wszystkie jego ofiary to kobiety. Nie stare, nawet nie w średnim wieku, tylko same młode dziewczyny. To bardzo bystry jaguar, panowie. Zdaje się specjalizować. – Odwrócił się do nich

nieodwołalnie plecami. – Ale nie ma sensu do was mówić. To tylko zdzieranie gardła po próżnicy. Idę do domu.

– Jestem pewien, że bez ciebie będziemy praktycznie bezradni – zawołał za nim sarkastycznie Robles.

6.

CZARNE ALIBI

Manning z miejsca zaczął podejrzewać, że część bagażu należy do niej, gdy wszedł do Anglaterry z ulicy. Bagaż stał pośrodku wyłożonego płytkami patio, a rzut oka na czerwone „MK” na rogu jednej z walizek potwierdził jego podejrzenie. Zdawało się jednak, że jest ich nadzwyczajnie dużo, i donoszono coraz więcej za każdym razem, gdy piszcząca winda zjeżdżała na dół.

Podszedł do recepcji. – Czy to ta *americana*, ta, której przyjaciółka...?

– Ona i wszyscy inni, señor – oznajmił smętnie recepcjonista. – Hotel pustoszeje, jakby szalała... jak to się mówi?... epidemia. Dwadzieścia trzy pokoje w ciągu ostatnich dwóch godzin...

Manninga interesowało tylko jedno z dwudziestu trzech wymeldowań. – Wie pan może, kiedy odjeżdża?

– We wtorek wsiada na Santa Emilię w Val. – Wzruszył pesymistycznie ramionami. – Trudno jej się dziwić, señor, racja?

– Racja – zgodził się Manning, opuszczając głowę – trudno jej się dziwić. Ja chyba też sobie pójdę. – Wyjął papierosa, popatrzył na niego w zamyśleniu, nie zapalając. Po chwili z powrotem podniósł wzrok. – Ciekaw jestem, czy zechce się ze mną widzieć.

– Spróbuję, señor. Czyje nazwisko mam podać?

Pewnie nie zapamiętała jego nazwiska, pośród całej okropności tamtej nocy. Nie zachowała go w pamięci. Ale podał je i tak.

– Panna King, pan Manning do pani... – Recepcjonista skinął głową. – Pokój dwadzieścia cztery, señor, drugie piętro.

Manning poszedł schodami. Winda nadal była zajęta wypluwaniem z siebie bagażu przy każdym zjeździe na dół. Jak powiedział recepcjonista, zdawał się trwać masowy eksodus.

W rzeczy samej, mijając otwarte okienko nad jakimiś drzwiami na korytarzu drugiego piętra, usłyszał niewątpliwie amerykański głos, kobiecy, mówiący do kogoś: – Wszystko jedno, drogi Harveyu, interesy czy nie interesy. Nie spędzę w tym mieście ani jednej nocy więcej, póki ta bestia grasuje na wolności! Równie dobrze możesz podpisać te papiery na wybrzeżu, kiedy będziemy czekać na odpłynięcie statku...

Tak, panika się szerzyła.

Manning zapukał do numeru 24.

Jej głos powiedział: – Proszę.

Kończyła właśnie pakowanie drobniejszych rzeczy, bagażu podręcznego. Trzy czy cztery torby stały dokoła niej. Miała na sobie biały szlafrok z welwetu, ciasno opięty w talii, opadający szeroko na ziemię. Wyglądała, jakby w ogóle nie spała od tamtej nocy, a na stoliku obok łóżka zauważył kilka buteleczek tabletek na nerwy czy środków uspokajających.

Bładość i cienie wokół oczu sprawiały tylko, że wyglądała jeszcze piękniej. Trzeba być tak młodym jak ona, pomyślał, by cierpieć i nadal wyglądać pięknie. Kiedy miało się kilka lat więcej, cierpienie sprawiało, że wyglądało się po prostu nędznie.

Pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, zanim jeszcze otworzył usta, brzmiała: „Po co ja tu przyszedłem? Nie miałem prawa. Powinienem trzymać się z daleka i zostawić ją w spokoju”.

– Nie pamięta mnie pani – przemówił taktownie. – Jestem tym facetem... no, byłem z nimi tamtej nocy.

– Och – odparła. Nawet samo wspomnienie sprawiło, że się skrzywiła. – Sądziłam, że to ktoś z Expressu, w sprawie mojej rezerwacji i biletów. Nie – przyznała – nie pamiętam pana.

– Naprawdę nie miałem prawa tak pani nachodzić – bąknął taktownie.

– Ależ nic się nie stało. Jestem tu sama i... miło jest mieć do kogo się odezwać we własnym języku. – Była nie tylko szczerą, była niemal wzruszająco wdzięczna. – Wczoraj cały dzień leżałam w łóżku. Wstałam dopiero dzisiaj, bo musiałam... dopełnić pewnych formalności związanych z biedną Sally. – Głos trochę jej zadrżał, gdy wymawiała to imię. – Proszę usiąść, panie Manning. – Zabrała z krzesła stojącą na nim małą kosmetyczkę.

- Nie będę przeszkadzał?
- Najgorszą część pakowania mam za sobą. Zabieram się nocnym pociągiem, podobno odjeżdża dopiero po dziesiątej. Mam mnóstwo czasu... muszę tylko mieć pewność, że się stąd wydostanę... – Po jej twarzy przemknął wyraz niewymownej odrazy. – Tak, muszę tylko mieć pewność, że się stąd wydostanę! – Jej wzrok stał się niemal dziki z emocji.
- Rozumiem, jak się pani czuje – powiedział współczująco.
- Było mi dość ciężko – ciągnęła spokojniejszym głosem, siadając i krzyżując nogi, ale pozbawiając potem swą postawę wszelkich pozorów wytchnienia nieprzerwanym skubaniem tkaniny białego szlafroka tuż nad kolanem. – Musiałam uprzątnąć wszystkie jej rzeczy. Widziałam wymaginowane rozdarcia i strzępy na każdej... – Zagryzła wargę, powstrzymała się przed dokończeniem zdania.
- Czuł się dojmująco niezręcznie, jak zawsze zdarza się to mężczyznom wobec kobiecych emocji.
- A podróż powrotna też nie będzie łatwa. Płynę tym samym statkiem, którym tu razem dotarliśmy i... cóż, wie pan, jak to jest.
- Raczej nie, powiedział niemal niesłyszalnie. Czuł się, jakby miał poskręcane palce dłoni i stóp.
- Tak się cieszyła na ten urlop – ciągnęła po chwili milczenia. – Przez ostatnie kilka tygodni przed wyjazdem wciąż zachodziła do mnie, niemal co drugi wieczór, by pokazać mi jakiś najnowszy nabytek, który chciała dodać do swej garderoby, zaplanować jakiś nowy szczegół. W końcu brała nawet lekcje hiszpańskiego. I żeby tak to się miało skończyć!
- Pomyślał, że może lepiej dla niej będzie, jeśli wszystko to z siebie wyrzuci, zamiast dusić w sobie, nie próbował więc zmieniać tematu.
- Mieszkałyśmy po sąsiedzku, od kiedy byliśmy parą krzywonogich dzieciaków z aparatami na zębach. Chodziłyśmy razem do szkoły, chodziłyśmy razem na tańce. Jej biedna matka czeka tam teraz. A ja muszę wrócić i spojrzeć jej w twarz. Przywieźć ją z powrotem w *trumnie*. – Palcami jednej ręki wykonała przy swoich kształtnych brwiach jakiś gest.
- Telegrafowała pani? – spytał delikatnie.
- Tak. Oczywiście musiałam. Nie napisałam, co dokładnie się wydarzyło.

Nie mogłam się do tego zmusić. Nie na taśmach dalekopisu. – Urwała, po czym dodała z zadumą: – W tym, co się naprawdę stało, jest coś, co się po prostu nie da opisać.

Gdybyś tylko wiedziała, zgodził się niestyszalnie.

– Dałam do zrozumienia, że to zapalenie płuc. A teraz, kiedy rzeczywiście wrócę, będę musiała im powiedzieć jeszcze jedno... – Głos jej się urwał, a w ciszy on wstał, by ruszyć do wyjścia.

Naprawdę zamierzał odejść bez słowa, nie poruszając myśli, z którą tu szedł. Ale nieoczekiwanie, kiedy był już przy drzwiach, otworzyła przed nim szansę, na którą przestał już mieć nadzieję.

– Nie złapali go jeszcze, prawda? – spytała.

– Nie, nie złapali – odparł, odwracając się i spoglądając jej prosto w oczy. – I nie złapią.

– Dlaczego pan tak mówi?

– Bo, panno King, to nie jaguar – oznajmił spokojnie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego bacznie. Widział, że jej i tak mizerna twarz blednie jeszcze bardziej, na jego oczach, podczas gdy znaczenie jego słów docierało do niej ze straszną opieszałością.

– O nie – skrzywiła się w końcu, jakby ją zemdliło, przeciągając po ustach grzbietem dłoni – nie mogłabym znieść takiej myśli. Jeśli coś mogło by sprawić, by było jeszcze gorzej... to właśnie to.

– Mam mówić dalej czy woli pani, bym tego nie robił?

Ale pytanie było zbędne, widział, że szkoda już się stała. Dziewczyna po prostu wciąż wpatrywała się w niego w zamartwym, pooranym przerażeniu. Jeśli on teraz przestanie mówić, tak ją z tym wszystkim zostawi.

Ściszył głos. – To człowiek. Nikt inny w Ciudad Real w to nie wierzy, tylko ja. Mówię to teraz i będę tak mówił... o każdym czasie, w każdym miejscu, zawsze. To się stało już trzy razy przed tamtą nocą. Nie wiem, czy pani o tym wie; może starano się, by się to nie przedostało do wiadomości turystów ze względu na sezon. Ale pośród nas, tutejszych, powszechnie o tym wiadomo.

– Teraz pamiętam, że recepcjonista próbował nas tamtego wieczora ostrzec. Ale w bardzo zawoalowany sposób, nie mówiąc otwarcie, o co mu chodzi...

– Sądzi pani, że będzie potrafiła to znieść, jeśli ja...?

– Tak, chyba chcę, żeby pan to zrobił.

Nim skończył, przedstawił jej każdy argument, o jakim kiedykolwiek wspomniał Roblesowi, od początku do końca; każdy szczegół, każdy dowód.

– Jestem pewny, że mam słuszność, muszę mieć! – powiedział, klepiąc się mocno po udzie. – Ale nie potrafię ich przekonać, by mnie posłuchali. Są tak samo pewni swoich racji, jak ja moich. A to oni są policją, a ja tylko... facetem nie grającym w niczyjej drużynie.

Wzięła głęboki, aż drżący wdech. Dobrze to zniosła. Nawet lepiej, niż się spodziewał. Być może dlatego, że przedstawiono jej sprawę w sposób obiektywny, a nie w introspekcji. W oczach miała przerażenie, ale i coś jeszcze; błysk czegoś stalowego, czego wcześniej tam nie było. Nazwijcie to nienawiścią, nazwijcie to furią. Nie nienawidzi się tak bezrozumnych zwierząt.

Nie wiedział, czy przekonał ją, czy nie. Przez chwilę czy dwie nie odpowiadała. W końcu powiedziała zduszonym głosem: – Pomyśleć, że istota ludzka, stworzenie nazywające siebie człowiekiem... – I to właśnie była odpowiedź.

Podszedł do otwartych, sięgających podłogi okien, przy których stała Sally, wyglądając na zewnątrz, zaledwie dwa wieczory wcześniej, dokładnie o tej samej porze. Poniżej jego oczom ukazało się miasto, zdobione klejnotami migoczących świateł. Długie perspektywy głównych alei zdawał się zamazywać srebrny talk, a katedra eksponowała swe wdzięczne bliźniacze wieże, czarne na tle wschodzącego morelowego księżyca idącego w górę nad wzgórzami.

– Ładny widok, prawda? – rzucił, odwracając się do niej. – Ale tam w dole, jedną z tych uroczych uliczek, które stąd widać, dziś w nocy będzie szła jakaś młoda dziewczyna. Albo będzie stała, czekając na ukochanego w jakimś odosobnionym, romantycznym miejscu. Albo może tylko odłączy się na parę chwil od rozbawionego towarzystwa, wyjdzie na taras albo do ogrodu, by zaczerpnąć powietrza. A pani i ja wiemy, co będzie dalej! Wszystko, co po niej zostanie, to ohydne resztki na ziemi. A coś, co myśli tak jak my, będzie się napawać, bezpieczne w swej kryjówce – podczas gdy przekłeta, głupia policja chodzi i szuka jaguara za żywopłotami i pod krzewami róż! Jeśli nie tej nocy, to jutro albo pojutrze. Ale to się znowu zdarzy. I znów, i znów, i znów!

– I...? – szepnęła bojaźliwie. Widział, że zmusiła się do zadania tego pytania. – Dlaczego przychodzi pan tutaj i mi to mówi? Już straciłam w ten sposób własną przyjaciółkę. Wyjeżdżam stąd. Dlaczego mówi mi pan, co stanie się z kolejną dziewczyną? Czego pan *ode mnie* chce?

Powiedział jej to krótko i zwięźle. – Chcę, żeby pani była następną dziewczyną. Żeby pani była przynętą dla niego, dla tego czegoś, wszystko jedno, jak go pani nazwie.

Oczy jej się rozszerzyły. Zrobiła krok w tył. – Chyba pan oszalał. Czy pan wie, co pan mówi? I tak nie mogę dość szybko wydostać się z tego zniechęconego miejsca! Nie mogę się doczekać, kiedy odwrócę się do niego plecami! Nie mogę spać w nocy. Mój bagaż już odjechał na statek. Następny odpływa najwcześniej za trzydzieści dni. A pan prosi mnie, bym została tu *sama*, zupełnie sama, po stracie najlepszej przyjaciółki! Pan, obcy, ma tupet wchodzić do mojego pokoju w hotelu i sugerować nie tylko to, ale jeszcze żebym celowo wyszła szukać tego... tej obrzydliwości, próbować go znaleźć, starać się go przyciągnąć. Wszystko, by dać panu satysfakcję udowodnienia jakiejś pańskiej teorii! – Uniosła głos. – Proszę wyjść. Proszę uprzejmie stąd wyjść.

– Już idę, panno King – zgodził się, nie urażony.

– Bardzo proszę – nalegała zimno. – Mogłabym oczekiwać, że będzie pan na tyle delikatny, by zostawić mnie w spokoju. A przynajmniej zwrócić się do kogoś innego. Ale przychodzić do mnie, akurat do mnie... – Resztę przerwało zamknięcie przez nią drzwi za nim.

Za tamtym okienkiem tyrada też nadal trwała, gdy mijał je ponownie w drodze powrotnej. – Cóż, w takim razie po prostu zostaniesz tutaj sam, ostrzegam cię, drogi Harveyu! Ja będę w tym dzisiejszym pociągu o dziesiątej wieczorem i nic mnie przed tym nie powstrzyma...!

Nie miał jej tego za złe, kimkolwiek była. Jeszcze mniej miał za złe Marjorie King. Miał za złe wyłącznie sobie, że w ogóle zwrócił się do niej z taką propozycją; powinien mieć dość wycucia, by zdawać sobie sprawę z tego, w jakim ona musi być stanie po takiej gehennie.

Przeszedł przez wyłożone płytkami lobby. Sterta bagażu pośrodku ani trochę się nie zmniejszyła, co najwyżej jeszcze urosła. Recepcjonista kiwał ze

służbowym zacięciem głową, z przyłożoną do boku twarzy jedną z tych patykowatych, wykończonych niklem słuchawek Ericssona. Manning mimochodem usłyszał, jak tamten pstryka palcami w środku rozmowy, ale minął go już, uznał, że było to skierowane do jednego z chłopców hotelowych.

Przeszedł przez drzwi obrotowe, stanął na chwilę pod markizą nad szklanym wejściem, by poprawić kapelusz. Wyskoczył za nim ciemnoskóry boy, dotknął jego ramienia. – Señor, *dirección*...

Manning wszedł z powrotem do środka i zbliżył się do recepcji.

Pracownik hotelu powiedział: – Panna King, ona zadzwoniła, jak raz, jak pan przechodził. Prosi, żeby pana znowu wysłać na chwilę na górę, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

O nie, nagły, pełen nadziei szeroki uśmiech Manninga odpowiedział za niego, nie miał nic przeciwko temu. Ani trochę. Znowu wszedł po schodach, ale tym razem stawiając szeroko rozstawione nogi na co piąty stopień. Klótnia za wszechobecnym otwartym okienkiem również zdawała się nareszcie zakończona. – Podaj mi swoją piżamę, Harveyu – gruchał ten sam kobiecy głos co przedtem – w mojej walizce jest jeszcze dość miejsca.

Marjorie King otworzyła dla niego drzwi, zanim jeszcze do nich dotarł, po czym zawróciła z powrotem do pokoju. Zaczęła od dziwnie bezsensownej uwagi, kiedy przekroczył próg: – Przed chwilą, po pana wyjściu, zdarzyło się coś dziwnego. Sądziłam, że spakowałam już wszystkie jej rzeczy, ale przypadkiem podeszłam do szafy i natknęłam się na to. – Trzymała wysoko w rękę małą, wełnianą bluzkę czy sweterek z przesadzonymi, bufiastymi rękawami. – Nigdy się z nim nie rozstawała. Sama zrobiła go na drutach, widziałam ją przy tym. Co rano podczas jazdy autobusem. Jednego wieczoru, tamtego wieczoru, zanim wyszłyśmy, ostatnie, co powiedziała, to: „Jak myślisz, mam to wziąć?”

Temat nie wywoływał w niej już łez. Pod spokojnym, przejmującym smutkiem, z jakim mówiła, kryło się twarde jak kamień zdecydowanie.

– Widzi pan, panie Manning, ona była moją najdroższą przyjaciółką. Nie sądzę, żebym kiedyś znalazła kogoś, kto mógłby ją w pełni zastąpić. Próbuję panu powiedzieć, że jeśli zrobił to człowiek, a pana zdaniem zostając, mogłabym się jakoś przydać w... w wyrównaniu za nią rachunków, to... cóż, ja... jestem gotowa być tą *kolejną* dziewczyną.

– Nie chcę, żeby wchodziła w to pani na oślep – ostrzegł ją. – Wiem, że proszę o bardzo wiele, i wiem, że Robles szybko położyłby temu kres, gdyby w ogóle przyłapał mnie na takiej próbie. Wystarczy, że powie pani nie, a nie będę miał do pani żalu. – Czekał, przyglądając się jej.

– Dałam już panu odpowiedź – oznajmiła z cichą determinacją. – Jeśli to człowiek, zostaję, chcę zostać. Jeśli to jaguar, siła natury, coś nieświadomego swych czynów, czego nie można pociągnąć do odpowiedzialności, to całkiem inna sprawa.

– Gdyby to był jaguar, nie musiałaby pani zostawać, złapano by go już dawno, prawdopodobnie w ciągu dwudziestu czterech godzin od jego ucieczki w Callejón.

– Dobrze, to zaczynamy. – Przesunęła się zwinnie do okienka nad drzwiami, zamknęła je szczelnie. Podeszła do telefonu, powiedziała: – Proszę odesłać mój bagaż na górę, zostaję. – A potem, w odpowiedzi na jakieś pytanie, warknęła trzy słowa: – Na czas nieokreślony – po czym odwiesiła słuchawkę. W drodze z powrotem do niego zebrała swe rozpuszczone włosy i spięła je w górze, na tylnej krzywiznie głowy, trochę jakby zbierała się przed bitwą. Dzięki temu zyskała nieco bardziej wyrafinowany wygląd, nie tracąc nic z urody.

– Proszę bardzo! – rzuciła. Usiadła naprzeciwko niego, pochylając z uwagą głowę. Okres beczynnej żaloby miała już za sobą, łatwo to było zauważyć. – Proszę się częstować – dodała mimochodem – jeśli pomogą panu jaśniej myśleć – i wskazała paczkę amerykańskich papierosów.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Ona pierwsza ją przerwała:

– Żeby być przynętą, muszę go do siebie przyciągnąć jako następną. Ja, a nie żadna inna dziewczyna czy kobieta w tym mieście. Jak sobie z tym poradzimy? Jak mogę mieć nadzieję, że uda mi się zwrócić na siebie jego uwagę?

– Nie może pani, jeśli pozostawimy to przypadkowi. Rachunek prawdopodobieństwa za bardzo przemawia przeciwko nam. Mogłaby pani chodzić sama nocą po ulicach, każdej nocy przez następne dziesięć lat, a on mógłby uderzać wszędzie dokoła, ale nigdy się do pani nie zbliżyć. To musi być pułapka. Otóż mój pomysł brzmi następująco. Jeśli on w ogóle czyta gazety, na pewno czyta przynajmniej różne relacje z własnych potworności. Musiał widzieć, że tamtej

nocy byliście we dwie, musiał iść za wami od chwili, gdy obie wyszłyście z restauracji. Zastanawiam się, czy nie ma jakiegoś sposobu, żebym podrzucił gazetom – ale bardzo subtelnie, by on nie wyczuł pułapki – wraz z opowieścią o pani przeżyciach pomysłu, że byłaby pani na tyle lekkomyślna, na tyle nieroztropna, by wrócić w to samo miejsce, bez towarzystwa, nawet po tym, co stało się ostatnim razem. I żeby dodać do tego jeszcze zręczniejszą aluzję, że zobaczyła go pani, że byłaby pani w stanie go zidentyfikować. Tym sposobem powstaną dwa potężne impulsy przyciągające go do pani: jego sam maniakalny popęd, czymkolwiek jest, a także jego instynkt samozachowawczy.

– Ale czy to nie będzie zbyt grubymi nićmi szyte? Czy nawet obłąkany umysł przełknie taką ewentualność?

– Nie będzie łatwo to zaaranżować. Zobaczmy, czy uda nam się coś razem wymyślić... Na początek musi pani wiedzieć, że w przekonaniu tutejszej ludności Amerykanin zdolny jest praktycznie do wszystkiego, ich zdaniem jesteśmy przede wszystkim nieobliczalni. To trochę pomoże. – Stukał po kolei koniuszkami wszystkich rozłożonych palców. – Jest pani pasjonatką spacerów przy księżycu, nie zamierza pani pozwolić, by coś stanęło pani na przeszkodzie... Nie, to jest do niczego.

Oboje zgodnie pokręcili głowami.

– To mu nie powie, gdzie panią znaleźć, nawet jeśli się na to nabierze – dodał.

Spojrzał w bok na porzucony sweter Sally O'Keefe, nagle się ożywił. – Chwileczkę, mam, to podsunęło mi pomysł. Coś należącego do jednej z was. Coś o wartości sentymentalnej, z czym pani po prostu nie może się rozstać. Upuściła to pani tamtej nocy, przy jeziorze. Powiedzmy, medalion, który, będąc dzieckiem, dostała pani od matki. Albo amulet na szczęście. Coś, co koniecznie chce pani odnaleźć przed wyjazdem z miasta.

– Ten pomysł jest lepszy od pierwszego, ale nadal są w nim słabe punkty. Czy nie będą się po mnie spodziewać, że wrócę z mocną obstawą, nawet jeśli w ogóle się tam wybiorę na poszukiwania? I dlaczego miałyby to być w nocy? Dlaczego nie miałabym tam pojechać za dnia?

– Ale on będzie panią obserwował i na własne oczy zobaczy, że wróciła

pani sama i że *rzeczywiście* przyjechała pani nocą. Jakiego lepszego może chcieć dowodu? Chodzi o to, że jego uwaga po raz drugi będzie zwrócona na tamtą okolicę, a tego przede wszystkim chcemy. Jak już będzie się tam czaił, reszta pójdzie automatycznie. Zobaczy, że jest pani sama, potem... – Nie dokończył.

– To się może udać – zgodziła się.

– Pomysł jest słaby, ale może się udać; to i tak najlepsze, na co możemy mieć nadzieję w tej całej sprawie, bez gwarancji, że się uda. Dzięki temu, że byłem agentem prasowym, mam dojścia do większości redakcji w mieście, mogę bez większego trudu załatwić, żeby to wydrukowali. I oczywiście tak, żeby się w tym nie połapali. Tylko mój wywiad z panią tutaj, w hotelu, zaproponowany gazetom, żeby w moich kieszeniach pojawiło się trochę drobnych. Gdyby to doszło do Roblesa, mogę go spławić, mówiąc, że nie ma w tym słowa prawdy, że sam to wszystko wymyśliłem, a pani tak naprawdę jest śmiertelnie przerażona i wyjeżdża z miasta najbliższym pociągiem. Trzeba to zrobić bardzo delikatnie. Nie wolno przesadzić, to by nas zdradziło. Tylko parę rzucanych od niechcenia słów. Tylko tyle, by *jego* spaczony umysł podchwycił ten pomysł, nie zdając sobie sprawy, jeśli to możliwe, skąd go wziął. Dla niego będzie to przecież droga na skróty. Zawczasu będzie wiedział, gdzie szukać następnej ewentualnej ofiary, samej i bezradnej. Przedtem musiał krążyć bez celu, czekając na odpowiedni zbieg okoliczności. A nie było o niego łatwo. Myślę, że da się nabrać. Myślę, że jego mordercze ego zdążyło już się rozdać wystarczająco, by nie zważał na pomniejsze niedogodności, jakie na początku musiały go odstraszać. Teraz już pewnie sądzi, że wszystko może mu ujść na sucho. Poza tym zadziała jeszcze dodatkowy bodziec, że być może go pani widziała, że powinien pozbyć się pani bez ceregieli, by zapewnić sobie dalszą bezkarność.

– A co z tym oficjalem z policji i jego ludźmi, czy w parku nie będzie się od nich roilo jeszcze przez jakiś tydzień? Mogliby go odstraszyć. Czy nie lepiej byłoby przenieść się w inne miejsce?

W zamyśleniu przeciągnął palcami przez włosy. – Nie znam innego, które równie dobrze by się do tego nadawało. Zmiana lokalizacji pozbawiłaby nas rzekomego motywu pani powrotu, czyli dla odzyskania czegoś, co zgubiła pani

za pierwszym razem. A poza tym rozmiar miejsca stanowi dla niego dodatkową zachętę. Inne są dość małe, nie zapewniłyby wystarczających możliwości ukrycia się.

– W takim razie dobrze, niech będzie Bosque. Pan pewnie wie najlepiej.

– Moim zdaniem tam mamy większe szanse niż niemal wszędzie indziej, bez względu na to, jak na początku może się to pani wydawać nieprawdopodobne. Po pierwsze, zapewne obserwował was obie poprzez drzewa w Madrycie, upatrzył was sobie, zanim jeszcze wróciłyście tamtej nocy do dorożki. Jeśli będzie miał okazję znowu to zrobić, obserwować panią swobodnie przez godzinę czy dwie wcześniej, upewnić się, że jest pani zupełnie sama, myślę, że pokusa zyska jeszcze na sile. Będziemy mieli szansę zapewnić mu coś w rodzaju wzmocnienia pewności siebie, że tak powiem. A tego by brakło, gdyby miała pani po prostu spacerować bez celu po jakimś małym parku w mieście. W rzeczy samej wyglądałoby to chyba po prostu podejrzanie. Poza tym sądzę, że lekkomyślność, bezczelność, wielkie zuchwalstwo wracania drugi raz w to samo miejsce tak ubodzie jego ego, że nie będzie mógł się oprzeć, zapewni mu to dodatkowy dreszcz, którego nie będzie w stanie odrzucić. – Zgasił papierosa. – Jeśli chodzi o Roblesa i jego bandę półgłówków, myślę, że w dosyć łatwy sposób można się ich pozbyć. Zadzwoń na jeden z posterunków policji z fałszywym donosem, że widziałem jaguara, wielkiego jak szafa, w zupełnie innym rejonie miasta. Za dodatkowe kilka pesos mogę nawet znaleźć tu i tam garść ulicznych włóczędów, którzy to jednocześnie potwierdzą z innych budek telefonicznych. To ich wszystkich wyciągnie z Bosque, zostawią cały park dla nas.

– Tak, ale czy *on* będzie o tym wiedział? Może podejrzewać, że nadal się czają...

– Może przecież sam sprawdzić, czy Bosque jest pusty czy nie, bez żadnego dodatkowego ryzyka. Proszę pamiętać, że oni szukają w tym wszystkim zwierzęcia, nie istoty dwunożnej. Bóg wie ile razy już ocierał się o nich niewykryty, może nawet wracał, by popatrzeć na własne dzieło, stojąc na obrzeżu tych ogarniętych niezdrową ciekawością tłumów, które zbierały się w każdym miejscu. Może zupełnie bezpiecznie wejść do Bosque, sprawdzić osobiście, czy zostały w nim jakieś zabłąkane oddziały policji, bo ona nad sprawą jaguara

pracuje przecież otwarcie, a nie pod przykrywką, jak by to robiła, szukając sprawcy-człowieka, a kiedy się przekona, że nie, skupi się bez przeszkód na pani.

Z boku jej szyi na chwilę uwypukliło się jedno ścięgno, ale poza tym nic nie było po niej znać.

– Tak to zrobimy – podsumował.

Ona przez chwilę milczała. W końcu spytała, z cieniem uśmiechu, który przemknął po jej twarzy zbyt szybko, by dobrze się uchwycić jej rysów: – Który wieczór wybierzemy na tę... randkę z zatraceniem?

– Pojutrzejszy. To da nam pełne czterdzieści osiem godzin na przygotowania. Jest już za późno, bym umieścił mój spreparowany artykuł w wydaniach porannych, ale mam dość czasu, by dotrzeć do jutrzejszych wydań wieczornych. Oczywiście dam pani broń i będę dość blisko, by dopilnować, żeby nic się pani nie stało. Ale muszę w to wciągnąć jeszcze jakiegoś mężczyznę. Potrzebuje pani pełnej ochrony, pod tym względem nie chcę w ogóle ryzykować, a może się okazać, że zdarzy się coś, z czym sam nie będę się mógł uporać.

– Kogo pan zaangażuje?

Przez chwilę się nad tym zastanawiał. – Nie mogę pójść do Roblesa ani do nikogo z jego zespołu, wszyscy oni myślą o tym tak samo. To musi być ktoś, na kim będę mógł w pełni polegać. Chwileczkę, chyba wiem... ten młody facet, jak mu tam, narzeczony tej dziewczyny Contrerasów, ten, z którym spotykała się na cmentarzu. Jeśli ktoś byłby za tym, to na pewno on! Ta sprawa musiała mocno nim szarpnąć.

Wstał, odprowadziła go do drzwi. Tam odwrócił się i badawczo spojrzał jej w twarz.

– Proszę posłuchać, zanim przejdziemy dalej. Może pani jeszcze się wycofać, jeśli pani chce. Nie chcę pani straszyć, ale to będzie wyczerpujące przeżycie, tak samo ciężkie albo jeszcze gorsze niż za pierwszym razem. Tak naprawdę gorsze, bo teraz zawczasu pani wie, czego się spodziewać. Będzie pani towarzyszyło straszliwe napięcie i będzie pani musiała polegać wyłącznie na własnym osądzie przez całe trzy czy cztery godziny. My będziemy bezustannie obserwowali, z tak bliska, jak się ośmielimy, ale nie możemy za bardzo iść pani śladem ani się ujawniać, gdy już pani tam wejdzie, jeśli mamy liczyć na sukces; oczywiście zdaje pani sobie z tego sprawę. Teraz więc ma pani ostatnią

szansę, by odmówić, jeśli pani chce.

Spojrzała mu w oczy niezłomnym wzrokiem. Miała tylko lekko napięte usta, to wszystko. – Wchodzę w to z panem, sądziłam, że od początku wyrażałam się jasno.

– Super! – odparł ciepło. – Podamy sobie ręce? – Uścisnęli sobie krótko dłonie. – Przygotuję wszystko. Pani niech się wyśpi, ile tylko się da, przez następne dwie noce – poradził jej, otwierając drzwi. – Pojutrzejsza noc będzie trudna dla nas wszystkich. I proszę postarać się nie myśleć o tym na zapas, jeśli się pani uda, panno King.

– Mów mi Marjorie – zaproponowała, zamykając już za nim drzwi. – Niedługo możesz już nie mieć ku temu okazji.

Wy dostał adres z akt śledztwa w sprawie Conchity Contreras. Był to przyjemny parterowy domek, otynkowany na pastelowy odcień błękitu, na pagórkowatej Calle San Vicente. Służąca wprowadziła go na patio, stanowiące permanentną eksplozję intensywnego różu od bugenwilli ciągnących się przez jego środek z pokrytego dachówkami dachu. Para białych motyli ścigała się nawzajem bez końca w kwadracie otwartego słońca wielkości znaczka pocztowego, a z drzwi do jednego z pokoiów wyjrzała nieśmiało na niego ciemnooka dziewczynka, która po chwili schowała się z powrotem. Otoczenie sprawiało wrażenie idealnego domu bardzo szczęśliwej rodziny. Manning wiedział, że to tylko pozór, zanim jeszcze wprowadzono go do pokoju, gdzie na wiszącym łóżku leżał oparty ospale na łokciu młody człowiek w jego wieku.

Włosy tamtego były zmatowiałe, przydałoby mu się golenie, koszulę miał pobrudzoną i niedopiętą u góry, a jego oczy otaczały czerwone obwódki, oznaka przesiadywania w knajpach do piątej nad ranem. Z ust zwisał niezapalony papieros, skręcony pośrodku jak nitka makaronu.

Mężczyzna zauważył, że wzrok Manninga pobiegł do zdjęcia, które spadło na podłogę przy łóżku. Zerknął na niego z ukosa z nagłą zrzędlivością. – Widzi pan tam zdjęcie, prawda? – rzucił zaczepnie. – Śliczną twarz, czuły uśmiech, piękne, miękkie włosy. Ma pan szczęście, *amigo*. Ja nie! Chciałbym się z panem zamienić oczami. Ile pan za nie chce? Ja widzę bezimienną ohydę, płamę

krwi, poszarpane szmaty rzucone na ziemię...

Manning spuścił wzrok na czubki własnych butów. – Wiem. Też tam byłem.

– Czasami w nocy słyszę przytłumiony krzyk dobiegający do mnie w ciemności z miejsca, gdzie stoi to zdjęcie. „Raul, Raul, wydostań mnie stąd, jestem zamknięta!” Dokładnie tak, jak na pewno krzyczała, niesłyszana, tamtej nocy. Piję *aguardiente*, żeby to zabić. Ale i tak słyszę ten krzyk. Przez niego chodzę nocami po ulicach...

Manning położył lekko rękę na jego ramieniu, odwrócił wzrok w drugą stronę. – Spokojnie, *muchacho*, chłopcze, spokojnie. Właśnie w tej sprawie do ciebie przyszedłem.

Raul sięgnął w dół, wyciągnął spod łóżka do połowy opróżnioną butelkę tu-tejszej palącej brandy. Zrzucił korek kciukiem tej samej ręki, która trzymała szyjkę butelki. Otarł usta, przygotowując się do pierwszego haustu. – Nie wiem, kim jesteś ani czego chcesz, ale mam czego się napić. To najlepsze, co może zrobić facet, kiedy jego dziewczyna odeszła na dobre. Tylko więcej łez dla mojej biednej matki, siedzącej w tamtym pokoju...

Manning wziął butelkę, odstawił ją z powrotem na podłogę. – Nie, jest coś jeszcze lepszego, co może zrobić. – Usiadł na rachitycznym krześle o siedzisku ze słomy, usuwając podniszczony kapelusz, który zwisał z jego oparcia. – Posłuchaj, wiem, na czym polega problem. Dławisz się, powoli się dusisz własnym żalem, bo było to dzieło losu. Nie możesz z nim walczyć. Przyszedłem powiedzieć ci, że możesz walczyć; to nie było dzieło losu, tylko ludzki czyn. – Obserwował twarz tamtego. – To boli, prawda? Jak środek odkażający, oczyszczający ropiejącą ranę.

Na pewno bolało. Tamten – tak naprawdę był jeszcze chłopcem – wił się na łóżku, z boku na bok, wczepiając osłaniające dłonie we własną twarz.

– Kim jesteś, żeby to wiedzieć? – spytał przez nie w końcu.

– Zwykłym facetem tak jak ty. Facetem, którzy robi użytek ze swoich oczu. Jaguar wrócił z *powrotem* przez mur do kamiennego miasta, zamiast zostać w listowiu, na otwartej zielonej przestrzeni cmentarza. Czy dzikie zwierzęta tak robią? Czy taka jest ich natura?

Dłonie tamtego opadły w dół. Spojrzał na Manninga. Oczy miał niebezpieczne. Nie dla Amerykanina – dla obrazu, jaki tamtemu udało się stworzyć w jego umyśle.

Manning mówił dalej, cichym, niespiesznym głosem: opowiadał mu o pozostałych przypadkach, opowiadał o wszystkim, co było do opowiedzenia. – Mogę się mylić – zakończył. – Nie jestem jasnowidzem. Ale sądzę, że mam rację. I nie da się tego sprawdzić inaczej, jak poddając teorię próbie.

– Jak? W jaki sposób zamierzasz się do tego zabrać?

To też Manning mu powiedział.

– Potrzebujemy do tego dziewczyny...

To, że czasownik był w liczbie mnogiej, nie umknęło uwadze Manninga.

– Już mam dziewczynę – oznajmił. – Bardzo dzielną. Dziewczynę, która ma więcej odwagi, niż ty czy ja mielibyśmy prawo się spodziewać po jakiegokolwiek dziewczynie.

Raul chwycił go za ramię w stalowym uścisku, zaprzeczającym jego szczupłej budowie. – Kiedy zaczynamy? – spytał zwięźle.

– Już dzisiaj wieczorem – odparł Amerykanin. – I będziemy to ciągnąć – co noc, jeśli będzie trzeba – póki się nie przekonamy, jak to naprawdę jest.

– W takim razie na co czekamy? – Zeskoczył z łóżka z gwałtownością, od której niemal się złożyło. – *Mama!* – wrzasnął w kierunku drugiego pokoju. To dziecięce określenie zabrzmiało dziwnie nie na miejscu, rozbrzmiewając jego ochrypłym, głębokim głosem. – Czarnej kawy, na miłość boską, żebym mógł się pozbyć tego świństwa z organizmu! Czystą koszulę, brzytwę i miskę gorącej wody. Możesz przestać się zamartwiać. Twój syn wrócił do życia!

Ostatnie akapity artykułu, identycznie brzmiącego, w *El Impartial*, *La Prensa*, *Ultimas Noticias* i wszystkich pozostałych popołudniówkach:

„...Od panny King wychodziło się z dziwnym wrażeniem, że być może mówiła poważnie, że to nie tylko brawura; że pewnego nieodległego wieczora wróci znów nad jezioro w Bosque w poszukiwaniu tego drobiazgu, do którego zdaje się przywiązywać taką wagę. Może dzisiaj, może jutro wieczorem, któż to wie? Można tylko podziwiać takie szaleńcze lekceważenie zdrowego rozsądku, nawet jeśli się go nie pochwała. Amerykanie to dziwna nacja.

»Mamy w naszym języku takie powiedzenie – oznajmiła, odprowadzając dziennikarza do drzwi. – Piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce«. A potem, z uśmiechem, który zdaniem przedstawiciela gazety był bardzo zagadkowy, dodała: »Nie boję się żadnego jaguara. Mam dobry wzrok. Bardzo dobry wzrok, nawet w ciemnościach. Zawsze mawiano o mnie, że nigdy nie zapominam twarzy«.

Wychodziło się od niej z zagadkowym odczuciem, że nie powiedziała wszystkiego, co wie – nawet policji”.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy przybyli do Anglaterry. Powiedziała: – Proszę – w odpowiedzi na ciche, konfidencjonalne pukanie Manninga do drzwi i zastali ją stojącą pośrodku pokoju. Jej zatrzymana poza wskazywała, że przerwali jej ożywione spacerowanie wte i wewte w oczekiwaniu na ich przybycie.

– Nareszcie – powitała ich słabym głosem. – Jestem ubrana od czwartej i z minuty na minutę coraz bardziej się denerwowałam. Nie wiedziałam, czy zmieniliście plany, czy nie, a nie było sposobu, by się z wami skontaktować. Powiedzieliście, że to dzisiaj, więc przystąpiłam do rzeczy i tak czy owak przygotowałam się do wyjścia do Madrytu, żeby być gotową. Czy tak dobrze? – Cofnęła się o krok, by mogli obejrzeć białą, wieczorową suknię wyszywaną kryształowymi paciorkami.

– Świetnie. O to chodziło! – orzekł z aprobatą Manning. – Będzie lśniła w ciemności i dzięki niej łatwiej mu będzie cię odszukać. Boisz się?

– Teraz stopniowo mi przechodzi – przyznała. – Ale żebyś mnie widział pół godziny temu. Zęby szczykały mi co parę minut.

– Mam tu coś dla ciebie. – Wyjął z kieszeni pistolet małego kalibru, podał go jej rękojęścią do przodu. – Włóż go do wieczorowej torebki. Wiesz mniej więcej, jak się nim posługiwać?

– Raczej nie mogę powiedzieć, żebym się wychowała na broni, ale pewnie będę wiedziała, co z tym zrobić, jeśli będę musiała, kiedy przyjdzie czas.

– Po prostu odbezpiecz go, o tutaj, i ustaw palec na spuście, to wszystko, o czym musisz pamiętać. I, Marjorie, jeśli będziesz musiała, to nie ograniczaj się

do *grożenia*. Najpierw strzelaj, potem groź; masz się właśnie zmierzyć z czymś, co...

– Wiem – przerwała mu, szybko wymazując tę myśl z głowy.

– Zmieści się?

– Mam tu większą, ściągana tasiemką. W tej się zmieści. Zresztą ta otwiera się szybciej niż kopertówka.

Raul stał uprzejmie z boku, słuchając ich niezrozumiałej mowy.

– Wybaczcie mi, gdzie moje maniery – przeprosił Manning. – Panna King, Raul Belmonte. To wy dwoje będziecie musieli porozumiewać się z nimi.

Uklonili się sobie, jakby wybierali się właśnie na jakąś towarzyską imprezę, a nie spotkanie ze śmiercią.

– Widziałas gazety? Udało się! – ciągnął dalej Manning. – Och, zapomniałem, nie czytasz raczej po hiszpańsku. Tak czy owak połknęli haczyk, żyłkę i spławik. Zadzwoiłem niedawno do Roblesa w kwaterze głównej, a on powiedział mi, że w Bosque nie został ani jeden człowiek. Wszystkich wysłano do najnowszej strefy zagrożenia, daleko przy torach wyścigowych. W ciągu dwudziestu minut odebrał sześć telefonów stamtąd, wszystkie informujące, że widziano jaguara w biały dzień pod trybunami wyścigów. Co więcej, wielka czystka wisi na włosku, nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie tej nagłej fali zgłoszeń. Jego własne poczucie obowiązku i tak by mu na to nie pozwoliło.

– Czy to było twoje sześć telefonów?

– Zapłaciłem za siedem, ale jeden facet najwyraźniej się spietrał i ulotnił z gratyfikacją w wysokości peso.

– Załatwiłeś też tę drugą sprawę?

– Jest załatwiona od zeszłego wieczora. Już przeczytał artykuł, jeśli w ogóle ma go przeczytać. – Przerwał, nieco nerwowo zatarł ręce, jak chirurg przed operacją albo dentysta przed wyrwaniem zęba.

– A teraz, Marjorie...

– Wiem; godzina zero – odparła, z dreszczem na twarzy, który tylko po części był parodią.

– Będziesz musiała wyjść stąd sama. Belmonte i ja już się wynosimy, jak tylko omówię wszystko z tobą, żebyśmy mogli zająć miejsca tam, nad jeziorem, nim zapadnie zmrok. Nie możemy wyruszyć z tobą, bo nie wiadomo, w

którym momencie kończy się swoboda, a zaczyna inwigilacja. Być może już na dole, przy drzwiach hotelu. Może tam, w Madrycie. A może dopiero, kiedy dotrzesz nad samo jezioro. Musisz stąd wyjść jakieś pół godziny po zmroku. Weź otwartą dorożkę, tak jak tamtej nocy. W Madrycie dopilnuj, żeby ci dano stolik na zewnątrz, na samym skraju od pawilonu, żeby mógł się na ciebie napatrzyć do woli. Nalegaj na to. Nie patrz w ciemność, nie próbuj go szukać, i tak nie będziesz mogła go zobaczyć. W ogóle się nie spiesz z jedzeniem, możesz tam siedzieć jak najdłużej. Postaraj się unikać sprawiania wrażenia napiętej czy niespokojnej. I przede wszystkim nie pozwól, żeby ktoś się do ciebie dosiadł. Jeśli zobaczy kogoś przy twoim stoliku choćby przez parę minut, to może go odstraszyć. Chodzi o przygotowanie psychologiczne, tak samo jak wizualne.

- A potem?
- Jezioro i łabędzie, jak z Sally. To obszar docelowy.
- Czy obecność woźnicy nie będzie przeszkodą?
- A czy była ostatnim razem? Zrobił coś, co wystraszyło konia. Pomóż mu trochę, odejź daleko od konia i dorożki, w dół na skraj jeziora.

Przełknęła, złapała się za szyję. – Manning, nie próbuję się wycofać, ale na wspomnienie tego szczegółu zaczęłam się zastanawiać. To, jak wystraszyły się te łabędzie i koń – one musiały wyczuć jakiś *zapach*, a nie coś usłyszeć czy zobaczyć. A jeśli naprawdę jest w to zamieszany jaguar – co ja zrobię? Wtedy trochę trudniej będzie mnie uratować.

– W tym wszystkim musi być jakiś jaguar – odparł bez ogródek. – Za dużo dowodów Roblesa na to wskazuje. Ale ja twierdzę, że to jaguar i człowiek. Innymi słowy, jaguar pod kontrolą, kierowany w jakiś sposób ludzką inteligencją.

– Chcesz powiedzieć, że on... zabiera go ze sobą i napuszcza na ofiary? Ale w takim wypadku jak będziesz mógł cokolwiek zrobić na czas, by mi pomóc? Te bestie atakują jak błyskawica.

– Nie wiem, co to jest ani co on robi. Wiem tylko, że to nie pierwsze lepsze zwierzę. Właśnie tego spróbujemy się dzisiaj dowiedzieć. Proszę, żebyś mi zaufała, Marjorie. Belmonte i ja obaj prędzej oddamy własne życie, niż pozwolimy, by stała ci się krzywda. O ile tylko jest w tym wszystkim czynnik ludzki,

jestem pewien, że możemy z nim wygrać. Zdaję sobie sprawę, że proszę cię o przejście przez straszliwie ciężką próbę. Ale potrzebujemy do tego dziewczyny – to coś nie atakuje mężczyzn – a nie znam nikogo innego, kogo moglibyśmy poprosić o pomoc.

– Bo nie ma nikogo innego, kogo musielibyście prosić – odparła. – Nie zamierzam was okłamywać i udawać, że się nie boję; szaleję ze strachu. Ale od dwóch dni jasne jest, że to zrobię, i to się nie zmieniło. – Usta miała cienkie i napięte.

Dotknął jej zaciśniętej dłoni i odkrył, że jest zimna jak lód. Za to, nie wiedzieć czemu, polubił ją jeszcze bardziej.

– A jak długo mam zostać przy jeziorze, gdyby nic się nie wydarzyło?

– Póki nie znajdziesz zgubionego medalionu.

– Och, to naprawdę jakiś tam leży?

– Tak, kupiłem jeden w tanim sklepie i sam go tam podłożyłem dziś rano.

Jest tuż przy skraju wody, pod paroma luźno ułożonymi kamieniami. Dla spokoju wypał papierosa, jak już go znajdziesz, jeśli chcesz odmierzyć sobie czas. Powalęśaj się niezbyt daleko wzdłuż brzegu jeziora, i nie zapominaj, co ci mówiłem, zadbaj o to, by zejść z widoku woźnicy, jak już tam będziesz. Jeśli, zanim dopalisz papierosa, nic się nie zdarzy, możesz być pewna, że go tam nie ma, już się tej nocy nie pojawi. Po prostu wsiądź do dorożki i wróć tutaj, do hotelu. Sami pojedziemy za tobą parę minut później.

– Słońce jest już nisko – ostrzegł po hiszpańsku Belmonte, zerkając w stronę okna. – Zeszło do poziomu krzyża na katedrze. Powinniśmy już ruszać, jeśli chcemy tam dotrzeć, póki jeszcze jest dość jasno, byśmy sobie wybrali kryjówkę. Pochylił się szarmancko nad dłonią Marjorie, szepcząc: – Wyrazy najwyższego uznania dla niezwykle dzielnej damy.

Po nim ujął ją Manning, uściskał, dodając otuchy, na amerykański sposób. – A więc zaczynamy. Teraz zachowaj spokój i zaufaj nam. Sam obejrzałem ten rewolwer, jest bardzo dobrze wyregulowany. Pamiętaj, co ci mówiłem: po prostu odciągnij bezpiecznik i ustaw na spuście palec. A jeśli będzie trzeba działać naprawdę szybko, nie trać czasu na wyjmowanie go, strzelaj przez torebkę.

Raul, mało rozemocjonowany jak na południowca, czekał na niego na korytarzu. – Chodźże, Manning, nigdy tam nie dotrzemy – popędzał go rzeczowym tonem, jakby wybierali się do baru za rogiem.

Ona usiadła z powrotem przy lustrze, przyłożyła szklany pręt perfum za każdym uchem, gdy on zamykał za sobą drzwi. – Do zobaczenia tutaj za kilka godzin, mam nadzieję – brzmiały jej ostatnie słowa.

– Do zobaczenia tutaj za kilka godzin, jestem pewien – odparł śmiało.

Gdy ostatni raz na nią spojrział, twarz miała białą jak marmur, nawet w różowej łunie zachodu, od straszliwego przewidywania tego, co ją czeka. Wpatrywała się z napięciem we własne odbicie, jakby patrzyła na głowę śmierci.

Jezioro ciemniało w półmroku, od ultramaryny przez indygo do lukrecjowej czerni, jakby z jakiegoś niewidocznego źródła wlewał się w nie stopniowo atrament. Dokoła niego Bosque tonął powoli w ciemności, tak cichy i pozbawiony życia, jakby był prawdziwą puszcza, a nie dużym parkiem przyrodniczym na obrzeżach wielkiego miasta. Wszystkie małe, nieszkodliwe stworzonka, które rozbrzmiewały w nim za dnia, ptaki i owady, teraz ucichły. Nad wszystkim wisiała bezwietrzna cisza, oczekująca na przybycie największego zabójcy ze wszystkich: nocy, która bezlitośnie tropiła dzień i zarzynąła go, co dwadzieścia cztery godziny, raz po raz, i od nowa. Wieczny morderca, bezkarny, niepowstrzymany.

Manning siedział po turecku na brzegu, niewidoczny z wyżej położonego terenu, wrzucając do jeziora drobne kamyki, w oczekiwaniu na Belmontego, który miał do niego dołączyć. Rozdzielili się, by zrobić zwiad dookoła jeziora, i on pierwszy wrócił do punktu wyjścia. Mała, zaokrąglona postać tkwiąca w półmroku, nie robiąca większego wrażenia; były zbieracz rzeczy wyrzuconych przez morze, zwolniony agent prasowy, nierób ze śródmiejskich barów, który przyjechał tu z miasta, by walczyć z siłami śmierci. Żaden z niego bohater, zupełnie żaden. Nie większy niż człowiek, który jako pierwszy dał się ugryźć moskitowi roznoszącemu żółtą febrę.

Łabędzie tkwiły bez ruchu na wodzie niczym ciemne, unoszące się chmury, z łebkami wetkniętymi pod skrzydła na czas snu, ignorując fale tworzone przez

jego kamyki, po tym jak przy pierwszym badaniu przekonały się, że to nie okruszki.

Belmonte wrócił bezgłośnie brzegiem jeziora, pochylony do przodu tak, by jego kształt nie był z góry zbyt widoczny. Opadł obok Manninga i usiadł podobnie jak on.

– Znalazłeś kryjówkę dla siebie? – szepnęła Amerykanin.

– Widzisz tamte szuwary? To tam. Zdają się wyrastać z wody, ale tak naprawdę pośrodku nich leży płaski kamień, na którym mogą usiąść. Będę ukryty z wszystkich czterech stron, nawet od strony jeziora. A ty?

– Znalazłem niskie, rozwidlone drzewo, brzoskwinie. Pień rozdziela się na cztery odgięte konary. Pośrodku ma niemal kształt kielicha. Wystarczy, że otoczę się trochę zewnętrznymi liśćmi. Jak na zamówienie.

– Będziesz mógł szybko z niego zejść?

– Jednym skokiem. Jest niskie, rośnie powykrzywiane, nachylone na zboczu w kierunku jeziora. Widziałeś teraz kogoś?

– Ani żywej duszy. Przeszedłem połowę drogi na przeciwległą stronę.

– Ja też na nikogo się nie natknąłem – powiedział oględnie Manning. – Chyba powinniśmy się już schować, nie czekając dłużej, póki panuje ta przejściowa ciemność przed wzejściem księżyca.

– Czy nadal sądzisz, że rozdzielenie się to dobry pomysł? – szepnęła Belmonte. – Jak już to zrobimy, nie będziemy mogli się ze sobą porozumiewać.

– To jedyne rozsądne wyjście. Będziemy mogli dużo skuteczniej ją chronić, jeśli z każdej strony będzie miała jednego z nas. Tutaj – w połowie drogi między nami – zejdzie z góry na brzeg. Musi tak zrobić. To jedyne miejsce, gdzie do jeziora jest łatwe dojście od strony drogi. Dalej droga powoli znowu skręca coraz dalej w bok. No i, koniec końców, to jedyne pas brzegu, który jest gładki, trawiasty i łatwo dostępny. To tutaj zeszłym razem przyszły z tamtą dziewczyną. On o tym wie i właśnie tu będzie się jej spodziewał, jeśli wierzy, że ona wróci po coś, co zgubiła. W ten sposób chronimy ją z trzech stron.

Ty stamtąd, ja stąd, a samo jezioro wzdłuż całej trzeciej strony. Czeka ją na górze dorożka zamyka czwartą drogę. By się w ogóle do niej dostać, on musi nadejść zza jednego z nas i go minąć. Prawdopodobnie nadejdzie spoza

mnie, bo Madryt jest z mojej strony. Chodzi o to, by nie skoczyć na niego od razu; by pozwolić mu wejść *między* nas obu, a wtedy będziemy go mieli. Tak że równie ważne jest, byśmy byli ukryci od przodu, gdzie będzie ona, tak samo jak od tyłu. Inaczej on się wystraszy, zanim znajdzie się w naszym zasięgu, i możemy go stracić. A teraz nie zostawiaj na sobie ani obok siebie niczego, co się odznacza. Pamiętaj, że niedługo wszędzie księżyc i jedno drobne lśnienie w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie może nas zdradzić. Zapnij pod szyją klapy marynarki, by zasłonić biel koszuli. Upewnij się, czy nie masz na sobie niczego błyszczącego – szpilki do kołnierza albo spinek do mankietów, czy choćby nasadki metalowego ołówka przyczepionego na zewnątrz kieszeni na piersi. Uważaj też, żeby leżące luzem w kieszeniach monety nie zadzwoniły w nieodpowiednim momencie.

Obaj wyjęli po wielkiej, kwadratowej chusteczce do nosa i, nie otwierając złożonych warstw, ułożyli na nich zebrane drobne, zakręcili końce i tak włożyli z powrotem do kieszeni, w czymś w rodzaju dźwiękoszczelnego rogu obfitości.

- Żadnego palenia – ostrzegł Manning. – Możesz się powstrzymać?
- Oczywiście; to nie randka z dziewczyną. Mógłbym czekać bez końca, mógłbym się obejść bez jedzenia i picia, gdybym wiedział, że to nam da tego...
- Masz broń pod ręką?

Belmonte rozchylił marynarkę jednym ruchem i rewolwer pojawił się w jego dłoni.

- Całkiem szybko – skomentował Manning. Przytrzymał nadgarstek blisko przed oczami, patrząc na zegarek. – Za pięć ósma. To będzie długa akcja. Ona dopiero teraz ma wyjść z hotelu. Musimy jej dać dobre dwie godziny, może nawet trzy. – Odpiął zegarek i schował go w kieszeni. – Księżyc może się odbić od kryształu.

Belmonte zdjął swój, cofnąwszy go najpierw o minutę. – U mnie jest za cztery, ale równie dobrze możemy kierować się twoim. Jeden zegarek, jeden cel, jedna nadzieja dla nas obu.

- Cóż, lepiej już się rozdzielimy.
- Dobra, na razie – rzucił zdawkowo Belmonte, ściskając jego dłoń.

– Trzymaj się – szepnął Amerykanin.

Odwrócili się do siebie plecami, ruszyli w przeciwnych kierunkach, po jar-dzie czy dwóch zatapiając się w nieprzeniknionym mroku.

Szuwary zaszumiały lekko, po jednej stronie, po czym znowu ucichły. Po drugiej stronie liściaste konary jakiegoś drzewa zaszeleściły lekko, gdy Man-ning wciągał się na nie, przesuwając przez chwilę, usadawiając się. Następnie one też zamilkły, nieruchome.

Wokół pogrążonego w cieniu jeziora nie rozlegał się ani jeden dźwięk. Bosque dokoła był tak cichy i pozbawiony życia, jakby był prawdziwą puszczą, a nie dużym parkiem przyrodniczym na obrzeżach wielkiego miasta. Nad wszystkim wisiała bezwietrzna cisza, oczekująca na przybycie największego zabójcy ze wszystkich...

Byla pora wychodzenia na miasto, kiedy Ciudad Real odpowiadało sercem i duszą na zew nocnego życia. Wyszła z drzwi hotelu, wyglądając tak lśniaco, tak płocho w swej wyszywanej kryształowymi paciorkami białej sukni, ze srebrnym makiem we włosach, z zawiązaną srebrną wieczorową torebką zwisa-jącą z nadgarstka, zniekształconą odrobinę przez coś ciężkiego, schowanego w środku – być może lornetkę teatralną – że oczywistym było, iż nie może my-śleć o niczym poważniejszym od tańca i szampana. Przechodzący chodnikiem ludzie obracali się i uśmiechali lekko z sympatią na jej widok, tak odświętnie i beztrasko wyglądała. Być może niektórzy z nich nawet jej zazdrościli.

Światła błyskały wszędzie, a ona stanowiła z nimi jedno, i z nastrojem, jaki wyczarowywały. Wysoko na tle nocnego nieba wciąż znikwała i pojawiała się płomienna małpa, raz z zakrytymi oczami, potem z uszami, a potem z ustami, obwieszającą: „Anis del Mono”. Kogut z zielonymi piórami w ogonie, bar-dziej niezmienny, nakłaniał bez przerwy: „Cinzano Vermouth”. Chodniki ja-śniały jak w południe pod tą rozświetloną, oślepiającą konstelacją, będącą dzie-łem ludzkich rąk. Każdy stolik w każdej kafejce był zajęty, a całe mnóstwo taksówek jeździło ulicami z rozjuszonym piskiem klaksonów.

Pora wychodzenia na miasto; teraz się odprężmy, teraz się zabawmy, teraz zapomnijmy o istnieniu takich rzeczy jak praca i troski.

Stojąc tam, z drobnymi srebrnymi klinami pantofli ustawionymi na skraju krawężnika, zatrzymała portiera, gdy ten podnosił już gwizdek zawieszony u szyi. – Nie, nie taksówka. Dorożka z koniem. *Caballo*, rozumiesz?

Podbiegł do najbliższego rogu, by osobiście ją sprowadzić, wrócił, stojąc na jej stopniu, z jedną nogą zwisającą swobodnie.

Wsiadła. – Do Madrytu.

Woźnica i portier spojrzeli na siebie nawzajem. Wymienili niewyraźne zdania po hiszpańsku.

– Ty jej powiedz.

– Nie, ty jej powiedz.

Portier nachylił się z z troskaniem do środka dorożki. – Przepraszam, czy señorita wybiera się tam sama? Z całym szacunkiem, ale... – Uśmiechnął się przymilnie, jakby nie wiedząc, co powiedzieć dalej. – Chodzi o to... o to, że to trochę daleko od miasta, jak na te noce.

Wiedziała, co miał na myśli, mówiąc „te noce”. Najwidoczniej nie był świadom, że ona jest tą samą dziewczyną, która była tam z towarzyszką zaledwie kilka nocy wcześniej i której ostatnio się to przydarzyło.

Wsunęła mu do ręki drobną monetę, by pokazać, że się nie obraziła. – Do Madrytu – powtórzyła stanowczo.

Posiwały woźnica przyłożył dłoń do czapki. – *Sí, señorita*.

– I proszę jechać powoli, chcę się nacieszyć powietrzem, zanim zgłodnieję na śmierć. – Powtórzyła to sobie w myślach. Zgłodnieję na śmierć? Te słowa brzmiały tak upiornie.

Zobaczyła, że znowu wymieniają spojrzenia i wzruszają bezradnie ramionami, jakby chcieli powiedzieć: „Cóż można poradzić na tych Amerykanów?”

Pracownik hotelu zamknął za nią drzwiczki dorożki. Zerknął ciekawie na jej twarz, jakby uderzyło go, że ma na sobie za dużo pudru. Pewnie była blada jak ściana, zdała sobie sprawę, ale nie od pudru.

Opadła na wyściełane siedzenie: hotel i oferowane przez niego bezpieczeństwo powoli przesuwały się w tył, niczym latarnia morska na cofającym się brzegu, i przejazdka się zaczęła.

Przyszło jej na myśl, że gdzieś indziej w mieście, mniej więcej w tym samym czasie, być może właśnie w tej minucie, ktoś inny też może właśnie

wyruszać w drogę. Ktoś, czyja ścieżka, zła, pełna okropności, powoli, niechybnie zbliży się do jej ścieżki z upływem godzin, aż w końcu obie się przetną – a potem zostanie tylko jedna, bo jej dobiegnie końca.

Dziwna schadzka! Tak, gdzieś, w jakiejś cuchnącej uliczce, z jakiejś ukrytej, nieodgadnionej jamy wynurzał się właśnie osłonięty kształt, bezimienny dla nocy, by stawić się na umówione spotkanie z nią: damą w białej, kryształowej sukni, w srebrnych butach, o kruczoczarnych włosach, pozostawiającą za sobą w delikatnym wieczornym powietrzu, gdy dorożka zabierała ją spod oświetlonego hotelu, powiew perfum, których nazwa, dość złowieszczo, brzmiała: „Je Serai Seule a Minuit”. *O północy będę sama...* I niczyje serce w drodze na jakąkolwiek inną randkę nie biło nigdy mocniej niż teraz jej, gdy siedziała rozparta z tyłu dorożki, tak wdzięcznie swobodna. Stopy o srebrnych koniuszkach skrzyżowane przed nią na podłodze, łuk jednej ręki opartej nie dbała o łuk siedzenia obok niej; dłoń drugiej – nisko poza zasięgiem wzroku – zaciśnięta w znękaną małą bryłę blisko przy jej boku, tak że żadne narzędzie nie mogłoby jej otworzyć, tak mocno zastygła.

Powoli spokojny, dźwięczny stukot kopyt konia ciągnął ją w stronę Puerta Mayor, głównego wjazdu do Bosque. I, gdy tak jechali, było tak, jakby opuszczali uwarstwione odbłyски olbrzymiego, położonego centralnie ogniska, przy blasku ulic blednącym stopniowo w miarę ich oddalania się. Początkowo całościowe życie nocnego w śródmieściu, wybielające wszystko z jasnością środka dnia, potem spokojniejszy połysk sektorów pośrednich, już tylko ze sklepami i małymi neonami od czasu do czasu, w końcu posępną surowość odległych dzielnic mieszkalnych, z ulicami oświetlonymi wyłącznie chłodną bielą własnych latarni i od czasu do czasu żółtym czworobokiem okna.

A potem Puerta Mayor i otoczyła ich ciemność, zupełna, tryumfująca, z obu stron. Wszędzie, tylko nie nad głowami, gdzie dwupasmową główną drogę prowadzącą w głąb Bosque, w stronę Madrytu, zaznaczała długa linia samotnych reflektorów.

Długie, przysypane talkiem perspektywy peryferyjnych alej miasta zostały w tyle, w końcu się zamazały. Powietrze stało się wilgotniejsze, chłodniejsze i bardziej przenikliwe. Z ziemi uniósł się zapach paproci, listowia i rozmokłego drewna, pokonując delikatną jak babie lato woń perfum, która nadal ją otaczała.

Główna droga nie była jednak wcale pusta. Mijała ich sunąca w drugą stronę nieprzerwana procesja aut, niektórych zamkniętych i oświetlonych, innych bez dachu i otwartych. Dziś wieczorem korzystano z niej tylko w jednym kierunku. „W te noce”, jak wyraził się hotelowy portier. Każdy wyjeżdżał. Do miasta – i ku bezpieczeństwu. Nikt nie jechał w przeciwną stronę. Nikt prócz niej. Jej woźnica miał cały pas drogi tylko dla siebie.

Nie bardzo mieli się czego obawiać, ci inni, usadowieni w swych oświetlonych limuzynach po dwoje, troje czy czworo. Ale ich maszyny i tak się nie guzdrały. Wszyscy jechali szybko, utrzymując ogólny poziom przyspieszonej prędkości, której nie wytracali na nią. Jakby teraz, gdy już udowodnili swą odwagę sobie i wszystkim znajomym, zjadłszy wczesną kolację w Madrycie, nie mogli się doczekać, kiedy się stąd wydostaną, by kontynuować zabawę gdzie indziej, z większym spokojem umysłu. Mimo iż było obecnie powszechnie wiadomo, że już go tu nie ma, że widziano go po drugiej stronie miasta przy torach wyścigów konnych.

Tak że jechała powoli, w kierunku przeciwnym do nurtu, w samotnej wspinałości. Za każdym razem, gdy dorożka przejeżdżała pod wiszącą lampą łukową, prześlizgiwał się po jej kształcie szeroki jęzor iskrzącego się białego płomienia, po czym znowu się kurczył aż do następnej lampy.

W końcu poprzez ciemność zaczęły prześwitywać latarenki Madrytu, niczym rabata lśniącego, wielokolorowego confetti rozrzuconego dookoła pod drzewami. Upiorne echa tonów akordeonu i skrzypiec zdawały się spadać na nich z tych samych drzew niczym delikatny, nienamacalny deszcz, gdy woźnica skręcił w krótką, zapętloną odnogę, prowadzącą w stronę wejścia, a potem znowu na zewnątrz.

Pracownik restauracji pomógł jej wysiąść, po czym przeszła przez niski żywopłot z bukszpanu, okalający zewnętrzną przestrzeń ze stolikami.

– Poczekacie na mnie, oczywiście – poleciła woźnicy.

Wzdłuż jednej strony podjazdu stał nadal uszczuplony sznur samochodów.

– Ale nie za późno, señorita – błagał tchórzliwie – ostatnio to niezbyt dobry pomysł.

– Poczekacie, aż będę gotowa – odparła twardo. – Proszę dopilnować, żeby nie odjechał – poleciła pracownikowi restauracji.

Podszedł ją powitać główny kelner. Wszyscy znajdowali się w środku budynku, ośmiokątnego pawilonu uniesionego kilka stopni nad poziom gruntu. Nadal byli tu ludzie, ale w bardzo zmniejszonej liczbie. Ostatni klienci, albo próbujący udowodnić, jacy to są odważni, albo po wypiciu za dużej ilości wina i zbyt dobrej zabawie nie dbający już za bardzo o to, gdzie się bawią. Mimo to, ci nieliczni, którzy jeszcze zostali, zebrali się razem przy stolikach w większe grupki, jakby dla wzajemnej ochrony. Tym lepiej, pomyślała; w ten sposób łatwiej będzie mu mnie dostrzec, niż gdyby panował tu tłum. Jedna czy dwie pary poruszały się po czarnym, lustrzanym parkiecie w powolnym omdleniu tanga, każda uzupełniona o parę odbitą do góry nogami, tak że zdawało się ich być dwa razy więcej.

– Czy señorita czeka na kogoś?

Ukryła dreszcz, jaki w niej wywołało to pytanie. Señorita czekała, ale nie było to radosne wyczekiwanie.

– Nie, kolacja dla jednej osoby. – A potem, gdy ruszył przed nią w stronę schodków do budynku, dodała: – Poproszę o stolik tu, na zewnątrz. Na samym końcu, przy żywopłocie.

Spojrzał na nią. – Jest pani pewna, że chce siedzieć tak daleko?

– Jestem pewna – ucięła. – Nie lubię tłumu.

Gdy zajmowała miejsce, na zewnątrz nie było w ogóle nikogo, w całym tym morzu stolików. Żywopłót biegnący obok niej był niski; nawet siedząc, była widoczna niemal od pasa w górę, jako że stoliki ustawiono na platformie dla zapewnienia płaskości, której brakowało naturalnemu terenowi. Drzewa i nieprzenikniona ciemność pod nimi wyglądały na niepokojąco bliskie, dość bliskie, by ktoś przez nie sięgnął i po prostu ją stąd porwał, w chwili nieuwagi, gdy wszyscy będą odwróceny plecami. A jeśli... a jeśli coś się stanie właśnie tutaj, gdzie on i Belmonte się tego nie spodziewali, nie mogliby jej pomóc?

Odwróciła wzrok, przypominając sobie ostrzeżenie Manninga – by nie okazywać napięcia czy świadomości zagrożenia – i zajęła się studiowaniem menu. Menu, które lekko drżało w jej ręce, tak że wszystkie wydrukowane na nim słowa były widoczne podwójnie, jakby oglądane przez kantowany skraj grubej tafli szkła.

– Co pan poleca? – spytała zduszonym głosem.

– Puree z mango.

– Świetnie, puree z mango.

Jak ma cokolwiek przełknąć, będąc w tym stanie? By przełykać, coś wewnątrz gardła musiało się przecież otworzyć.

– A na koniec lody i kawa.

Była w wielu restauracjach. Nigdy dotąd po złożeniu zamówienia i odejściu kelnera nie czuła nic prócz lekkiej ulgi, traktując tę czynność w najlepszym razie jako drobną niedogodność. Teraz złapała się na żalu, że tak szybko dotarła do jej końca, z niechęcią patrząc, jak kelner odchodzi i zostawia ją samą. Nawet zatrzymała go specjalnie przy sobie o chwilę czy dwie dłużej, niepotrzebnie powtarzając jedną czy dwie wskazówki.

Odprowadziła go wzrokiem całą drogę do wejścia, kiedy w końcu odszedł. Czuła się tutaj taka osamotniona, taka odcięta. Prawda, w przerwie w żywopłocie stał chłopak w liberii, mający otwierać drzwiczki przyjeżdżających samochodów, ale wyglądał na strasznie oddalonego, a te drzewa bezpośrednio przy niej rosły strasznie blisko. Otworzyła małą torebkę leżącą na jej kolanach, udając, że szuka chusteczki do nosa, i dotknęła kolby pistoletu, który dał jej Manning. Po tym poczuła się nieco lepiej.

Gdy tylko skończyła zupę, cynobrowa latarenka bezpośrednio nad nią, *jej* latarenka ze względu na zajmowany przez nią stolik, zgasła bez ostrzeżenia i zamiast jej światła padł na nią kir szarego cienia. Zamknęła oczy w przerażeniu. Czy to jakiś zły omen?

Gdy tylko to zauważono, pospieszyło do niej dwóch pracowników restauracji z niską drabinką, jeden z nich wspiął się po niej za jej krzesłem, wkręcił nową żarówkę i po chwili stało się jeszcze jaśniej niż przedtem, tak że wszystko było w porządku.

Trudno było jeść. A kiedy nie jadła, było jeszcze trudniej. Odwracała wzrok od drzew wyłącznie siłą woli. Czasami miała pewność, że wyczuwa inne, pełne zła oczy świdrujące ją nieustannie z cieni za żywopłotem. Czasami miała pewność, że to tylko wytwór jej wyobraźni.

Raz małe zwierzę, być może wiewiórka albo pręgowiec, przebiegło po ziemi za żywopłotem. Szczęśliwym trafem trzymała akurat w tej chwili serwetkę w dłoni. Podniosła ją do ust i częściowo włożyła do środka, zanim krzykowi udało się z nich wydostać. Wbiła paznokcie drugiej ręki w dłoń, niemal wkuwając

się w ciało, póki nie przewyciężyła ataku. Gdy trochę później podszedł do niej kelner, powiedziała, nieco zadyszana: – Niech grają głośniej. Niezbyt dobrze ich tutaj słyszę.

– Oczywiście, señorita. Jakieś ulubione utwory?

Miała ochotę powiedzieć: „Być bliżej Ciebie chcę, o Boże mój”, ale w jej stanie ducha to wcale nie byłby żart, tak że zrezygnowała.

– I proszę o szampana – dodała. – Trochę tu drętwo...

Jeśli była obserwowana – a miała już niemal pewność, że tak – to stworzyłoby pożądane wrażenie. Nonszalancji i świętowania. A tak naprawdę potrzebowała go, by nie zemdleć na krześle.

Przyniesiono butelkę, korek odskoczył i płyn wylał się wesołymi, perlącymi się strumieniami piany. Podniosła swój przepełniony kieliszek wysoko nad poziom żywopłotu, tak żeby dało się go zauważyć. Miała ochotę obrócić się w stronę drzew i wyciągnąć go w ironicznym toaście: „Za ciebie i za mnie”, ale byłoby to zbyt upiorne.

Przytknęła do niego usta, odstawiła z powrotem. Wystarczył łyk czy dwa, by rozgrzać gardło. Nie chciała stępić sobie zmysłów, były one jedyną zbroją, jaką dzisiaj miała. Po chwili wylała jego zawartość ukradkiem na podłogę, po wewnętrznej stronie stolika, gdzie nie można było zobaczyć, co robi, a na widoku napełniła go ponownie.

Jej prośba o szampana i głośniejszą muzykę musiała mylnie skłonić kierownictwo do uznania, że zaniedbuje ono swoje obowiązki. Po schodach zszedł i skierował się do jej miejsca wygnania wysoki młody człowiek z wiele mówiącym białym goździkiem w marynarce.

Uklonił się przymilnie.

– Czy mogę panią prosić do tego tanga?

– Dziękuję, nie tańczę.

Nielatwo było go zrazić.

– W takim razie czy urocza señorita nie ma nic przeciwko temu, że ja się przysiadę i dotrzymam jej towarzystwa? – Odsunął już stojące naprzeciwko niej krzesło.

Przypomniało jej się ostrzeżenie Manninga: *Nie pozwól, żeby ktoś się do ciebie dosiadł, możesz go odstraszyć.*

– Nie, proszę! – zawołała tak strwożona, że cofnął się o krok. – Proszę! Niech pan tu nie stoi, proszę odejść od tego stolika...

On był wytrwały. Interesy musiały ostatnio iść fatalnie, skoro wszyscy omiatali to miejsce.

– Señorita odmówi mi jednego tańca? – przymilał się.

W końcu się poddała, uznając, że to najszybszy i najłatwiejszy sposób pozbycia się go. Przecież, z dwojga złego, mniej podejrzanie będzie wyglądało – *stamtąd* – jak z nim tańczy, niż jak on stoi przy jej stoliku, konferując z nią przez dłuższy czas.

Wstała i poprowadził ją, otaczając ramieniem, jakby była jakimś żywym trofeum. Trzech kolejnych, podobnych mu, siedziało strapionych wokół parkietu, każdy przy innym stoliku. Prawdopodobnie pracowali w zamian za jakiś procent od zarobku restauracji.

Nigdy przedtem nie tańczyła tanga. Teraz też nie musiała. On tańczył za oboje. Był w tym dobry, jak powinno się być w tym, czym się zarabia na życie. Zorientowała się, że bezwiednie zrobiła nawet krzyżyk. Nad jego ramieniem nadal widziała rosnące tam drzewa.

Gdziekolwiek się obróciła, one czekały, po jej trzech stronach, za żywoplotem, jakby chciały powiedzieć: „Dopadniemy cię. Idziesz do nas. Dopadniemy cię”.

Nawet fordanser, do którego można było przyłgnąć, był lepszy niż samotność wobec przyczajonej dokoła i wyczekującej ciemności.

Po pierwszym okrążeniu parkietu spytała: – Jaki ma tytuł ten utwór, który teraz grają?

Musiał najpierw zamruczeć sobie słowa po hiszpańsku, by przygotować je do tłumaczenia.

*Adiós muchachos, companeros de mi vida,
Se acabaron para mi todas las jarras...*

– To o kimś, którego życie niedługo się kończy. Mówi: „Do widzenia, chłopcy, towarzysze mojego życia, dla mnie się kończy...”

Nawet muzyka. – Proszę nie mówić dalej – przerwała mu zde gustowanym głosem. – A teraz przepraszam, ale chciałabym wrócić do stolika.

– Czy zdenerwowałem señoritę?

– Ależ skąd. Boli mnie głowa. Może mi pan powiedzieć, ile jestem winna?

Wrócili już do stolika.

Nie był ani trochę skonsternowany. – Señorita jest zbyt hojna. Nie dokończyłem tańca...

– Tak czy owak, proszę to wziąć – powiedziała, by się go pozbyć, i na chwilę dotknęła jego dłoni.

A potem znowu była sama, nieruchoma, skazana postać siedząca bezwolnie pod krwistoczerwoną latarenką. Została jeszcze pół godziny po wypiciu kawy. To odczucie, że jest obserwowana, cały czas się nasilało. Czuła je sama jej skóra, próbowała od niego odpełznąć. Musiała wciąż walczyć ze sobą, by nie obrócić głowy i nie spojrzeć. Raz niemal miała wrażenie czegoś lśniącego, fosforyzującego, jarzącego się w jej stronę poprzez krzewy. Musiała zrzucić łyżkę, a potem schylić się po nią, tak silny był impuls, by się odwrócić i sprawdzić. Kiedy z powrotem wyprostowała się na krzesle, łatwiej jej było się oprzeć. To zdążyło już zniknąć, czymkolwiek było; kąciki jej oczu już tego nie czuły.

W jakiś sposób wydawało się to takie głupie, spodziewać się spotkania z przemocą, być może nawet z samą śmiercią, twarzą w twarz za niedługą chwilę; spodziewać się konieczności drapania i szarpania jej nagimi rękami, być może w obronie życia; a mimo to siedzieć teraz tutaj, zatapiając te same palce w misce letniej wody z pływającą po powierzchni gardenią. Wiedziała, że jeśli przeżyje, nigdy więcej nie będzie w stanie patrzeć na miski do obmywania palców, nie wspominając tej nocy, nie przeżywając jej od nowa, choćby nawet przez chwilę czy dwie. Na jakimś wesołym przyjęciu lata całe od dziś, przy winie i pogawędkach, jej twarz nagle zblednie, a śmiech zamrze, gdy powróci mroczne wspomnienie, a ludzie będą się zastanawiać dlaczego i pytają ją o to. *Jeśli przeżyje.*

Ostatnią rzeczą, jaką zrobiła przed wyjściem, było pokruszenie bułki, zebranie kawałków w chusteczkę. – Dla łabędzi – uśmiechnęła się do kelnera, płacąc rachunek.

– O tej porze? – Bez trudu można było wyczytać z jego twarzy przerażone, niewypowiedziane ostrzeżenie.

– Lubię zwierzęta – odparła. „Ale nie jaguary”, dodała w duchu. Wstała, odwróciła się, wyszła powoli przez przerwę w żywopłocie.

Podjechała dorożka. Marjorie postawiła srebrny pantofel na schodku. „Pora

na mnie”, przyszła jej do głowy przyprawiająca o mdłości myśl.

A potem siedziała w środku, a latarenki cofały się między drzewami. Ostatnia, zielona, została dłużej niż wszystkie inne, widziana przez przerwę w żywopłocie. Gdy też zgasła, Madryt zatonął w nocy.

Wóznica zaczął poganiać konia, pragnąc wydostać się z przeklętego Bosque tak szybko, jak się da.

– Proszę jechać powoli – poleciła ostro. – Noc jest zbyt piękna, by pędzić.
– A potem, kiedy dotarli do tamtej bocznej uliczki: – Skręćcie tutaj.

– Ach, nie, señorita – niemal zaskomlał stary jegomość. – Nie tutaj. To właśnie tu ostatnim razem to się stało.

Jeśli ktokolwiek o tym wie, to ja na pewno – pomyślała z bólem.

Na głos powiedziała: – Nie czytacie gazet? Jaguar jest teraz po przeciwnej stronie miasta. Już go tu nie ma! – To po angielsku; a potem w jej skrótowym hiszpańskim, z dodatkiem gestów mających uzupełnić myśl: – Nie tutaj. Otra parte.

Zrozumiał, jako że język nie stanowi aż takiej bariery między istotami ludzkimi, jak się powszechnie sądzi. – Mogą się mylić – jęknął.

– No dalej, dalej! – upierała się.

Zawrócił konia i niechętnie skręcił tam, gdzie mu kazała. Był to długi, liściasty tunel w poświacie księżyca, nad głowami drzewo stykało się z drzewem. Zielonkawoczarny kanał, nakrapiany srebrem. Nieskończenie piękny, nieskończenie niebezpieczny. Kopyta konia rozbrzmiewały wzdłuż jego pustej długości niczym podzwonne.

Był zamarły. Ludność w te noce omijała Bosque z daleka, całe prócz głównej alei, prowadzącej prosto na zewnątrz. Ta przez chwilę ciągnęła się wyprostowana jak wycior. Potem zaczęła w końcu skręcać niespiesznie, co zdradzało fakt zbliżania się do jeziora.

Księżyc nie świecił tak jasno jak wtedy, ubywał, ale jezioro mimo to rozbłysło z jej boku niczym tafla kutego srebra; gdy nareszcie dotarli do miejsca, gdzie droga podchodziła do niego najbliżej i było je widać. Do tego niezapomnianego miejsca. Ekran drzew się rozstał, niczym kurtyna rozsuwająca się przed ostatnim aktem tragedii, a między dziewczyną a jeziorem pozostało tylko trawiaste zbocze.

Teraz już niemal nie mogła oddychać, dławiała się od stanowczo tłumionego, a mimo to niezmiennie narastającego przerażenia. – Proszę się tutaj zatrzymać

– udało jej się wykrztusić.

Albo jej nie usłyszał, albo udawał, że nie słyszy, by mieć pretekst do minięcia tego miejsca z jak najmniejszą zwłoką. Musiała lekko go postukać parę razy po plecach, jakby pukała do drzwi.

– *Para, entiende?* Powiedziała, proszę tu zatrzymać. I poczekać na mnie. Chcę przez chwilę pokarmić tamte ptaki.

– Ach nie, señorita, niech Bóg broni! – zapiszczał niemal falsetem. – Właśnie w ten sposób przydarzyło się to tamtej innej...

– Słyszeliście, co powiedziałam? – warknęła. – Nie dostaniecie ani centavo z zapłaty, jeśli nie będziecie słuchać poleceń!

Dorożka znieruchomiała. Dziewczyna stanęła w niej, zeszła na ziemię. Teraz, gdy koń się zatrzymał, zapanowała niezemska cisza. Była zła sama w sobie, tak była nienaturalna. Jedna stopa naprzód, potem druga i znowu pierwsza. Droga przeszła w darń, ale przez początkowe kilka kroków grunt pozostał płaski. Potem zaczął schodzić w dół łagodnym, trawiastym nachyleniem. Nietrudno było po nim kroczyć nawet w srebrnych pantofelkach na wysokich obcasach, nie był zbyt stromy, ale niewiele mogła zrobić, by iść w linii prostej, czuła, jakby się zataczała chwiejnie z boku na bok. Była niemal pijana z przeżycia. „Muszę zachować jasną głowę; jeśli mi się nie uda, już po mnie”, ostrzegła siebie samą.

Dorożka powoli unosiła się coraz wyżej nad jej głowę, za nią, w miarę wznoszenia się drogi. To niemożliwe, żeby jeszcze kiedykolwiek w życiu bała się tak bardzo. Musiała wciąż mówić do siebie w duchu. „Gdzieś tu, obok, jest Manning, wiesz o tym, nawet jeśli go nie widzisz. Najpierw poszukaj medalionu. Potem zjeżdż z pola widzenia woźnicy. Zapal papierosa. Strzel przez torebkę, bez wyciągania, jeśli będziesz musiała... Czy to tamten krzak, po lewej, zbliżający się do ciebie? Nie, to tylko krzak”.

Dorożka znalazła się już tak daleko, jak się dało. Zaczynała znikać z widoku za szczytem wału.

Łśniaca woda powoli zbliżała się ku niej. Łabędzie, wyczuwając już, że trzyma w dłoni coś dla nich, zaczynały z wdziękiem ścigać się na jej spotkanie po polerowanej księżycem powierzchni.

*

Przez ponad trzy godziny te same łabędzie, śpiące na wodzie, były jedynym znakiem życia w otoczeniu Manninga, mimo swego bezruchu. Reszta stanowiła tylko srokatą martwą naturę poświaty księżycowej i cienia. Z szuwarów, w których kuczał ukryty Belmonte, nie dochodził najlżejszy szmer i gdyby nie powiedział mu, gdzie się schowa, Manning nie domyśliłby się, że ktoś tam siedzi.

Krażenie już dawno zaczęło opuszczać jego własne kończyny.

Szczypał je i masował od czasu do czasu, wołąc tak im ulżyć niż zmienić pozycję, ale był to daremny trud. Po jakimś czasie prawie nie czuł już nawet uszczypnięć.

Księżyc teraz ubywał po pełni, która była świadkiem śmierci Sally O'Keefe, ale nadal był dość wielki, by rzucać aluminiową poświatę tam, gdzie nie napotykał na przeszkody. Manning spojrzał uważnie w dół, wzdłuż własnych zgiętych nóg, by upewnić się, czy żaden z księżycowych, przypominających monety krążków, rozbryzganych między liśćmi, nie pada na niego w żadnym miejscu, które mogłoby być widoczne z ziemi: na biel dłoni, matowy połysk jedwabnych skarpetek, lśniące czubki butów. Nawet najmniejszy drobiazg mógłby wystarczyć, by wskazać czujnemu przeciwnikowi coś, czego miejsce nie jest na drzewie.

Zmęczenie stało się niemal nie do zniesienia. Zastanawiał się, czy Belmontowi też tak ono dokucza. Pewnie jeszcze bardziej; tamten nie miał nic, o co mógłby oprzeć plecy. Nie zawracał sobie głowy patrzeniem na zegarek. To sztuczka głupca, przez którą czas wydawał się zawsze ciągnąć dłużej niż w rzeczywistości. Kiedy ona przyjdzie, to będzie właściwy moment. Póki jej nie ma, będą czekać – nawet jeśli oznaczało to pozostawanie tutaj, na drzewie, aż do upadku ze zdrtwienia. Nie przyjechali tu dla zabawy.

Gdzieś w oddali zabrzmiał odgłos powolnego człapania konia i świat odzy-skał dźwięk. Brzmiał jak coś niesionego przez pustą rurę czy odwiert, zawierał w sobie jakiś taki zamazany rezonans. Znowu ucichł, a potem rozległ się jeszcze raz, wyraźniej, bliżej niż przedtem. Czy to ona, teraz? Na pewno, kto inny mógłby to być? Samotny powóz w Bosque o tej porze, i to jadący w tę stronę. Żaden inny pojazd nie przemierzył tej drogi na górze, od kiedy on zajął tu pozycję. Ostatnio nocne przejażdżki dla rozrywki należały w Bosque do przeszłości.

Uderzenia kopyt brzmiały teraz wyraźnie i dźwięcznie, niemal jak dzwon, bo w olbrzymim bezruchu dokoła nie było nic, co mogłoby z nimi konkurować, a one z każdą chwilą coraz bardziej się zbliżały. Manning złapał się na wciąganiu głębszych oddechów niż przed minutą; to jego ciało instynktownie starało się zmagazynować tlen na ewentualną nadchodzącą akcję. Zbliżały się z krystaliczną wyrazistością tak spokojne, tak niespieszne – z regularnością rytmu, jaką natura obdarzyła konie, człap-człap, człapu-człap. W innych okolicznościach w ich miarowości byłoby niemal coś kojącego. W końcu słyszał nawet cichy pisk osi, szept sunących po jezdni kół w gumowych oponach.

Odezwał się kobiecy głos. Rytm kopyt załamał się i urwał. Ze stopnia drożki dobiegł nieśmiały protest, który został zduszony, a potem znowu ożył. Następną jej uwagę usłyszał wyraźnie, gdyż nieco podniosła głos: – Nie dostaniecie ani centavo z zapłaty, jeśli nie będziecie słuchać poleceń!

Nie widział samego pojazdu, bo zasłaniało go mnóstwo wiszącego pomiędzy nimi listowia, ale chwilę później na pełny widok wyłoniła się biel jej sukni, mieniącej się w świetle księżyca na szczycie wału, i dziewczyna zaczęła na jego oczach powoli schodzić po otwartym, trawiastym zboczu.

Jeśli czuła strach – a musiała go czuć – nie dawała nic po sobie poznać. Zachowywała się nieźrównanie. Z wdziękiem, płynną godnością noszenia się. Dla niego, w każdym razie, w jej sposobie poruszania się nie było nic napiętego ani sztywnego. Jedyne przezorne wahanie kobiety w najlepszym stroju, stąpającej delikatnie, by nie ubrudzić butów czy sukni.

Zmrużył oczy w podziw dla jej zrównoważonego opanowania. Tylko kobieta mogła odegrać takie przedstawienie, mężczyzna nigdy by nie potrafił, nigdy w życiu.

Zrównała się z drzewem, na którym się ukrywał, przeszła w dół, nawet nie zerkając na nie. Nie mogła, oczywiście, wiedzieć, gdzie dokładnie on jest. Musiała polegać wyłącznie na jego zapewnieniu, że będzie z Belmontem obserwował ją z bliska.

Łabędzie sunęły na jej spotkanie, każdy pozostawiał przy tym za sobą rozszerzający się pomarszczony wachlarz. Już zauważyły małą, białą kulę, jaką tworzyła w jej dłoni serwetka z okruszkami.

W końcu dotarła na brzeg jeziora. Manning znajdował się teraz mniej więcej w połowie drogi między nią a dorożką. Obserwował teren ze wszystkich stron, bardziej dokoła siebie niż jej. Nic nie mogło do niej dotrzeć od przodu, przez wodę; by dostać się do niej od tyłu, musiałyby najpierw minąć jego drzewo. Posterunek Belmontego chronił ją z prawej strony, a znowu jego drzewo chroniło ją z lewej.

Widział, że szuka medalionu. Wolną ręką uniosła nieco rąbek sukni, by jej nie zamoczyć, i lawirowała wzdłuż brzegu jeziora, z głową pochyloną uważnie. Głodne ptaki tymczasem otoczyły ją niemal murem od strony wody, poszturczując i odpychając się nawzajem na bok, a ich zbita gromada poruszała się wzdłuż brzegu najpierw w jedną stronę, potem w drugą, towarzysząc jej wolnemu krążeniu.

Za jej heroicznie odwróconymi plecami nic się nie poruszało. Z ciemnych, pierzastych mas krzewów i podszycia wszędzie dokoła nie dolatywał nawet szelest. Nawet trzaśnięcie gałązki.

W końcu go znalazła. Widział, jak nagle się pochyla, wyciąga ze skrajnego cała czy dwóch wody coś, co błyskało w świetle księżyca, gdy się z tym wyprostowała, trzymając to nieco w górze. Przez chwilę, w zmyślnej pantomimie, unosiła się nad znaleziskiem z zachwytem właścicielki. Wycierała je, obracała na wszystkie strony. W końcu włożyła do wiszącej na nadgarstku torebki. Teraz zaczęła karmić łabędzie. Jej ramię wysuwało się do przodu, w ich stronę, po czym wracało w stronę serwetki; zamierało na chwilę, po czym szło do przodu, w ich stronę, wracało w stronę serwetki, podczas gdy ona spacerowała powoli wzdłuż wody, hojna dama na brzegach Styksu.

Pozycja Manninga zmieniła się nieco, gdy dziewczyna pierwszy raz ukazała się jego oczom. Zmiana polegała na tym, że jego przedramię unosiło się teraz, przytrzymując nieruchomo broń na poziomie sprzączki od paska z kolbą opartą o jego ciało. Jego głowa wciąż obracała się powoli z boku na bok, obserwując każdy skrawek ziemi w łuku 180 stopni.

Nagle usłyszał niespokojne ciche rzenie konia, niewidocznego w górze na drodze i dotąd nieruchomego. Jego kopyta poprzesuwały się trochę w obrębie postronków.

Głowa Manninga w jednej chwili obróciła się wyprężona w przeciwnym kierunku – w jej stronę. Łabędzie błyskawicznie odpływały od niej niczym

mnóstwo czarnych promieni na srebrzystej powierzchni jeziora. Po kolejnej chwili stała sama na brzegu, z ręką wyciągniętą bezużytecznie z oferowanymi okruszkami.

Manning podniósł broń wyżej, na poziom najniższego żebra, i tam ją zatrzymał.

Dziewczyna stała nieruchomo, przodem do cofających się łabędzi. Lśniaca linia jasności przebiegła po jej nieruchomych plecach. Drżała w bliskości niebezpieczeństwa, czy też to tylko księżyc zafalował na paciorkach przyszytych do jej sukni? Nie potrafił powiedzieć.

Przednie nogi konia uderzyły ostro o ziemię, jakby za uderzeniem krył się cały jego ciężar, a spojenia dorożki zaskrzypiały i napięły się w proteście. Pewnie zwierzę stanęło dęba, po czym opadło z powrotem na ziemię, domyślił się Manning. Koń zarżał buntowniczo. Manning zaczął spuszczać nogę w dół z rozwidlenia konarów drzewa, zwiesił ją w gotowości stopę nad ziemią, od strony wody, gdzie skrywał ją pień.

A przestrzeń pomiędzy – od góry, gdzie stała dorożka, do dołu, gdzie stała ona – nadal pozostawała pusta i nieprzenikniona.

Dziewczyna nie obejrzała się, choć musiała słyszeć wiele mówiące odgłosy z drogi równie wyraźnie jak on. Pochylała się teraz lekko do przodu od pasa w górę, udając, że stara się przywołać krnąbrne łabędzie z powrotem do siebie. Nie chciały podpłynąć. W końcu, wystudiowanym niecierpliwym gestem odrzuciła od siebie serwetkę z pozostałością niechcianych okruszków, jakby rozczarowana ich brakiem zainteresowania.

Poszperała w małej torebce zawiązanej na nadgarstku, usłyszał lekki trzask papieru woskowanego i przed jej twarzą zaświecił płomień zapałki, gdy zapaliła próbnego papierosa, tak jak jej kazał. Wszystko nie odwracając głowy.

To było apogeum jej odwagi; nigdy przedtem nie widział niczego podobnego. Bo przecież, o ile było jej wiadomo, coś mogło w tym właśnie momencie skradać się za nią. On mógł zobaczyć, że się nie skrada, ale ona nie.

Koń zrobił dwa czy trzy daremne szybkie kroki naprzód, jakby chciał puścić się pędem na oślep, po czym szybko został powstrzymany i cofnięty, przy kolejnych skrzypiących protestach spojeń dorożki i kołysaniu obręczy kół.

Z aureolą papierosowego dymu dokoła głowy w świetle księżyca wykonywała co do joty jego instrukcje. Zaczęła przechadzać się bez celu jeszcze dalej brzegiem jeziora, dobrze poza pole widzenia dorożki i woźnicy – ale na szczęście w tę stronę, gdzie rosły szuwały, chociaż nie mogła wiedzieć, że pośród nich kryje się ochrona. Zatrzymała się mniej więcej w pół drogi do nich, w miejscu niewidocznym z dorożki, i stała tam, jakby leniwie kontemplując jezioro, z rękami założonymi ciasno na piersi. Czerwona drobinka papierosa tworzyła od czasu do czasu spiralę w górę od nich do ust, a potem z powrotem w dół. Manning już ledwie ją widział w oddali, była zaledwie białą plamą w mroku, bo zeszała z poświaty księżyca w cień jakichś drzew. Teraz strzeżenie jej było w rękach Belmontego, znajdowała się po jego stronie.

Nie rozległ się żaden dźwięk, poza sporadycznym grzebaniem nogą czy tupnięciem konia na górze, którego niepokój stał się już chroniczny, ale najwyraźniej był pod ścisłą kontrolą woźnicy. Całe zachowanie zwierzęcia wskazywało, że blisko, w cieniach Bosque, znajduje się jakieś niewidoczne niebezpieczeństwo, ale ono uparcie pozostawało ukryte, nie chciało się zmaterializować. Scena pulsującego napięcia przedłużała się niemal poza granice wytrzymałości; dwaj ukryci mężczyźni i dziewczyna na widoku, magnes w połowie drogi między nimi, paląca papierosa przy skraju wody, jakby zatopiona w myślach.

Nareszcie go dopaliła. Czerwona kropka zakreśliła łuk i zgasła w wodzie. Dziewczyna zawróciła i zaczęła iść z powrotem. Raz potknęła się lekko, i on wiedział, że to z przerażenia, ale ktoś inny mógłby uznać, że po prostu zaczepiła czubkiem buta o jakiś korzeń.

Znowu wyszła na zalaną światłem księżyca otwartą przestrzeń i ruszyła w górę pochyłości. Minęła drzewo, na którym siedział Manning, nie widząc go tak samo jak za pierwszym razem, i pokonała resztę odległości aż na brzeg zbrocza, na poziom drogi, poza jego bezpośrednią linią widzenia.

Pozwolił swej zwieszanej w gotowości nodze pokonać pozostałą stopę czy dwie do ziemi i pozwolił drugiej powlec się za nią w dół. Krew znowu zaczęła w nich krążyć, obejmując je boleśnie na powrót w posiadanie.

Jej głos niósł się wyraźnie, gdy znowu dotarła do dorożki: – No dobrze, teraz możecie mnie zabrać z powrotem.

Stopień zaskrzypiał, gdy wsiadała do środka. Manning poznał, że woźnica nie musiał nawet cmokać językiem ani używać bicia, by koń ruszył. Przy pierwszym poluzowaniu wodzy, dotąd ściągniętych tak mocno, przerażony koń natychmiast zerwał się do szybkiego klusa, który po chwili przeszedł w gwałtowny galop. Tak bardzo pragnął wydostać się z tego groźnego miejsca.

Manning wysunął się bezgłośnie spod drzewa i stał, czekając, aż jego współtowarzysz wyjdzie z ukrycia i dołączy do niego. Szuwary nie rozchyliły się na jego gwizd. Gdy zagwizdał raz jeszcze i nadal nie było znaku Belmontego, sam skierował się w jego stronę, przy czym zaczęło go mrozić dziwne przeczucie.

– Raul! – szepnął natarczywie, wchodząc w ich środek po zalanych wodą kamieniach.

Szuwary były puste. Widział, że niektóre trzciny leżą spłaszczone tam, gdzie siedział w kucki jego towarzysz, ale nikogo już w nich nie było.

Wyszedł z powrotem, zawrócił i sam ruszył w górę zbocza.

Droga była pusta w świetle księżyca, gdy do niej dotarł. Ledwie zrobił po niej pierwszy krok czy dwa, a stał się świadom pewnego zakłócenia po swej prawej stronie. To znaczy po stronie przeciwnej do jeziora. Stał sztywno, nasłuchując. Znowu się rozległ, ten stłumiony odgłos tarposzenia się czy młócenia, jakby wydawany przez wielkie zwierzę schwymane w pułapkę czy ubezwłasnowolnione w jakiś sposób i próbujące się uwolnić.

Skręcił w jego stronę, poruszając się czujnie. Odgłos rozległ się po raz trzeci, tym razem nie można go było wziąć za nic innego: gwałtowne, oszalałe tłuczenie o liście czy rośliny, próba wyplątania się. Wyciągnął broń, zanurzył się w jego stronę w zarośla na poboczu, odsuwając po drodze gałęzie i wrzoście.

Młócenie przyspieszyło, jakby doprowadzane do szaleńczego tempa samym jego zbliżaniem się.

Chwilę później runął na ziemię jak długi, a jego pistolet huknął ogłuszająco, uruchomiony samym upadkiem. Potknął się o coś lub kogoś leżącego w więzach na jego ścieżce.

Poczołgał się do tyłu, ścierając z policzka piekącą plamę od prochu, odnalazł

latarkę i włączył ją kciukiem. Światło ukazało skulony ludzki kształt, leżący twarzą w dół, z rękami związanymi z tyłu dzierganym krawatem, najwyraźniej będącym uprzednio częścią jego stroju.

Manning obrócił go i zobaczył posiwiąłego mężczyznę lat pięćdziesięciu z poszarganym sumiastym wąsem. W usta wciśnięto mu kawał zmiętego płótna, by go zakneblować. Manning zaczął je wyciągać, a ono zdawało się w ogóle nie kończyć. Pod koniec stało się różowawe. Mężczyznę paskudnie stuknięto w głowę; cienkie, lecz liczne strumyki krwi przecinały całą jego twarz.

Był ledwie przytomny, białka jego oczu przekreśliły się agonalnie, gdy Manning uniósł mu głowę. Potrząsnął nim nagłaco.

– Kim pan jest? Co się stało? Kto to panu zrobił?

– Nie wiem – odparł słabym głosem umierający. – Ktoś... z tyłu... z dołu obok kozła... – Opadł bezwładnie, z czymś w rodzaju konwulsyjnego spazmu.

Manning puścił go, zerwał się na nogi z ochryplym okrzykiem zgrozy, który pomknął z traskiem poprzez drzewa. To musiał być woźnica Marjorie, który ją tu przywiózł. A skoro został powalony, związany i zostawiony tutaj, to mogło znaczyć tylko jedno...!

Właśnie To, co próbował złapać w pułapkę, miało ją w tej chwili w swej mocy, odjechało z nią, by z nią skończyć wedle własnej woli!

Wypadł przez podszybie, popędził drogą, chowając broń do kieszeni. Skręcił w bok na małą, otoczoną drzewami polankę, na której Belmonte zostawił swoje auto, wbrew nadziei mając nadzieję, niemal modłąc się... odkrył to, co cały czas obawiał się odkryć; miejsce było puste, auto odjechało. A nie mógł go zabrać nikt prócz właściciela; Manning sam widział, jak wkładał kluczyki do kieszeni, kiedy obaj wysiedli.

Wyłonił się znowu, ruszył na chwiejnych nogach długim, opuszczonym tunelem srebra i czerni, którym była droga, zmuszony poruszać się pieszo. Przez to szanse były beznadziejne, nie mógł mieć nadziei, że w ten sposób dogoni ją na czas.

Nim opustoszała droga skręciła, by złączyć się ponownie z główną aleją, coś przysunęło się bokiem po jej powierzchni w jego stronę. Coś, co lśniło, gdy się zbliżył. Rozpoznał co, schyliwszy się, by to podnieść. Był to rewolwer,

który on sam wręczył jej w hotelu ledwie kilka godzin wcześniej. Przyłożył go do twarzy. Żadnego zapachu. Nie miała w ogóle szansy go użyć... Brodę miał zmarszczoną, gdy biegł dalej.

Czy ta droga nigdy się nie skończy? I kiedy zadał sobie to pytanie, właśnie się skończyła. Główna aleja była pusta pod swymi światłami. Nikt już nie wyjeżdżał z Bosque; wszyscy zrobili to dawno temu. Nie zatrzymywał się. Przed nim zaczęła jaśnieć, rozszerzać się nikła luna. Puerta Mayor, wejście do miasta.

Nagle światła trysnęły niczym podświetlona ropa naftowa wypływająca z ziemi i kraniec miasta stanął przed nim otworem. Manning zatrzymał się, ogarnięty nagłym poczuciem rozpacz; częściowo z powodu klucia w płucach, ale przede wszystkim dlatego, że nie wiedział, dokąd dalej ma się skierować. Stał przed sześcioma alejami rozchodzącymi się promieniście od Puerta Mayor jak szprychy połowy koła. Pójście jedną z nich aż do końca oznaczało odrzucenie pozostałych pięciu. Dziewczyna była teraz stracona na dobre, pogrzebana żywcem gdzieś na tym pustkowiu kamieni i budynków, które rozciągało się przed nim daleko jak okiem sięgnąć.

Wyraz jego twarzy przywodził na myśl kogoś, kto próbuje zwymiotować. Trzecie co do wielkości miasto Ameryki Południowej. Trzy czwarte miliona mieszkańców. Minuty na odnalezienie jej.

W końcu, nadal oddychając ciężko, przeciął *glorietę*. Pot spływał mu z czoła. Nadal nie potrafił się zdecydować, którą ulicę wybrać. Szanse były zbyt małe, stawka – zbyt wielka. Sześć do jednego, życie dziewczyny. Poczul się tak bezradny, jak wtedy, gdy pierwszy raz tu przyjechał, w dniach, kiedy jeszcze nie wiedział, jak poruszać się po mieście. Gdy było ono tylko rozmazaną plamą dziwnych ulic o dziwnych nazwach, z których wszystkie prowadziły w dziwnych kierunkach.

Minął jedną z tych tablic informacyjnych, na których niegdyś musiał polegać. Od lat nie zwracał już na nie uwagi. Mapy miasta z ruchomym wskaźnikiem, jakie napotykało się na co bardziej ruchliwych skrzyżowaniach. Przeniesione z Europy, nie były znane w Stanach. Przypomniawszy sobie, że naprowadzały go za każdym razem, gdy się zgubił. Ustawiało się wskaźnik na miejsce, do którego chciało się dojść, a także na miejsce, w którym się znajdowało, a tablica

pokazywała najprostszą drogę między tymi dwoma punktami.

Nagle zawrócił na pięcie, podszedł z powrotem do tej, którą właśnie minął, bo przyszła mu do głowy pewna myśl. Dla wygody przechodniów tablica wisiała na poziomie piersi. Podniósł nogę i uderzył nią w tablicę. Szyba chroniąca mapę rozpadła się na kawałeczki. Do tego, co mu przyszło do głowy, potrzebował możliwości rysowania po niej ołówkiem; wskaźnik nie wystarczał.

Unióśł ołówek nad obnażoną tablicą, zaczął zaznaczać miejsca ataków, mamrocząc przy tym do siebie.

– Raz, Teresa Delgado, Pasaje del Diablo. – Namazał czarny kłębek, by wyraźnie zaznaczyć ten punkt. – Dwa, Cochita Contrereas, Wszystkich Świętych. Trzy, Clo-Clo, na rogu San Marco i Calle de Justicia. – Zwilżył koniuszek ołówka. – Cztery, Sally O'Keefe, przy zalewie w Bosque. – Dzisiejsze się nie liczyło, było po prostu powtórzeniem wcześniejszego miejsca.

Miał teraz na mapie cztery czarne znaki. Przeciągnął linię od każdego z nich do przeciwległego. Utworzyły nieco nieregularną literę X, z jednym ramieniem trochę dłuższym od drugiego.

Przyjrzał się uważnie drobnemu drukowi schematu, by zobaczyć, gdzie przecinają się dwie osie, by ustalić, gdzie leży ich centrum. Zakreślił dokoła niego arbitralne kółko, by jeszcze wyraźniej je zidentyfikować. Obejmowało okolice Alamedy; mniej więcej odciek między tamtą ulicą a Plaza de los Mártires. A przez sam jego środek biegła niemal niedostrzegalna nitka, zaznaczona mikroskopijnie na mapie – Callejón de las Sombras.

Innymi słowy miejsce, w którym jaguar na początku zniknął, nadal było jedynym punktem miasta leżącym w równej odległości od miejsc wszystkich czterech ataków. Gdzieś tam znajdowała się baza operacji. Gdzieś tam znajdowało się jego legowisko.

Prawda, raz już przeszukano dokładnie tamtą uliczkę. Prawda, nie było gwarancji, że tamten za każdym razem oddalał się od punktu wyjścia na taką samą odległość. Ale to było wszystko, co Manning miał, to było wszystko, co mógł zrobić. A i tak było to rozwiązanie o wiele lepsze i szybsze od konieczności przeczesania calutkiej metropolii. Teraz przynajmniej wiedział, którą z tych sześciu rozchodzących się alei miał ruszyć dalej. Stawka nadal pozostawała tak samo wysoka, ale szanse mocno się zwiększyły.

Zauważył w oddali taksówkę i zawołał na nią co sił w płucach. Pięć minut później wysiadł u krańca Callejón. Taksówka odjechała, pozostawiając go samego. Było czarno jak w przedsionku piekła; wzdłuż całej jego krętej długości, od miejsca, gdzie stał, do przeciwległego końca, nie świeciła się ani jedna lampa.

Zanurzył się w czerń, by zacząć jednoosobowe przeszukiwanie od drzwi do drzwi.

Pół godziny później tkwił w ślepym zaułku kaplicy bez dachu. Jego latarka poruszała się w górę i w dół po ścianach w serii zawijasów, gdy on sam gramolił się na rozmaite kopczyki gruzu, a potem z nich schodził. Twarz, szara w bladym odbłasku słabej poświaty, lśniła od potu, potu porażki, w zagłębieniach kącików oczu i ust. Po trzeciej rundce dookoła odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

Rozległo się ciche kliknięcie i latarka zgasła, w ślad za jego dawno wygasłymi nadziejami. Pozwolił drzwiom wahać się niepotrzebnie za nim w lekkim prądzie powietrza wzbudzonym jego przejściem, usiadł ciężko na zniszczonych schodkach na zewnątrz, z grzbietem wygiętym w kabłąk przygnębienia. Stąd nie było już dokąd iść.

Mijały minuty. Raz podniósł wzrok w górę, na łatę czerni nad sobą. Nadal była noc. Jakże długo trwa noc – czasami. Ale nie wtedy, kiedy się umiera.

Nareszcie wstał, zaczął boleśnie kuśtykać w stronę miejsca, gdzie zaułek łączył się z główną częścią uliczki. Do buta wpadł mu kamyczek żwiru, przedostał się do środka, a teraz nie dawał mu żyć. W końcu Manning musiał się zatrzymać, oprzeć stopę o ścianę i ściągnąć sprawiający ból but. Wytrząsnął go, pomacał podeszwę skarpety, by upewnić się, czy drażniący kamyczek nie tkwi wewnątrz. Tkwił; po chwili wytoczył się na jego rękę.

Zwisający but upadł z łoskotem, a Manning włączył latarkę, skierował ją na swoją dłoń. Coś błysnęło w jej fałdach. Drobniutki prostokąt, malutki, lecz błyszczący. Mikroskopijna rurka. Paciorek. Jeden z tych, którymi wyszyta była jej suknia.

Zaczęło go boleć dopiero po wyjściu stamtąd...

Wsunął stopę z powrotem do buta, wbiegł po krótkich schodkach i jeszcze raz do środka.

Znalazł je w końcu, dlatego, że teraz wiedział, że jest tam coś do znalezienia, i nie zamierzał rezygnować z szukania. Były to drzwi zapadowe w podłodze, nie odróżniające się rozmiarem ani barwą od wielkich płyt brukowych ułożonych dookoła. Nie zauważył ich, bo dotąd zajmowały go głównie ściany, a nie zaśmiecona podłoga pod stopami, która zdawała się zwarta. Szukał dziury, otworu, a nie czegoś w tym rodzaju.

Kucał teraz przy nich, podekscytowany. Tkwił w nich spłaszczony występ z kółkiem. Podważył je i pociągnął, a całe drzwi uniosły się całkiem łatwo, na czymś w rodzaju mechanizmu z łańcuchów i klamer, umocowanym od spodu.

Zaświecił do środka latarką, by zobaczyć wąską, prostokątną studnię z karkołomnymi kamiennymi schodami prowadzącymi w dół, ale z boku, a nie wzdłuż. Na najniższym schodku leżał kolejny z tych malutkich, mrugających punkcików światła, taki jak ten, który przed chwilą, na dworze, spoczywał na jego dłoni.

„To dla mnie” – pomyślał z ponurym przekonaniem.

Co to było, dokąd prowadziło, nie wiedział; tylko tyle, że ona pokonała tę drogę, a więc i on zamierzał ją pokonać. Na twarzy poczuł zimne, od dawna pogrzebane powietrze, jak coś z innego świata, znikając w dole, w środku, stopniowo, jak ktoś pochłaniany przez ruchome piaski: najpierw nogi, potem uda, potem pas. W końcu studnia zamknęła się nad jego głową.

Przed nim rozciągał się tunel, niemal nieskończony, jak się zdawało. Po bokach i u góry był podparty poczerniałymi ze starości belkami, jak szyb kopalni. Poruszając się w nim i skracając odległość, miał niemal wrażenie, że stoi nieruchomo. Nadal przed nim było jeszcze więcej pustej czerni, na najdalszych krańcach światła latarki.

Raz jej promienie przesunęły się po odchodach jakiegoś zwierzęcia, leżących tu od tygodni i już rozsypujących się w pył.

A więc jaguar był tutaj – kiedyś.

Kilka kroków dalej nagle się spłoszył, machnął instynktownie pistoletem, trzymanym w pogotowiu, gdy nieoczekiwanie błysnęło na niego coś białego. Była to pozbawiona ciała czaszka, wtulona w róg jednej z podpierających belek,

wyszczierzająca zęby do ziemi, jakby ją gryzła. Była gładka jak kość słoniowa po wiekach bezcielesności.

I wtedy, gdy już uznał, że ten korytarz nigdy donikąd go nie doprowadzi, nigdy się nie skończy, górna część jego światła nagle skróciła się w perspektywie, załamała w górę na kolejnych schodkach.

Nad nimi znajdowały się drzwiczki z łańcuchami podobne do tych, które wpuściły go przed chwilą z drugiej strony. Postawił stopę na najniższym stopniu, po czym na chwilę się zatrzymał. Coś kazało mu zgasić latarkę i wsunąć ją za pas spodni, nim dotarł na górę, by otworzyć zapadnię. Pistolet zatrzymał. Wiedział, że teraz zbliża się do końca tropu.

Drzwi podniosły się, bez większego oporu, tak jak ich odpowiednik po drugiej stronie, wskazując choćby na to, że i te, i tamte niedawno były często używane. Mimo to nie były – i nie można było się spodziewać, że będą – zupełnie bezdźwięczne. Jęknęły, idąc w górę, a łańcuchy zadzwoniły, zatrzymując je.

Wkraczając w ciemność na górze, miał dziwną świadomość bliskiej obecności kogoś jeszcze. Jakiejś wyciszonej obecności, która odkryła go pierwsza i przebiegle zamarała w bezruchu. Poczuł, że napina mu się skóra na karku, i zaczął czujnie przesuwac z boku na bok pistoletem wycelowanym w zupełną ciemność, z którą stał twarzą w twarz. Zrobił przezornie krok w bok od najwyższego schodka. Potem jeszcze jeden.

Podmuch powietrza wzbudzony przez jakiś niewidoczny ruch w pobliżu dotarł do niego za późno.

W kręgosłup, z elektryzującym brakiem ostrzeżenia, wbił mu się wylot lufy i, jakby był dyszą potężnego odkurzacza, zdawał się wciągać go od tyłu w paraliżujący bezruch.

Nagle na jego dłoni spoczęła inna, tak samo zimna z napięcia i od śmiertelnej stanowczości jak jego własna, i zabrała mu pistolet. Blisko jego ucha gburowaty głos szepnął: – *Quiet!* Spokojnie! – Zanim zdążył go zidentyfikować, rozległ się trzask i w twarz uderzył go oślepiający promień światła.

Nagle zabrzmiał, już normalnie, głos Belmontego: – Mój Boże, to ty, *hombre!* Mało brakowało, a...

– Po jakie lichy tak się na mnie rzuciłeś? – poskarżył się ze złością Amerykanin.

– Cii, mów ciszej! – ostrzegł tamten. Zwrócił mu pistolet. – Instynkt kazał mi śledzić tamtą dorożkę. Nie miałem czasu cię uprzedzić. Ale on i tak prawie mi zwiął. Kiedy w końcu dogoniłem dorożkę, trzy przecznice od uliczki, była już pusta...

– Jak długo tu jesteś?

– Przyszedłem ledwie kilka minut przed tobą. Dopiero zaczynałem się rozglądać, kiedy usłyszałem, jak przechodzisz przez drzwi w podłodze...

– Co to jest? Co to w ogóle za miejsce?

– Stare podziemne lochy Inkwizycji. To musiał być tajemny korytarz, który zbudowano w dawnych czasach. Jest tu kilkadziesiąt małych cel, pełno ich tu jak w plastrze miodu. Chodź, pokażę ci, jak daleko zaszedłem, zanim mi przerwał. Nie hałasuj, on gdzieś tutaj jest.

Chociaż trudno było powiedzieć, że byli bezgłośni, nic nie wskazywało na to, że cokolwiek dokoła nich w ciemności usłyszało – albo było tam w ogóle. Ostrożny błysk czy dwa latarki Manninga pokazał mu to, co Belmonte prawdopodobnie już sam odkrył przed jego przybyciem: że trafili do rozsypującego się sklepionego korytarza, z pękatymi kamiennymi filarami co kilka jardów podpierającymi szereg przykrywających go łuków. Między każdą ich parą tkwiły ponuro wyglądające żelazne drzwi.

– Ty sprawdź tę stronę, ja sprawdzę tamtą – szepnął Belmonte.

Rozdzielili się, natychmiast zniknęli jeden drugiemu w mroku. Potem ich postępy zaznaczało krótkie migotanie latarki co kilka chwil, szybko gaszone z powrotem, następujące kolejno po obu stronach. Od czasu do czasu zrzędlawie zapiszczały jakieś zawiasy, ale wiele żelaznych płyt i tak przekrzywiło się ze starości, więc nawet nie trzeba było ich ruszać. Jednej czy dwóch w ogóle brakowało. Za nimi w każdym przypadku znajdowały się klitki z zaprawy i ubitej ziemi, w większości niewiele większe od trumien o opóźnionym działaniu, jakimi ostatecznie okazały się być dla swych lokatorów.

Niekończący się szereg nisz zawierających te otwory nieoczekiwanie przecinał się prostokątnie ze stroną Belmontego. Czyli katakumby kończyły się tutaj. W ich ścianie bocznej znajdowały się tylko jedne żelazne drzwi. Manning

pierwszy do nich dotarł, prześcignawszy towarzysza w poszukiwaniach. Krąg światła jego latarki omiótł je na chwilę, po czym szybko zgasł znowu.

Skierował jej promień na krótko w dół, na podłogę, dając znak Belmontemu. Tamten podszedł do niego w ciemności.

Głos Manninga brzmiał ciszej niż szept. Trzeba się było domyślać, co mówi. – Nie hałasuj. Przyłóż tu rękę.

– Ciepłe.

– W każdym razie cieplejsze niż reszta; tamte są zimne jak kamień. Coś się za nimi dzieje...

Zaczął macać delikatnie po ich powierzchni rozłożonymi płasko palcami w poszukiwaniu staromodnego klamrowego uchwyty, który ukazała mu wcześniej latarka. Nim zdążył dokończyć gest, Belmonte odepchnął go na bok i położył na uchwycie swoją dłoń. Latynosa ogarnął raptem jakiś niebezpieczny spokój, jakby mężczyzna od dawna czekał na nadchodzącą właśnie chwilę.

Drzwi obróciły się, mijając ich na swym wyznaczonym łuku, a przed nimi odsłonił się nagle nierealny, zupełnie fantastyczny widok.

Chodzi o to, że ich umysły, nawykłe do realizmu, nie potrafiły przyswoić sobie tego, co próbowały pokazać im oczy. To musiała być kiedyś izba tortur tego całego okrutnego miejsca karcenia i egzorcyzmu. Przy ścianie stały dziwne kontury, dla których współczesny umysł nie miał nazw: rzeczy dawno zapomniane, zostawione w przeszłości, gdy ludzie odeszli od znajdowania dziecinnej frajdy w wrywaniu skrzydełek muchom. Łańcuchy wiszące jak grzyby i żelazne obręcze przykute do ściany, i coś w rodzaju ręcznej prasy drukarskiej, do uszkodzania prostych kości uformowanych przez naturę.

Zdawało im się, że przenieśli się czterysta lat wstecz. A nawet dalej, do niezrealizowanej krainy demonologii i średniowiecznej alegorii. Miejsce znowu było w użyciu.

Znów, jak w dawnych czasach, upiorna czerwień ognia gorzała w kamiennym piecu przy końcu pomieszczenia, pod otwartym przewodem kominowym; niegdyś używano go do rozpalania żelaznych prętów do czerwoności albo topienia porcji ołowiu. I znów, jak w dawnych czasach, obiekt tortur leżał bez zmysłów na grubym pniu o zakrzywionym wierzchu, podobnym nieco do rzeźnickiego pniaka.

Obiekt, tym razem w dwudziestowiecznej sukni wieczorowej wyszywanej paciorkami, czy raczej w strzępach, jakie z niej zostały. Z nogami zwisającymi z jednej strony pniaka, przy czym z jednej z nich spadł srebrny pantofel, leżący na podłodze. Głowę miała odrzuconą w drugą stronę, szyję wygiętą, włosy spływały swobodnie i zdawały się poruszać w ruchomym świetle ognia.

Między nią a piecem wznosiła się kuriozalna sylwetka. Coś, czego miejsce było na feudalnej tarczy herbowej. Wyprostowane pionowo zwierzę. Lew czy lampart, w pozycji stojącej. Widać było zarys głowy kota, dwoje małych sterujących, trójkątnych uszu.

Dwie kocie łapy unosiły się nad nią w gotowej do uderzenia pozycji, miały właśnie opaść, uderzyć, początkowo łagodnie, delikatnie, zrywając tylko pozostałości ubrania, zaledwie zadrapując gładką, białą skórę pod spodem. A potem szybciej, szybciej, głębiej, głębiej, w miarę narastania szału – i wypływania życia.

Manning czuł, że jego zmysły próbują się zaćmić w jakiejś formie zawrotu głowy czy oszołomienia, bo tego czegoś tam nie było, to nie było prawdziwe; tak że gdy odzyska władzę nad sobą, już tego nie będzie. Zostanie tylko pusta, nieoświetlona izba, taka, jaką najprawdopodobniej była. Na chwilę zrobiło mu się też niedobrze, bo zwierzęta nie stoją pionowo, a ludzie – którzy stoją – nie mają krótkich, spiczastych uszu ani głów w kształcie łopaty, tak jak ta zjawa.

Jakiś głos krzyczał coś niezrozumiale, ale nie stamtąd, skądś blisko niego. Z trzaskiem wystrzelił rewolwer, a on uznał, że to najczystszy, najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. To *coś*, czymkolwiek było, uniosło się jeszcze wyżej niż wcześniej, mlóćąc łapami powietrze, po czym zaczęło przewracać się do tyłu.

Rewolwer eksplodował po raz drugi. To coś w tle upadło szybciej, przewróciło się z czymś w rodzaju nieodwołalności i leżało bezwładnie; jaguar albo człowiek, albo człowiek-jaguar.

Manning czuł, że idzie, potykając się, naprzód; opadł na kolana przy pniaku, wziął jej wiotki kształt w ramiona, przytrzymał opiekuńczo przytuloną do siebie, ale raczej w stanie zadziwienia niż aktywnej pomocy. Po chwili uświadomił sobie, że gdzieś blisko jego serca bije inne, i wiedział, że ona żyje.

Rewolwer tymczasem nie przestawał grzmieć, a towarzyszyło mu coś w

rodzaju pełnego zemsty skandowania. – To za Conchitę. – *Trach.* – I to za Conchitę. – *Trach.* – A to za wszystkie pozostałe. – *Trach.* – Ale to, to znowu jest za Conchitę!

Krótkie błyski co chwila migotały na twarzy Belmontego, za każdym razem rozświetlając ją na chwilę od dołu.

– Belmonte, przestań – zaprotestował w końcu Manning. – Weź się w garść. To coś już z dziesięć razy zdążyło umrzeć.

Ale rewolwer nadal trząskał pusto, raz po raz.

Po chwili Amerykanin zabrał Belmontemu opróżniony pistolet i powiedział: – Zajmij się dziewczyną.

Belmonte wziął ją od niego i wyniósł z izby. Manning podszedł bliżej do skulonego kształtu leżącego na podłodze i spojrział na niego z góry. To coś upadło twarzą w dół. Obrócił to stopą. Pochylił się na moment, tylko raz, po czym z powrotem się wyprostował.

Gdy po chwili wrócił Belmonte, Manning stał obok pieca, wpychając do środka głęboką szufłę. Zanim Belmonte zorientował się co do jego zamiarów, wyciągnął ją z powrotem i przewrócił. Na odsłoniętą twarz na podłodze spłynął wezbrany potok rozżarzonych węgli, tworząc gorejącą kałużę, zakrywając ją. Węgłe ściemniały tylko na chwilę, po czym niemal natychmiast rozjarzyły się na powrót, równie gorąco jak przedtem. Spomiędzy czerwonych bryłek wylaływały z trudem chmurki wilgotnej pary, przypominające cienkie węże.

Manning odrzucił szufłę i obaj szybko stamtąd wyszli.

Siedzieli, sącząc palącą brandy w porannym słońcu w małej kafejce przy Alamedzie. U stóp Belmontego kucał pucybut. Dokoła nich życie toczyło się jak zwykle. Trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka godzin wcześniej, nie dalej jak rzut kamienia stąd...

– Gdybyś nie stracił głowy... – zaczął Manning.

Belmonte rzucił czyścibutowi monetę, by się go pozbyć. – Ja straciłem głowę? – uśmiechnął się. – Wręcz przeciwnie, zachowałem zimną krew. Tutaj nie ma kary śmierci. Najwięcej, co mógł dostać, zgodnie z prawem, to dwadzieścia lat do dożywocia. – Wzruszył ramionami. – Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem, o co ci chodzi – przytaknął Manning.

– Jednego nie rozumiem – zadumał się Belmonte. – Jak w ogóle jaguar dostał się do tej kaplicy? Wejście było zamknięte na amen; policja musiała wyważać drzwi łomem, kiedy szukali go tamtej pierwszej nocy, pamiętasz?

– Kaplica nie ma dachu, tylko cztery ściany i otwarte niebo. Przypuszczam, że jaguar wbiegł w drzwi sąsiadującego z nią domu, wyszedł na jego dach albo jakiś większy występ, a widząc, że ma odciętą drogę ucieczki, zeskończył stamtąd w otwór, jaki stanowiła zdewastowana kaplica, niewidziany przez nikogo na tle otaczającej czerni. Skok z takiej wysokości nie byłby czymś ponad możliwości takiego zwierzęcia, zwłaszcza gnanego strachem. A tamten w jakiś sposób go schwycił, tak czy inaczej, tyle wiemy. Twój rewolwer tej nocy pozbawił nas możliwości dokładnego poznania szczegółów. Pewnie ogłuszył go jakimś większym kamieniem i przeciągnął przez tunel, z którego już od jakiegoś czasu korzystał.

Począł, aż kelner postawił ich nowe kieliszki i znowu odejdzie.

– On w każdym razie dojrzał do morderstwa. Hubka już była gotowa i czekała. Jaguar był iskrą. Iskra nadleciała i bum! dookoła. W każdym większym mieście jest kilkudziesięciu jemu podobnych. Na szczęście większości z nich bezpiecznik nigdy się nie przepala. Jeden na stu się uruchamia, no i proszę bardzo! Kuba Rozpruwacz w Londynie. Sinobrody we Francji. Tamten facet z siekierą – jak mu tam było? – w Niemczech. Tak czy owak, schwycił jaguara i przetrzymał trochę. Tej nocy znaleziono jego grób w klepisku jednej z tych cel, zanim poszliśmy, pamiętasz? I słyszałeś, co odkryli po jego odkopaniu. – Wykonał ruch krojenia. – Przednie łapy miał amputowane, a łeb oskalpowany...

Belmonte szybko uniósł swoją brandy i opróżnił kieliszek.

– Ale nie sądzę, żeby zrobił to od razu, to suszenie i fasonowanie rękawiczek i maski. Myślę, że za pierwszym razem znalazł jakiś sposób, żeby go przetransportować, pod kontrolą i nadal żywego, w tę okolicę, gdzie miał miejsce atak na Teresę Delgado. W jakimś aucie albo koszu, kto wie jak? Przytrzymał go tam przy sobie w tamtym ciemnym jak smoła tunelu pod wiaduktem, czekając na pojawienie się pierwszego przechodnia, a kiedy nadeszła ona – spuścił go ze smyczy, by sprawdzić, co zrobi. Pewnie do tego czasu zdążył go tak wygłodzić, że zupełnie zdziczał.

– W takim razie czemu nie rzucił się na niego zamiast na dziewczynę? – spytał Belmonte.

– Facet pewnie zabrał ze sobą coś, czym mógł go zastraszyć.

Musiał mieć, by być w stanie schwytać go z powrotem natychmiast po napadzie.

– *Que barbaridad, hombre!* Barbarzyństwo! – westchnął z drżeniem Belmonte.

– Ale dla niego to nie było dość. Wszystko trwało za krótko, poza tym nie działał bezpośrednio, tylko przez zastępstwo. On nie mógł podejść zbyt blisko ani zostać dłużej, by się ponapawać. To było zbyt skomplikowane. Tak że nie powtórzył tego. Ale już mu skoczyło ciśnienie. *Sam* chciał być jaguarem. Tak więc zabił go i odtąd nim był. Z rękawiczkami, w których zostały zadające śmierć pazury. Znalazł jakiś sposób manipulowania nimi, sprawiania, by się wysuwały i chowały tak jak w naturze – dzięki małutkim sprężynkom czy drucikom, któż to wie?

Belmonte przesunął sobie szybko dłonią po oczach, jakby w celu odegnania jakiegoś zbyt narzucającego się widoku. Spytał szybko, jakby chcąc odejść od akurat tej części tematu: – Ale jak on mógł chodzić po mieście w takim stroju?

– Oczywiście nie chodził tak ubrany. Zauważyłeś ten luźny, owijający płaszcz z wielkimi kieszeniami, który znaleźliśmy tej nocy. Pewnie opatulął się nim, a rekwizyty wyjmował w ostatniej chwili.

– Jakim cudem nie zostawiał śladów stóp?

– Załatwiłyby to szmaty owinięte wokół butów. Ale tak naprawdę nie omawiamy tu sprawy policyjnej, tylko historię choroby z psychopatologii. Historię choroby, która niestety ujrzała światło dzienne, gdy już było za późno. On nie potrzebował policji, tylko lekarza.

– Mój rewolwer był lekarzem – orzekł Belmonte z surowszym spojrzeniem.

– Tak, najlepszym, i na tym etapie jedynym możliwym.

– Jak kogoś takiego można wykryć? – zastanawiał się głośno Belmonte. – Czy dałoby się to poznać, tylko patrząc na niego? – A potem sam sobie odpowiedział: – Nie, chyba nie.

– Czasem można – zadumał się Manning. – Jeśli jest się bystrym, jeśli się wie, co to znaczy, kiedy się to widzi. Ale zwykle się nie wie. Czasem łapiesz nieupilnowany, chwilowy błysk oka, rozjarzenie, żar, którego nie widzisz u

innych. Och, nic wielkiego, a poza tym się tego nie spodziewasz, jesteś ufny, mówisz więc sobie, że to tylko twoja wyobraźnia.

– A czy ty widziałeś kiedyś taki zdradzający wyraz czyichś oczu? – spytał z zaciekawieniem Belmonte.

– Tak, raz, teraz pamiętam, że widziałem. Byłem w kwaterze głównej policji. W pokoju pełnym ludzi. Przesłuchiwali podejrzanego. Bawiłem się pilniczkiem, nasłuchując. Zraniłem się, tutaj... – Przejechał w zamyśleniu palcem po bliźnie nadal widocznej na wybrzuszeniu pod kciukiem. – Podeszedłem do światła, blisko podejrzanego. Krwawy, paskudny widok odstręczał wszystkich. Ale w oczach jednego mężczyzny, tylko jednego, odkryłem pewne niezdrowe zainteresowanie, spojrzenie niemal zachłanne. Wtedy uznałem, że się mylę, i jak głupi puściłem to wrażenie w niepamięć; opuściło mnie. Ale to było to, to było to, właśnie wtedy, gdybym tylko zdał sobie z tego sprawę.

– A kto to był, podejrzany... oczywiście? – spytał z zainteresowaniem Belmonte.

Manning nie odpowiedział od razu. Obrócił pusty kieliszek do góry dnem. – Nie, człowiek, który przesłuchiwał podejrzanego. Inspektor Robles.

Twarz Belmontego zamarła w nagłym, bladym szoku.

– Teraz już wiesz – ciągnął cicho Amerykanin. – Bo masz do tego prawo. Ale ten wyraz twojej twarzy znajdzie się na twarzach wszystkich innych, kiedy się o tym dowiedzą. To nie przysłuży się policji, a jeszcze mniej ogółowi. Tak że moim zdaniem lepiej, żebyśmy to zostawili tak, jak jest: między tobą, mną i szuflą rozżarzonych węgli.

Wstał i przeciągnął się w uzdrawiającym, oczyszczającym słońcu, wpadającym ukośnie pod markizę kawiarni.

Głos mu się urywał, jakby nie chciał już dalej o tym mówić. – Coś, o czym nigdy więcej nie wspomnimy... ale co zawsze będzie... między tobą, mną i naszymi nocnymi koszmarami.

Jak tu teraz pięknie! – zawołała. – Chodź tutaj i popatrz.

Podeszedł i stanął za nią, przed otwartym oknem długim do ziemi.

Wyglądała przez nie z całym uniesieniem towarzyszącym odkrywaniu czegoś po raz pierwszy. I było to odkrywanie po raz pierwszy w pełnym znaczeniu

tych słów; nigdy wcześniej nie widziała tego miejsca, dotąd zaciemniała je chmura.

Stali przez chwilę, patrząc w milczeniu, on tuż za nią. Przejrzyste wieczorne niebo, faliste czarne wzgórza na tle ukrytych niebieskich gazowych płomieni pozostawionych przez zachodzące słońce. A bliżej, tuż obok, te smugi fosforującego talku, rozciągające się w coraz węższej perspektywie, będące ulicami i jasnymi kawiarniami, które tak dobrze знаła biedna mała Clo-Clo.

Jej duch nadal musi się nimi wałęsać, tam w dole; ale taki zawadiacki, przyjazny duch, wcale nie przerażający; uśmiechnięty i trzepiący z fasonem torebką napotykanym przechodniów.

– A więc wracasz? – powiedział w końcu.

– Chyba tak. Następnym statkiem. Ale to dopiero za trzydzieści dni. A ty, co zamierzasz?

– Nie wiem. Pewnie zostanę. Od kiedy to się stało, zdaje się, że otworzyły się przede mną pewne nowe możliwości. Belmonte i ja mamy podzielić się tą nagrodą rady miasta, mówiłem ci, prawda? A Pan Ważny Komisarz zaproponował mi nawet pracę w charakterze specjalnego śledczego bez teki bezpośrednio w jego ekipie. I jakby tego było mało, dziś rano dostałem list od dawnej klientki, Kiki Walker, sugerujący, że przyjaciół nie powinno dzielić drobne nieporozumienie i że ona bardzo chętnie znowu zaangażuje mnie do zajmowania się jej reklamą. A ja prawdopodobnie otworzę jakąś małą działalność, skoro mam teraz kapitał. Maszyny do pisania czy krem do golenia, czy coś innego, równie mało dramatycznego.

– Powinieneś znaleźć sobie dziewczynę i się ustatkować.

– Już znalazłem, ale ona jeszcze o tym nie wie.

– A kiedy zamierzasz jej powiedzieć?

Palce jednej z tych jego niezgrabnych rąk wykonały niezdecydowany ruch za jej plecami, nie dotykając jej jednak.

– Już niedługo. Któregoś dnia z najbliższych trzydziestu, zanim odpłynie tamten statek.